

LAUREAT NAGRODY WIELKIEGO KALIBRU 2023 ROKU!

MAREK STELAR

MILCZENIE
WIECZEMIE

FILIA

MAREK
STELAR

MILCZENIE

FILIA

Copyright © by Marek Stelar, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Dorota Wojciechowska
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-086-0

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Ludzie ludziom zgotowali ten los.

Z. Nałkowska, *Medaliony*

PROLOG

2017

Nowe Warpno tkwiło w okowach zimy. Suchy śnieg pokrywał cały cypel, silny wiatr wiejący od strony zalewu podrywał jego wierzchnią warstwę, wzbijał i unosił wysoko, gdzie jego tumany mieszały się z dopiero lecącymi ku ziemi płatkami pędzonymi podmuchami mroźnego powietrza. Niebo zasnuł koc z jednolitych, szarych chmur zwieszających się nisko nad miasteczkiem i okolicą, woda na jeziorze skuta była lodem, od strony zalewu warstwa mlecznej kry o malachitowym odcieniu spiętrzała się miejscami, tworząc zapory przypominające skaliste szczyty wysokich gór. Sztywne od siarczystego mrozu suche trzciny klekotały cicho, uderzając o siebie, nie słychać było niczego z wyjątkiem wiatru: ani krzyku mew, ani szczekania psów. Wszystko zamarło, jakby miasto, ludzie i zwierzęta zapadli w sen zimowy. Nikt o zdrowych zmysłach ani bez wyraźnej pilnej potrzeby nie odważył się wyjść na zewnątrz.

Biały mercedes toczył się powoli ulicą Wojska Polskiego. Wycieraczki zmiatały śnieg atakujący przednią szybę z zaciekłością rozłoszczonego roju os, ale ledwo widoczna zza szyby twarz kierowcy pozostawała bez wyrazu. Mężczyzna w ciemnym garniturze ścisnął kierownicę dłońmi w skórzanych szoferskich rękawiczkach i wykonywał polecenia siedzącej na tylnej kanapie kobiety. Była Niemką, miała nieco ponad sześćdziesiąt lat i staranny makijaż maskujący wiek. Ciemne oczy powiększone były optycznie ciemną oprawą tuszu do rzęs, cienia do powiek i kreskami eyelinera, ten sam problem z ustami załatwiły szminka i zastrzyk z kwasu hialuronowego. Platynowe włosy spływały falami po bokach głowy. Ciemnobrązowe tęczęwki błyszcząły ekscytacją.

- Skręć w prawo - poprosiła kierowcę.

Ten spełnił jej prośbę i po chwili w perspektywie ulicy Dworcowej poprzez zadymkę zobaczyli czerwone plamki i niewyraźny zarys masztu antenowego bosmanatu portu.

- *Bahnhofstrasse*. - Kobieta roześmiała się, bo dworzec nie istniał od dziesięcioleci. - Jesteśmy na miejscu.

Mercedes zjechał z ulicy na pusty, zaśnieżony parking - pozostałość infrastruktury dawnego przejścia granicznego. Stare, dobre czasy przypominał wyblakły szyld na płocie graniczącej z nim posesji. *Imbiss, friseur*. Dziś, nawet jeśli Nowe Warpno odwiedzali Niemcy, żaden z nich nie zaglądał w ten zakątek miasteczka. Dwoje ludzi w mercedesie było wyjątkiem.

- Mam wysiąść z panią? - zapytał kierowca.

- Po co? Źle ci tu? - Znów się roześmiała.

- Na pewno chce pani wyjść na zewnątrz? To chyba nie ma sensu...

Kobieta starła wierzchem dłoni warstwę wilgoci, która zebrała się na wewnętrznej stronie szyby, i marszcząc brwi, spojrzała przez nią na zewnątrz. Czubkiem nosa dotknęła zimnego szkła i skrzywiła się mimowolnie.

- Tak, chcę - odparła zdecydowanie. - Wiesz, to trochę jak powrót do domu po wielu, wielu latach.

- Mówiła pani, że nigdy wcześniej tu nie była? - zdziwił się mężczyzna.

- Bo nie byłam, ale nie szkodzi. - Wykrzywiła usta i pokręciła w zamyśleniu głową, nakładając na nią obszyty futrem kaptur. - To nie ma znaczenia. Za to będę tu jeszcze wiele razy.

Sięgnęła do klamki i pociągnęła ją.

- Nie wyłączaj silnika - rzuciła, otwierając drzwi, i poprawiła wełniany szal, wciskając go mocniej pod podbródek.

Gwałtowny podmuch lodowatego powietrza zagłuszył ostatnie słowo i prawie wyszarpnął jej klamkę z dłoni. Do środka dmuchnęło śniegiem. Zamknęła oczy, nabrała powietrza i wysiadła. Z trudem zamknęła drzwi. Ruszyła przed siebie z pochyloną głową, jakby przeszła do szarży. Mimo że zaciskała pod brodą skraj kołnierza, a drugą ręką nasuwała na czoło targany wiatrem kaptur, lodowate igiełki wciskały się i pod niego, i pod szal, lecz ona nie zwracała na to

uwagi. Okrążyła samochód i zbliżyła się do skraju parkingu. Po prawej miała maszt telefonii komórkowej, po lewej skupisko nagich, bezlistnych drzew i krzewów, a przed sobą białą połać pustego terenu. Mrużąc oczy, wpatrywała się przed siebie w zatartą syjącym śniegiem granicę między ziemią a zachmurzonym niebem. Heini miał rację: to bez sensu, i nawet nie chodziło o samo wyjście z samochodu, ile w ogóle o przyjazd tutaj. Ale nie mogła sobie tego odmówić. To był impuls. Wierzyła, że jej szalony w opinii niektórych pomysł ma realne szanse powodzenia. Uśmiechnęła się do siebie i poprawiła kosmyk włosów, wciskając go pod kaptur. Śnieg topniał na futrzanym obszyciu i moczył nagie palce, które zaczynały sztywnieć z zimna. Kobieta potoczyła wzrokiem po okolicy po raz ostatni i wróciła do samochodu. Gdy do niego wsiadła, otrzepała się starannie ze śniegu i zadrżała.

- Podkręć ogrzewanie, proszę - rzuciła do Heiniego.

Patrzył w lusterku z lekką dezaprobatą, jak biały puch opada na tapicerkę. Mercedes należał do niej, a nie do niego, ale to jego zadaniem było o niego dbać. I wywiązywał się z tego doskonale.

- Jedźmy. - Zignorowała jego spojrzenie, odchrząknęła i pociągnęła nosem, pewna już, że trwające niespełna minutę wyjście na arktyczne zimno przypłaci kilkudniowym przeziębieniem. - W Szczecinie zatrzymamy się gdzieś na obiad.

Heini ruszył, objechał parking i chwilę później znaleźli się znów na głównej ulicy Nowego Warpna. Nagle kobieta pochyliła się i lekko dotknęła ramienia szofera.

- Wjedź w tę uliczkę - poprosiła.

Heini przyhamował i wrzucił kierunkowskaz.

- W tę? - upewnił się.

- Tak, może być ta. - Skinęła głową i zdjęła z szyi szal.

- Chodzi pani o jakąś konkretną?

- Nie, chcę się tylko rozejrzeć. - Odłożyła szal na kanapę obok siebie i poprawiła włosy. - Po prostu pokręcmy się chwilę po okolicy, jak już tu jesteśmy.

- Jasne...

W miarę szeroką jezdnię zastąpiła wąska ulica. Rzadka i dość chaotyczna zabudowa pogłębiała wrażenie przygnębienia

spowodowanego wyludnieniem.

- Tu nic się nie dzieje - stwierdziła kobieta, wpatrując się w mijane budynki i ogrodzenia. - I to chyba niezależnie od pogody. Ale to nawet dobrze. - Uśmiechnęła się z lekką satysfakcją.

- A jednak. - Heini wskazał przednią szybę.

Na chodniku stał jakiś człowiek, ale dopiero kiedy podjechali bliżej, mogli mu się przyjrzeć. Ubrany był w puchową, granatową kurtkę, gdzieś niedbale pocerowaną, w innych miejscach z rozdarć sterczały białe kłaczki. Watowane spodnie i wysokie buty bez sznurówek i z rozchyłonymi cholewami pokryte były śniegiem, tak że mężczyzna przypominał karykaturę bałwana. Stał oparty o miotłę skleconą z gałązek, ale efektów jego pracy nie było widać. Na głowie zamiast czapki miał kolorowy szalik z włóczki, którym owinął ją niczym tuareskim turbanem. Gdy go mijali, spojrział na nich wzrokiem bez wyrazu. Był stary, miał pomarszczoną i ogorzałą twarz, jej dół pokryty był gęstym, siwym zarostem, otwarte usta przypominały jamę, w której sterczało kilka żółtych zębów.

- Dziwak - mruknął Heini. - Albo szaleniec.

- Tutejsi ludzie, jak sądzę po tym, co widzimy, nie są wizytówką tego miejsca, ale to nie oni mają tu przyciągać gości, tylko to, co wymyśliłam. Dobra, wyjeżdżamy.

Heini delikatnie dodał gazu, silnik zabulgotał i mercedes przyspieszył. Starzec wciąż stał bez ruchu przytulony do swojej miotły i wpatrywał się w tył samochodu, aż czerwone punkty świateł zniknęły mu z oczu. Nagle drgnął, wzruszył ramionami, poprawił szalik na głowie i znów zaczął odgarniać śnieg z takim samym zacięciem, z jakim robił to chwilę wcześniej, zanim biały mercedes zjawił się jak duch.

2018

- Ja jebię, „Słoń” Dominik wrócił z wygnania!

To były pierwsze słowa, jakie usłyszał aspirant Przeworski po tym, gdy wszedł do swojego dawnego pokoju w komendzie miejskiej policji w Szczecinie. Przez niemal rok spędzony w Nowym Warpnie na stanowisku dzielnicowego zdążył zapomnieć, jak nazywali go koledzy z pracy. Pomijając, że tam nie miał kolegów z pracy, w zasadzie nie miał prawie żadnych kolegów. Słowa nietypowego przywitania wypowiedział podkomisarz Janusz Garbas, z którym kiedyś, przed wygnaniem, aspirant współpracował chyba najczęściej.

Dłoń Przeworskiego wystrzeliła do przodu w kierunku jego szyi, ale Garbas wykazał się refleksem, odchylił się lekko do tyłu i zbił ją tuż przy swoim podbródku, choć palce aspiranta prześliznęły się po jego grdyce. Prawda była taka, że Przeworski nie włożył w cios zbyt dużo siły ani szybkości, bo to miał być żart, którego Garbas i tak się spodziewał.

- Zdziałałeś na tym wygnojewie - stwierdził podkomisarz mimo to. - Już nie jesteś taki szybki jak kiedyś. Nie chciało ci się na treningi jeździć, mam rację?

Przeworski zbył te słowa milczeniem.

Wrócił na stare śmieci wbrew swojej woli. Decyzja komendanta miejskiego zakończyła jego delegację do powiatówki w Policach, skąd został skierowany do Nowego Warpna na stanowisko dzielnicowego. Faktyczna degradacja będąca konsekwencją jego wysoku stała się szczęśliwym zdarzeniem, które całkowicie odmieniło jego życie. Kiedy nieco ponad pół roku temu chyba jedyny raz w życiu stracił nad sobą panowanie i groził bronią koledze z pracy, który posuwał mu świeżo poślubioną żonę, nie spodziewał się, jakie będą tego konsekwencje. Nie myślał wtedy zresztą o niczym, ale nie o to chodziło. Zresztą

widok bladych pośladek Chudeckiego pomiędzy udami jego byłej już żony blaknął w pamięci aspiranta jak czerwień na słońcu.

- Chudecki już na aucie. - Garbas patrzył Przeworskiemu w twarz, jakby wiedział, o kim aspirant myśli.

- Wiem - mruknął Przeworski.

- Dziejowa sprawiedliwość, co?

Aspirant wzruszył ramionami.

- Ja to nazywam głupotą.

Słyszał, co się stało, wszyscy słyszeli: to, że Nowe Warpno leżało na końcu cywilizowanego świata, nie oznaczało, że nie docierają tam żadne wieści, zresztą aspirant miał przecież kontakt z firmą poprzez komendę powiatową w Policach, w której bywał raz czy dwa razy w tygodniu. Chudecki przyjechał pewnego dnia do roboty pijany, a kiedy przełożony kazał mu wracać do domu trzeźwieć, skasował na przejściu dla pieszych stojący przed nim samochód przepuszczający przechodnia. W efekcie dwie osoby doznały obrażeń kwalifikowanych jako średni uszczerbek na zdrowiu, a Chudecki dostał dyscyplinarkę. Nie było szans, żeby sprawę zamieść pod dywan, przechodzień był ojcem prokuratora ze szczecińskiej regionalnej.

- Jak było na końcu świata? - zapytał nagle Garbas.

Kiedy Przeworski usłyszał to pytanie, przyszło mu do głowy, że dla Garbasa Nowe Warpno jest końcem świata, a dla niego jego początkiem, ale nie podzielił się z podkomisarzem swoimi przemyśleniami. Wiedział, że i tak go nie przekona. W głosie Garbasa była jednak autentyczna ciekawość, bo Przeworski od czasu zesłania praktycznie ani razu nie zjawił się w miejskiej, żeby odwiedzić kolegów. Zdawał sobie również sprawę, że w Garbasie podsycą ją poczucie zawodowej solidarności: w końcu Chudeckiemu się należało, a Przeworski pojechał na zsyłkę za niewinność.

Aspirant spojrzał zagadkowo na kolegę i powiedział powoli:

- Może nie uwierzysz, ale było zajebiście.

- Od dziś się znamy, Słoniu? - Garbas miał lekko zniesmaczoną minę.

- Mam rzucić się na kolana i przysięgać na wszystkie świętości? - W oczach Przeworskiego mignęło rozbawienie.

- Serio? - Brwi Garbasa zbiegły się nad nasadą nosa.

- Serio, Garbi, serio. - Przeworski westchnął. - Ja już jestem stamtąd, a nie stąd, wiesz?

- Widzę, że jeszcze tam poetę z ciebie zrobili... - sarknął komisarz.

- Źle mi tu już. Za szybko, za głośno. W tym mieście ciągle coś się zmienia. Numery linii autobusowych. Nazwy ulic. Znikają knajpy, które znałem, powstają nowe.

- Od kiedy ty do knajp chadzasz? - Garbas się roześmiał.

- Chodzi o zasadę. Akademia medyczna staje się uniwersytetem medycznym, politechnika uniwersytetem technicznym, tylko czekać, aż akademia morska zostanie politechniką morską. A tam wszystko jest... Stałe. Oprócz pór roku wszystko jest niezmiennie.

- No, mówiłem: poeta, kurwa...

- To nie tak. - Przeworski pokręcił zdecydowanie głową. - Ja po prostu wyluzowałem. Zwolniłem, rozumiesz?

- No, właśnie widziałem. - Garbas odruchowo potarł szyję. - Pytanie, czy tylko zwolniłeś, czy faktycznie zdziadziałeś.

- Dojrzałem, Garbi. Dojrzałem.

Przeworski podszedł do swojego biurka i oparł się o nie. Nie wiedział nawet, kto przy nim siedział, kiedy go nie było, ale nie zamierzał o to pytać Garbiego. Zupełnie go to nie interesowało. Stojące przy biurku krzesło było rozprute pośrodku siedziska.

- Niech ci będzie. - Garbas machnął ręką i kiedy zobaczył, na co patrzy Przeworski, dodał: - Gądecki zajebał ci krzesło, bo jego się wytarło na siedzeniu, pewnie od pierdzenia. Ale nie walczyłbym już o nie, bo rozwalił podłokietnik. Za długo się na nim opierał, jak spał.

Sierżant Jasiu Gądecki znany był z unikania roboty. Jego głównym zajęciem było picie kawy, udawanie zmęczenia i sprawianie wrażenia, że ma w cholerę zajęć związanych z papierologią.

- Czyli nic się nie zmieniło? - Przeworski również rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Zmieniło. - Garbas pokiwał głową ze znudzoną miną. - Tylko że na gorsze. Z deszczu pod rynnę, Słoniu. Szykuj ręcznik do wycierania dupska, będzie mokro.

Garbas co prawda też nie był kryształowy, bo sływał z narzekania na wszystko i wszystkich oprócz siebie, lecz aspirant doskonale wiedział, o czym mówi.

Ale największy problem tkwił w tym, że Przeworski kurewsko tęsknił za Nowym Warpnem, swoją służbówką i widokiem z jej okien, wiatrem i wodą, krzykiem mew, a przede wszystkim za Natalią. Uświadomił sobie, że to, co powiedział przed chwilą Garbasowi o tym, skąd jest, było absolutną prawdą. W policji się nie dyskutuje, chyba że z pozycji szychy ze związku zawodowego. W policji i innych służbach mundurowych wykonuje się rozkazy i aspirant nie miał innego wyjścia, jak wykonać ten, który wydał komendant. Powrót do Szczecina od początku był kwestią czasu, a prośby o pozostanie w polickiej powiatówce czy o przeniesienie do niej na stałe były jak rzucanie butelkami w betonową ścianę. Udało mu się raz, kiedy po kilku miesiącach złożył prośbę o przedłużenie delegacji, tym razem nie miał nawet takiej szansy. Był potrzebny tutaj i nie miało znaczenia, czy aspirant Dominik Przeworski wypełnia w wydziale kryminalnym komendy miejskiej lukę po Chudeckim, czy komendant powiatowy z Policji musiał upchać kogoś na wymagającym niewielkich umiejętności stanowisku na jakimś zadupiu.

Prawda była taka, że wyrwali go z Nowego Warpna z korzeniami.

I to bolało.

Wciąż miał w pamięci niedawną rozmowę z Natalią.

- Jak to: musisz wracać do Szczecina? - zapytała wtedy, a jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

Leżała na boku, podparta na łokciu, z głową spoczywającą na dłoni. Była naga, cudownie kobieca: dziesięć minut wcześniej skończyli się kochać i leżeli obok siebie w łóżku w służbówce Przeworskiego na poddaszu budynku rewiru dzielnicowych w Nowym Warpnie.

- No, muszę. - Przeworski patrzył w sufit, leżąc z rękami pod głową: mięśnie ramion, a zwłaszcza bicepsy prężyły się pod skórą. - Nie mam wyjścia.

Zdecydował się powiedzieć o tym Natalii w jakichś miłych okolicznościach i uznał, że właśnie się zdarzyły.

- Jezu, jesteś taki piękny. - Natalia westchnęła, wodząc palcem po ciele Przeworskiego. - A w wielkim mieście tyle pokus. Zaraz mi cię jakaś upoluje.

- Wielkie miasto to jest Warszawa. - Wyszczерzył się do niej, ale jej twarz pozostała poważna.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał - oznajmiła.

- Ja też nie chcę. Ale jeśli się nie zgodzę na powrót tam, to znajdą sposób, żeby mi uprzykrzyć życie, rozumiesz?

- Boję się, Dominik...

- Ale czego?

- Powiedziałam ci. - Wysunęła dłoń spod głowy i położyła się na wyciągniętym ramieniu, zamykając oczy.

- Ty tak na serio? - zdumiał się.

- Tak, ja tak na serio.

Przeworski nabrał powietrza w płuca, ale nie odpowiedział. Nie od razu. Chciał się zastanowić. Nie mógł palnąć niczego głupiego, nie mógł tego zbagatelizować ani zbyć Natalii jakimiś ogólnikami. Miał świadomość, że jej wrażliwość, a przede wszystkim choroba sprawiają, że odczuwa wszystko głębiej i mocniej niż on. Choroba dwubiegunowa mimo dobrej kontroli lekami objawiała się zmianami nastroju, ale on i tak planował się związać z tą dziewczyną. Zdał sobie nagle sprawę, że nieoczekiwanie nadszedł czas na podjęcie bardzo ważnych decyzji mających wpływ na jego dalsze życie. Jego i jej życie. Nie zamierzał się oświadczać, podejrzewał, że słowo „małżeństwo” jeszcze długo będzie mu się kojarzyć z Kariną, niemniej sprawa była poważna.

- Skarbie, nie jadę do Singapuru czy do Stanów - zaczął jej tłumaczyć. - To tylko Szczecin, a nie drugi koniec świata.

- Może nie drugi, ale inny, rozumiesz? Nieważne, że jest czterdzieści kilometrów stąd. - Odwróciła się do niego plecami. - To już inny świat, który cię pochłonie. Inna praca, inni ludzie... Będziesz przyjeżdżał w weekendy, potem co drugi, bo praca, bo koledzy...

Próbował się wtedy nie uśmiechnąć. Natalia nie była małomiasteczkową dziewczyną niemającą pojęcia o tym, co istniało poza granicami owego miasteczka. Studiowała przed laty

w Szczecinie, mieszkała w nim, jeździli tam razem kilkakrotnie w ciągu tych paru miesięcy znajomości. Nie była też jakoś specjalnie zazdrosna, raczej w granicach normy i zdrowego rozsądku. I dlatego, zamiast się pobłażliwie uśmiechać, Przeworski musiał ją spróbować zrozumieć. I rozumiał, bo faktycznie miała rację z tym innym światem, a on nie bardzo chciał do niego wracać. To nie był już jego świat. Jego był tutaj.

- Wynajmę tu mieszkanie, albo chociaż pokój. - Położył jej dłoń na biodrze i zaczął gładzić, ale to nie była erotyczna pieszczota, tylko po prostu ciepły gest podkreślający słowa. - Nie będę przyjeżdżał tu na weekendy, tylko będę jeździł tam do pracy. Zamieszkamy razem. Możesz zabrać psy. Co ty na to?

Znów odwróciła się twarzą do niego. Nie była już smutna, może tylko zaskoczona.

- Mówisz poważnie? - zapytała, a jej głos lekko drżał.

- Absolutnie.

- Będziesz musiał wstawać o szóstej, żeby się wyrobić i dotrzeć na ósmą do roboty.

- Chodzę na siódmą, chyba że odbieram wolne za nadgodziny czy dyżury.

- Czyli piąta. - Natalia zmarszczyła jasne brwi. - Masakra.

- Zgadza się. Plus ponad dwie godziny dziennie w samochodzie. Ale ludzie jeżdżą do roboty i po sto kilometrów. Czasem nawet pociągiem. Nie ma co narzekać. Wóz albo przewóz. To jak?

Zerwała się, rzuciła mu na szyję i rozpłakała. Czuł jej łzy na karku i zastanawiał się, jak to będzie. Znów musiał zmienić swoje życie, znów nie na własne życzenie, ale tym razem miał wyjście, które można było traktować jako ewakuacyjne, albo raczej furtkę. Furtkę do dawnego życia, które prowadził w Nowym Warpnie.

Rozglądając się teraz po pokoju, rozmyślał, czy to wszystko da się pogodzić.

- Nie wyglądasz na szczęśliwego - stwierdził Garbas.

- Ale słuchałeś, co mówiłem przed chwilą?

- Owszem, słuchałem. - Podkomisarz uśmiechnął się kwaśno. - Tylko że wciąż czekam, aż wejdiesz w dawny tryb, Słoniu. Aż włączy

ci się pies tropiący. – Dotknął skroni. – I będziesz jak dawniej.

Przeworski usiadł za biurkiem i stwierdził, że Garbas słuchał go jednak wybiórczo. Czuł się tu klaustrofobicznie. Sama świadomość, że za oknem zamiast nieba i wody jest brzydka ulica, odrapane kamienice i hałas, sprawiała, że czuł się przytłoczony. Westchnął, przejechał dłońmi po przykurzonym blacie i wstał.

– Idę do naczelnika – poinformował Garbasa krótko i wyszedł.

Naczelnik wydziału kryminalnego Danielak w czasie nieobecności Przeworskiego dochrapał się stopnia nadkomisarza. Kiedy Przeworski wszedł do jego gabinetu, ocenił z lekkim zaskoczeniem, że nic się nie zmieniło, choć był świadomy, że to zaskoczenie jest spowodowane głównie upływem czasu i nastawieniem. Sam powiedział przed chwilą Garbasowi, że tu wszystko się ciągle zmienia. Jak widać, jednak nie wszystko, ale to nie wpływało na jego nastawienie.

– Siadaj. – Danielak wskazał mu krzesło, więc Przeworski odsunął je i zajął, opierając się łokciami o blat stołu konferencyjnego, który w zasadzie był czymś pomiędzy stołem a stolikiem. – Jak widzisz, grzechy zostały ci odpuszczone i mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy?

Przeworski nie był pewien, czy to było stwierdzenie, czy pytanie, więc na wszelki wypadek milczał, przyjmując tylko umiarkowanie pokorny wyraz twarzy, który miał wystarczyć za odpowiedź.

– Nie cieszysz się... – Danielak zmarszczył brwi, a aspirant znów nie był pewien intonacji.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo, ale to nie oznacza, że się nie będę starał, naczelniku – odparł, bo tym razem już wypadało coś odpowiedzieć.

– I taka postawa mi się podoba. – Danielak uśmiechnął się szeroko. – Tak między nami: Chudecki zasłużył na wypierdolenie z formacji, choć nie mówię w tej chwili o tym, co ci zrobił. No, może trochę o tym też. Mówię bardziej o całokształcie. Ten wypadek tylko wszystko przypieczętował.

– Może zostawmy ten temat, naczelniku? – zaproponował Przeworski.

Co prawda już jakiś czas temu doszedł do wniosku, że powinien sprezentować Chudeckiemu flachę dobrej whisky, ale w obecnych okolicznościach byłoby to chyba jak dobicie rannego.

- Jak sobie życzysz. - Danielak uniósł ręce w pojednawczym geście.
- W każdym razie wracasz na swoje stanowisko, zakres obowiązków taki sam jak poprzednio. Wybyczyłeś się tam na ciepłej posadce, a teraz wracasz do prawdziwej roboty. Pytania?

- Brak. - Przeworski odepchnął się od blatu i wyprostował.

Danielak obserwował przez chwilę aspiranta.

- Nic się nie zmieniłeś i to też bardzo mi się podoba, Dominik - stwierdził w końcu. - Idź, ogarniaj. Po południu dostaniesz nowe sprawy. Ale żadnej po Chudeckim - zaznaczył i dodał z porozumiewawczym uśmiechem. - Nie ma za co.

Przeworski wracał do siebie lekko rozbawiony. Wydało mu się zabawne, że w ciągu dziesięciu minut dostał dwie skrajne opinie o sobie, a jeszcze zabawniejsze było to, że nie miał pojęcia, który z nich miał rację: Garbas czy Danielak.

Zwłoki leżały na łóżku w pokoju hotelowym. Kobieta była ubrana w spódnicę i białą bluzkę, wyglądała, jakby spała, padłszy na materac ze zmęczenia albo po alkoholu, kiedy jedyną ważną rzeczą po dotarciu do łóżka jest położenie się na nim, nieważne w jakiej pozycji. Pościel była rozkopana, denatka miała szeroko rozrzucone ramiona, dłoń zwisała nad podłogą, a pomalowane czerwonym lakierem paznokcie wyglądały, jakby umoczyła je we krwi. Ale krwi nie było. Stopy w cielistych pończochach również leżały rozrzucone na skotłowanej kołdrze, cienki, prześwitujący materiał napinał się między palcami zastygłymi w spazmie śmierci. Twarz wystawała znad zawiązanego wokół szyi kolorowego szalika z włóczki. Pasy światła słonecznego wpadającego przez wielkie okno i przyćmionego firanami przedzielone były cieniami szprosów i kładły się na ciele miękkim światłym materiałem.

Przeworski stał oparty o ścianę obok drzwi do pokoju. Od razu było widać, że ktoś je wyważył, okolice zamka i klamki wyglądały jak po wystrzale z broni gładkolufowej. Zaglądając przez nie, obserwował pracę technika kryminalistycznego, który ubrany w kombinezon i maseczkę robił zdjęcia pokoju, poruszając się po nim ostrożnie pod ścianami: trwała faza statyczna oględzin. Wzrok aspiranta przyciągał wciąż widok kobiety. Skóra jej twarzy była sina, spuchnięty język wystawał spomiędzy warg otoczonych smugami rozmazanej szminki o takim samym kolorze jak lakier na paznokciach.

Zaraz miał przyjechać dyżurny prokurator, który podobno był na jakichś czynnościach, oraz biegły sądowy. Była sobota rano, Przeworski i tak miał służbę i w zasadzie było mu obojętne, jak długo będzie na niego czekał. Razem z nim był Śpiewak z dochodzeniówki.

- Zorientujesz się, kto ją znalazł i popytasz? - odezwał się Śpiewak.

To on jako dochodzeniowiec powinien to robić, Przeworskiego wysłano do pomocy, bo w momencie zgłoszenia nie było jeszcze

wiadomo, jaki dokładnie charakter miała zbrodnia. Recepcjonistka, która zaprowadziła ich na górę, była tak wstrząśnięta, że praktycznie nie dało się z nią rozmawiać. Wydusiła z siebie tylko tyle, że to ona zawiadomiła policję, ofiara jest Niemką, a ciało odkrył mężczyzna wciąż przebywający w hotelu, i że wchodziła do środka. Niczego więcej nie dało się z niej wycisnąć.

- Ta, jasne. - Aspirant oderwał się od ściany i ruszył na dół.

W holu niewielkiej, usytuowanej w piwnicy recepcji zastał zapłakaną dziewczynę, która pisała do kogoś wiadomość na telefonie. Na kanapie pod ceglana ścianą siedział postawny mężczyzna. Miał szeroki, płaski nos, przez co głęboko osadzone oczy sprawiały wrażenie zbyt szeroko rozstawionych, krótkie, zaczesane na bok włosy, był nieogolony, ubrany w białą, wyciągniętą na spodnie koszulę i miał bose stopy. Przeworski podszedł do niego, widząc, że jego przybycie wyrwało go z letargu, uznał więc, że musi być to człowiek, który znalazł ciało.

- Dzień dobry - przywitał się, stając nad nim.

Mężczyzna wstał z kanapy.

- Pana nazwisko? - zapytał aspirant.

- *Ich spreche kein Polnisch* - odparł mężczyzna.

Przeworski powtórzył pytanie po niemiecku i ujrzał na twarzy rozmówcy lekkie zaskoczenie.

- Nazywam się Heinrich Vogel - odparł tamten chrapliwym głosem.

- Aspirant Dominik Przeworski, wydział kryminalny komendy miejskiej policji w Szczecinie. Na razie chciałbym zadać panu tylko kilka szybkich pytań, niedługo przyjedzie prokurator, on będzie chciał z panem porozmawiać bardziej szczegółowo.

Vogel wciągnął głęboko powietrze przez nos. Miał twardy wzrok, ale aspirantowi wydawało się, że unika jego spojrzenia, a przynajmniej nie był w stanie utrzymać go zbyt długo na jego twarzy.

- Rozumiem - powiedział cicho.

- Pan znalazł ciało? - upewnił się.

Przeworski z doświadczenia wiedział, że ludzie będący w szoku potrafią w podobnych sytuacjach mylić fakty i tworzyć własną rzeczywistość, co jest naturalnym odruchem obronnym umysłu wobec zdarzeń przekraczających jego zdolność pojmowania niektórych rzeczy. Takich jak na przykład gwałtowna śmierć człowieka.

- Tak, ja - potwierdził Vogel.

- Dobrze pan znał ofiarę?

- Tak, przyjechaliśmy wczoraj razem.

- Jak się nazywała?

- Helene von Zussow.

- Gdzie pan mieszka? Mam na myśli hotel.

- Piętro niżej. To znaczy... - Vogel rozejrzał się lekko zakłopotany po holu: niewielkie okna znajdowały się tuż pod stropem, a za nimi były tylko ściany studni sięgających do nich z poziomu ulicy.

- Rozumiem, trzecie piętro. Słyszał pan coś w nocy?

- Nie, mój pokój nie jest pod jej pokojem.

- Jak pan ją znalazł? Drzwi były wyważone.

- To ja je wyważyłem. - Vogel przejechał dłonią po lewej stronie twarzy, przez chwilę naciągnięta powieka odsłoniła białko utkane drobnymi żyłkami i rozległ się chrzęst pocieranego skórą zarostu.

- W jaki sposób? - Przeworski przypomniał sobie zrujnowane skrzydło.

- Kopnięciem.

Aspirant odruchowo zerknął na nogi Vogla. Wiedział, że wbrew pozorom trzeba do tego sporo siły, ale i techniki, jednak powstrzymał się od komentarza.

- Czemu pan to zrobił?

- Nie mogłem się z nią skontaktować. Umówiliśmy się na ósmą na śniadanie. Nie zeszła, więc poszedłem sprawdzić. Pukałem, potem dzwoniłem do niej, słyszałem dźwięk telefonu, ale nie było reakcji. Nie informowała mnie, że gdzieś wychodzi, zresztą lubiła długo spać.

- Nie pomyślał pan, że po prostu nie słyszy ani pukania, ani telefonu, bo śpi? Albo wypita sporo alkoholu?

- Ona nie piła alkoholu. A ja dobijałem się dobre pół godziny, aż z sąsiednich pokoi powychodzili ludzie.

- Mogła wyjść na spacer, nie zabierając telefonu, prawda?

- Powiedziałyby mi.

- Dlaczego miałyby to panu powiedzieć?

- Nie bardzo rozumiem, co mają na celu te pytania. - Mężczyzna lekko się zdenerwował. - Miałem rację, podejrzewając, że stało się coś złego, prawda? Więc o co panu chodzi?

- Ostatecznie tak - przyznał Przeworski. - Ale proszę nie podawać w wątpliwość sensu mojej pracy. Od tego jestem, żeby zadawać pytania, nawet jeśli wydają się panu głupie. Dotykał pan czegoś w jej pokoju?

- Nie. Kiedy tylko zorientowałem się, że nie żyje i że... Że ktoś ją zamordował, wyszedłem na zewnątrz.

- Dobrze, na razie tyle, proszę zostać tutaj, zjedziemy do pana, kiedy zjawi się prokurator.

Vogel przygryzł dolną wargę, odwrócił się bez słowa i ciężkim krokiem powlókł się stronę kanapy ustawionej pod ceglana ścianą.

Kiedy Przeworski wrócił na górę, okazało się, że jest tam już więcej osób, a w dodatku wśród zgromadzonych rozpoznał znajomą twarz.

- Co ty tu robisz? - zapytał zaskoczony.

- W pracy jestem. - Prokurator Cehak spojrział na niego z rozbawieniem. - Właściwie to ja mogę zapytać o to samo ciebie.

Znali się, może nie świetnie, ale współpracowali już przy dwóch sprawach, które Cehak prowadził w Nowym Warpnie z racji podległości terytorialnej pod prokuraturę Szczecin-Zachód, gdzie pracował.

- Też jestem w robocie. - Przeworski rozłożył ręce.

- Już nie na końcu świata?

- Wróciłem, ale zostałem.

- Brzmi, hmm, skomplikowanie.

- Później ci wyjaśnię.

- Kto znalazł denatkę?

- Facet nazywa się Heinrich Vogel, przyjechali razem. Spał piętro niżej, mówi, że niczego nie słyszał. To on rozwalił drzwi, kiedy nie

dawała znaku życia, tak przynajmniej twierdzi. Rozmawiałem z nim chwilę, jest na dole w recepcji, kazałem mu czekać.

Cehak zajrzał do pokoju, a potem zatrzymał wzrok na ciele kobiety. Przeworski zrobił to samo. Profesor medycyny sądowej właśnie dokonywał oględzin, kobieta była już rozebrana, chwilę wcześniej technik delikatnie zdjął szalik z szyi ofiary. Kiedy aspirant z prokuratorem zobaczyli wielki termometr, który pojawił się w dłoni medyka, odwrócili wzrok.

- Zapaliłbym. - Cehak westchnął.

- Ty palisz? - zdziwił się Przeworski.

- No właśnie nie. - Prokurator spojrzał na niego zagadkowo. - Ale czasem mam, kurwa, ochotę.

Śpiewak drgnął, jakby nagle na coś wpadł.

- To ja pójde zająrać - poinformował ich, poklepał się po kieszeni spodni i ruszył na dół.

Zostali na korytarzu, słuchając mimowolnie odgłosów dochodzących z pokoju. Jakiś czas później profesor do nich wyszedł.

- Dobra, mniej więcej wiadomo - oznajmił, zdejmując lateksowe rękawiczki. - Czas zgonu określony na podstawie stężenia pośmiertnego, plam opadowych i temperatury zwłok oceniam mniej więcej na osiem godzin temu, czyli około północy. - Obejrzał się na drzwi. - Zresztą widać było, że nie zdążyła się rozebrać ani zmyć makijażu. Wstępnie mogę powiedzieć, że zgon nastąpił wskutek zamknięcia światła naczyń krwionośnych z powodu zadzierzgnięcia, o czym świadczy przebieg bruzdy i wybroczyny na twarzy oraz kilka innych rzeczy. Szczegóły oczywiście po obdukcji.

- Jakies obrażenia obronne? - zapytał Cehak.

- Nie zauważyłem świeżych zsinień ani zadrapań. Wie pan, utrata przytomności przy tego rodzaju działaniu następuje po dziesięciu, piętnastu sekundach. Zaszedł ją od tyłu, więc miała ograniczone możliwości, ale kto wie, może go dosięgnęła?

- Dzięki - mruknął Cehak.

Profesor zniknął na schodach, a prokurator i aspirant zajrzeli do pokoju.

Technik właśnie ściągał zabezpieczenie z pokrytej specjalnym klejem folii. Szalik zdjęty z szyi ofiary leżał rozłożony na materacu, po chwili plastikowy pasek przylgnął do materiału. Technik przejechał po nim palcem, a potem oderwał ostrożnie, obejrzał pod światło i schował do pojemnika. Kiedy zorientował się, że Cehak z Przeworskim go obserwują, podniósł pojemnik.

- Krótkie, białe włókna przypominające ludzkie włosy. Sporo tego.

- Czyli po prostu włosy? - zapytał Cehak.

- Dopóki nie potwierdzi tego laboratorium, formalnie to są włókna, i tak wpiszę do protokołu oględzin. Ale tak: albo zarost, albo bardzo krótkie włosy z głowy, raczej starszej osoby, bo wyglądają na siwe. Nikt chyba nie farbuję sobie takiej szczeciny na siwo? - Zerknął na pojemnik. - Plus niewielkie fragmenty naskórka.

- No to mamy skarb. - Cehak uśmiechnął się drapieżnie. - Jeszcze jakieś miłe wiadomości?

- Paluchy zdjęte. - Technik rozejrzał się po pokoju. - Z traseologią słabo, bo jest wykładzina. Rozmazów krwi brak, luminol niczego nie wykazał. Więcej w zasadzie nie potrzeba.

- Poproszę jeszcze wyskrobiny spod paznokci.

- To właśnie miałem zaraz zrobić, ale jednak sugerowałbym obcinki.

- Jasne. - Cehak zerknął na Przeworskiego z lekkim zakłopotaniem. - Tak to jest, kiedy usiłujesz zaimponować fachowcowi.

Przeworski uśmiechnął się lekko i wskazał na coś w głębi pokoju.

- Otwierałeś drzwi na balkon? - zapytał policjanta.

- Nie, były uchylone. Zdjąłem tylko odbitki z klamki.

- Jasne. Kiedy będziemy mogli wejść?

- W zasadzie już, tylko mimo wszystko postarajcie się nie machać za bardzo łapami - odparł technik i kucnął obok łóżka, przy dłoni ofiary, wracając do swojej roboty.

Akurat wrócił Śpiewak, więc we trzech ostrożnie weszli do pokoju, jeszcze raz przyglądając się przy okazji uszkodzonym drzwiom. Minęli łóżko, zerkając na zwłoki, potem stanęli przy oknie. Aspirant łokciem otworzył lekko uchylone drzwi na balkon. Wyszedł na zewnątrz

i rozejrzał się. Pokój znajdował się na czwartym piętrze, a widok, jaki Przeworski miał przed sobą, nie był może zbyt piękny, lecz na pewno ciekawy. Balkon i okna apartamentu zajmowanego przez kobietę wychodziły na podwórze; wspólne dla stojących w pierzejach kamienic zajmujących cały kwartał ulic. Przeworski zauważył, że prawie nie ma tu oficyn wcinających się szarymi bryłami w przestrzeń, na zewnątrz było jasno, nic nie przesłaniało nieba. Ten fragment miasta zabudowany był eleganckimi kamienicami o bogatych detalach na elewacjach, w sumie przed wojną zamieszkiwali je przedstawiciele bogatszej warstwy społeczeństwa.

Uwagę Przeworskiego od razu jednak zwróciły rusztowania, stojące przy ślepych fragmencie ściany sąsiedniego budynku. Umieszczono je na tyle blisko balkonu, że bez problemu można było się na niego po nich dostać. Aspirant podszedł do rusztowań, ale ani na pomostach, ani na barierkach czy płycie balkonu nie było żadnych śladów. Po cichu na to liczył, bo zwykle w takich miejscach zalegało sporo kurzu, ale jego nadzieje rozwiął, a w zasadzie rozmył deszcz, który siąpił w nocy.

- Musiała go wpuścić przez okno, a w zasadzie przez wyjście na balkon, bo było otwarte, a Vogel twierdzi, że niczego nie dotykał - stwierdził Przeworski.

- Na to wygląda - mruknął Cehak.

- Wszedł po rusztowaniu, zapukał w szybę, a ona otworzyła, bo z zewnątrz nie da się tego zrobić. Musiała go też znać, bo inaczej narobiłaby krzyku. Pewnie była zdziwiona, ale jednak go wpuściła. Potem coś poszło nie tak, ale wszystko działa się szybko, bo nie zdążyła krzyknąć. Musiał być silny, ona nie jest drobna, ale dopadł ją tak szybko, że nie zdążyła zareagować. Czyli krąg ewentualnych podejrzanych można teoretycznie zawęzić do ludzi, których znała.

- Vogel - zasugerował Śpiewak.

- Naturalnie. - Cehak potwierdził to skinieniem głowy, choć śledczy nie odkrył Ameryki.

- Wchodziłby po rusztowaniu? - zapytał Przeworski. - To musiał być ktoś z zewnątrz, kto nie miał dostępu do hotelu.

- Albo nie chciał się dać złapać kamerom.

- Też - zgodził się Przeworski. - Dostał się na podwórze przez inną bramę.

Oparci o barierkę przyglądali się jeszcze przez chwilę zaparkowanym na dziedzińcu samochodom.

- Dobra, trzeba pogadać z tym Voglem - rzucił w końcu Cehak, wzdychając.

- Nie zna polskiego - poinformował go Przeworski.

- Ale na szczęście ty znasz niemiecki. - Prokurator powiedział to raczej beztrąsko, i za to Przeworski go lubił i cenił: facet rzadko kiedy widział w czymś problem.

Cehak zezwolił na zabranie ciała na sądówkę, kiedy tylko technik skończy swoją robotę, a potem wszyscy zeszli na dół, do holu recepcji, gdzie z zaskoczeniem odkryli, że Niemca tam nie ma.

3

Stali przez chwilę, nie wiedząc, co robić, bo dziewczyny za kontuarem też nie było.

- Co jest gra... - Cehakowi przerwał głośny dźwięk sygnału nadjeżdżającej windy, a kiedy drzwi rozsunęły się, zobaczyli recepcjonistkę.

- Heinrich Vogel, był tutaj, nie wie pani, gdzie zniknął? - zapytał Przeworski.

Pytanie zaskoczyło dziewczynę, a może nawet nie tyle pytanie, ile widok Przeworskiego, Śpiewaka i Cehaka. Przez cały czas miała wzrok utkwiony w telefonie i po prostu ich nie zauważyła.

- Poszedł do siebie - wyjąkała, kiedy odzyskała oddech.

Cehak bez słowa ruszył w kierunku windy.

- Numer pokoju? - zapytał, mijając dziewczynę.

- Trzysta osiem - bąknęła.

- Dzięki. - Ponieważ Cehak wyraźnie ociągał się z podziękowaniem, Przeworski zrobił to za niego, a potem razem ze Śpiewakiem ruszyli za prokuratorem.

Po chwili jechali małą windą na górę.

- Nie lubię niespodzianek - mruknął Cehak oparty o panel ze stali nierdzewnej.

- Spokojnie, tylko poszedł na górę...

Prokurator przez chwilę strzelał oczami po kątach kabiny, a potem wypalił:

- Dobra: chujowo mam w robocie ostatnio, i tyle.

Wszyscy uznali, że to wystarczy za tłumaczenie i w milczeniu dojechali na trzecie piętro. Kiedy stanęli przed drzwiami pokoju numer trzysta osiem, Cehak zdecydowanie w nie zapukał. Uchyliły się po chwili i za nimi ujrzeli Vogla. Był wyraźnie zdenerwowany. Odwrócił się bez słowa, nie czekając, aż wejdą, ani też nie

zapraszając ich do środka. W powietrzu unosił się smród dymu papierosowego, który dotarł z zewnątrz, z małego balkonu, wychodzącego na ulicę Piłsudskiego. Vogel musiał wypalić tam pewnie pół paczki.

Przeworski poinformował go krótko, kim są ludzie, którzy z nim przyszedli. Vogel skwitował to tylko lekkim skinieniem głowy i głośnym przełknięciem śliny, nie wstał z łóżka, na którym usiadł ze zwieszonymi ramionami. W niewielkim pokoju cztery osoby tworzyły już mały tłumek.

- Mogę prosić pana o paszport albo inny dokument tożsamości? - zwrócił się do Niemca Cehak, a Przeworski nawet nie musiał tłumaczyć, bo mężczyzna od razu wstał, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciągnął dokument i podał go prokuratorowi.

- Heinrich Vogel... Kim pan jest dla ofiary?

- Pracownikiem. Kierowcą. - Vogel spojrzał na Przeworskiego zmęczonym wzrokiem, jak gdyby miał mu za złe, że znów wałkują ten sam temat.

I pewnie miał.

- Nie jeździła sama? - zapytał prokurator.

- Nie. Od lat.

- Dlaczego?

- Kiedyś potrafiła człowieka. Od tamtej pory nigdy nie siadła za kółkiem.

- Rozumiem. Kim była pana szefowa?

- Helene von Zussow była bizneswoman. - Przeworski zauważył, że Vogel natychmiast przestawił się na czas przeszły: jednym w takich sytuacjach przychodziło to naturalnie, inni mieli z tym problem. - Miała spory majątek po mężu, który inwestowała w różne przedsięwzięcia, głównie budowlane, przeważnie nad morzem, na wyspie Uznam.

- A po co tu przyjechała?

- Ma tu biuro prowadzone przez polskiego współpracownika w związku z jej najnowszą inwestycją.

- W Szczecinie?

- Tak.

- Pytam o inwestycję. Czy też będzie w Szczecinie?

- Nie. - Vogel pokręcił głową. - Tu jest tylko biuro, bo prowadzenie go tam, na miejscu, nie miałyby sensu. To dziura na końcu świata.

- Czyli?

- Neuwarp. - Vogel posłużył się niemiecką nazwą, a Przeworski zdębiał.

Kątem oka zauważył, że Cehak też jest lekko zdziwiony.

- Poważnie? - zapytał.

- Co w tym dziwnego?

- Hmm... - Aspirant musiał uczciwie przyznać sam przed sobą, że mimo niezaprzecznego uczucia, jakim darzył od kilku miesięcy to miejsce, było to jednak dziwne, a co najmniej zastanawiające. Nie tylko zbieg okoliczności, ale i sama inwestycja.

Vogel po chwili dodał:

- Byłem tam z nią kilka razy i też byłem lekko zaskoczony wyborem tego miejsca, ale nie dyskutowałem, przecież to nie mój interes. - Wzruszył ramionami.

Przeworski przetłumaczył Cehakowi ostatnią wymianę zdań.

- Co to miało być? - padło po chwili kolejne pytanie.

- Ekskluzywne spa nastawione głównie na gości niemieckich - odparł Vogel. - Naprawdę wysoki poziom. Cokolwiek by powiedziec o tym miejscu, to faktycznie panuje tam niezmierny spokój.

Przeworski nie skomentował. To była częściowa prawda: zdarzały się momenty, gdy bywało tam głośno jak na torze wyścigowym. Zwłaszcza w pogodne weekendy.

- Tak się składa, że spędziłem tam ostatnie kilka miesięcy, ale nie słyszałem o takich planach. - Zmarszczył brwi.

- Zaczęło się około półtora roku temu, były jakieś kłopoty z działką, na której chciała ten kompleks budować. Miał być przetarg, poza tym to obszar chronionego krajobrazu, więc do załatwienia było sporo formalności. Po to właśnie zatrudniła szczecińskiego architekta, który miał wszystko ogarnąć.

- Poproszę adres biura i namiary na tego człowieka.

- Powinny być w telefonie Helene. Jakby co, wiem, jak tam trafić, ulica Wielkopolska, a architekt nazywa się Grubich.

- No dobrze, przejdźmy do wczorajszego wieczoru. Czy ona była zdenerwowana albo zachowywała się dziwnie?

- Nie. Absolutnie nie.

- Kto rezerwował hotel?

- Pewnie Helene. - Vogel wzruszył ramionami. - Kiedy wczoraj przyjechaliśmy, po prostu dała mi kod do mojego pokoju i rozstaliśmy się.

- Dlaczego nie zatrzymaliście się w jakimś dobrym hotelu?

- A ten jest niedobry?

- Wie pan, o czym mówię? Majętna kobieta zatrzyma się raczej w minimum czterogwiazdkowym hotelu, a nie w apartotelu, bez względu na to, jak bardzo jest sympatyczny i nastrojowy.

Vogel wzruszył lekko ramionami.

- Może to przez żydowskie korzenie Helene, a może dlatego, że nie miała wygórowanych żądań ani wielkich potrzeb.

- Przepraszam, a czym pan ją woził? Czy tym białym mercedesem 500 na berlińskich numerach, który stoi na parkingu w podwórzu?

- Tak. Ma pan coś przeciwko temu?

- Tylko pytam, w kontekście tych niedużych potrzeb.

- Sporo jeździmy, więc chodzi o komfort, i tyle. Miała kupić smarta albo mini? A ten hotel w zupełności jej wystarczał. Zresztą nawet wczoraj powiedziała, że jest podobny do jej kamienicy w Berlinie.

- Mieszkała w kamienicy? - zdziwił się aspirant.

- Tak, ma całą, trzypiętrową na Kreuzbergu, mieszkania na pierwszym piętrze są połączone, a na parterze jest jej biuro.

- Faktycznie, niewielkie potrzeby - mruknął pod nosem Przeworski, ale po polsku, do Cehaka i Śpiewaka, kończąc tłumaczenie słów Vogla.

- No dobrze, jak już wyniosą ciało, chcielibyśmy, żeby pan spojrzął, czy nic nie zginęło.

- Nie wiem, co miała w bagażu. - Vogel wzruszył ramionami.

- Mimo to nalegam. Przejdziemy teraz na górę.

Vogel wstał jak automat i opuścili pokój. Śpiewak nie odzywał się przez cały czas, bo w zasadzie nie miał po co, nawet jako dochodzeniowiec: na miejscu był prokurator, a Przeworski, choć był

kryminalnym, pełnił funkcję tłumacza. Idąc na górę, usłyszeli jakieś szmery, a kiedy minęli półpiętro, u szczytu schodów zobaczyli ludzi z zakładu pogrzebowego.

Ciało Helene von Zussow w szarym plastikowym worku znoszono schodami, ponieważ nie zmieściłoby się do windy inaczej niż w pozycji pionowej. Wszyscy cofnęli się i zeszli z powrotem na trzecie piętro, odprowadzając w milczeniu wzrokiem ponury kondukt. Kiedy dotarli do pokoju ofiary, technik właśnie pakował sprzęt.

- To proszę bardzo, niech pan się rozejrzy. - Aspirant zatoczył ręką po pomieszczeniu.

- Co mogę powiedzieć? - Vogel wzruszył ramionami. - Nic... Chociaż zaraz, wiem, że miała jakieś dokumenty dla kogoś. W takiej skórzanej okładce, jeszcze wczoraj wieczorem leżały na biurku. Nie widzę ich tu.

- Coś ważnego?

- Nie, podobno jakieś zapiski rodzinne.

- Może są w środku? - Przeworski wskazał walizkę stojącą w rogu.

- Niech pan zerknie.

Vogel położył ją na podłodze i otworzył, a potem zaczął przebierać w starannie złożonych ubraniach.

- Nie ma - oznajmił po chwili, zamykając walizkę.

- Dobrze. - Prokurator rozejrzał się po pokoju. - To na koniec jeszcze jedna sprawa. Czy zgodzi się pan na pobranie odcisków linii papilarnych oraz materiału biologicznego?

- Słucham? - Koniuszek języka Vogla zwilżył górną wargę.

Cehak, a za nim Przeworski cierpliwie powtórzyli pytanie.

- Czy jestem podejrzany? - zapytał Vogel.

- To standardowa procedura, może pan oczywiście odmówić, bo nie jest pan podejrzany, jednak sam pan rozumie, że ze względu na okoliczności musimy brać pod uwagę wszystkie opcje. Więc jak, zgodzi się pan?

Mężczyzna milczał.

- Nie zabiłem jej - powiedział w końcu, a w jego głosie brzmiał ton jakiejś rozpaczliwej skargi.

- To tym bardziej nie powinno być problemu, prawda? - Cehak uśmiechnął się przyjaźnie.

- Zostanę teraz aresztowany?

- Absolutnie nie, tłumaczę panu, że nie ma ku temu żadnych podstaw. Po prostu chcemy mieć materiał do analiz. Niech pan zrozumie, na miejscu zbrodni najprawdopodobniej i tak są pańskie ślady czy to daktyloskopijne, czy biologiczne. Przecież widział się pan z ofiarą, był pan wczoraj u niej w pokoju, pewnie stykaliście się jakoś, prawda? Chodzi tylko o wykluczenie: chcemy wiedzieć, które ślady należą do pana, a nie zastanawiać się, czy są to jednak ślady sprawcy. Czy to jest dla pana jasne?

- Tak.

- Więc jest zgoda?

- Tak - powtórzył Vogel.

- Technik pobierze próbki na miejscu, od razu: odbitki linii papilarnych i wymaz z ust, bezbolesny. - Zerknął na technika, który obojętnie skinął głową i od razu wyciągnął nową parę lateksowych rękawiczek.

Procedura trwała kilka minut, Vogel wykonywał bez słowa polecenia policjanta, dając sobie pobrać odbitki linii papilarnych i wymaz z jamy ustnej. Potem w milczeniu wytarł ręce i wargi nawilżanymi chusteczkami, które dał mu technik.

- Proszę nie wyjeżdżać na razie ze Szczecina, najlepiej niech pan zostanie tu jeszcze przez kilka dni - przetłumaczył słowa Cehaka aspirant.

- Dlaczego? - Ręce składające chusteczkę zastygły w powietrzu.

- Pyta pan poważnie?

- Tak. Bardzo poważnie. - Niepewność zniknęła z oczu Vogla, teraz patrzył Cehakowi w twarz twardym i nieustępliwym wzrokiem.

- No cóż, nie ukrywam, że jest pan ważnym świadkiem w sprawie. Chciałbym mieć pana pod ręką, to nie jest kradzież ogórków z piwnicy, tylko zabójstwo. Czy to wystarczające wyjaśnienie?

- Tak. Czy mogę już iść do swojego pokoju?

- Oczywiście, bardzo proszę. I dziękuję za współpracę.

- A miałem jakieś wyjście?

Cehak spojrział na niego przeciągle.

- Zawsze jest jakieś wyjście - odparł enigmatycznie.

Vogel obrzucił ostatnim spojrzeniem puste łóżko, na którym była już tylko skotłowana pościel, nawet porozcinane ubrania zniknęły. Wyszedł z pokoju, jeszcze przez chwilę widzieli jego zgarbione plecy, a potem zniknęła za załomem korytarza.

W tej samej chwili w drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna. Miał rozbiegany wzrok, w pośpiechu rozpinął zamek lekkiej kurtki.

- Dzień dobry, Łukasz Sudoł, jestem właścicielem tego hotelu - wysapał. - Przepraszam, że tak długo, ale jechałem ze Świnoujścia, mam tam jeszcze jeden.

- Nic się nie stało. I dobrze, że pan jest, bo mamy parę pytań.

- Słucham. - Wzrok Sudoła prześliznął się między nimi i padł na łóżko.

W jego spojrzeniu widać było równocześnie zdziwienie i zaskoczenie. Przeworski ze Śpiewakiem i Cehakiem wyszli na korytarz.

- Jak można dostać się do hotelu?

- Praktycznie tylko wejściem głównym, zarówno z ulicy, jak i z parkingu wewnątrz kwartału.

- A wyjście ewakuacyjne?

- Jest zamknięte, z zewnątrz nie ma możliwości dostania się do środka bez klucza.

- A od wewnątrz?

- Wewnątrz jest klucz, w pojemniku z szybką, którą trzeba zbić, żeby go wyciągnąć.

- W nocy nie ma tu nikogo, jak więc wchodzi ktoś, kto przyjechał późno?

- Rezerwacja jest telefoniczna albo przez stronę internetową, naszą lub przez booking.com. Klient dostaje mailem kod do bramy, który jest równocześnie kodem do zamka w drzwiach apartamentu. Faktycznie, recepcja działa tylko w dzień, do dwudziestej.

- Od kiedy kod do wejścia jest aktywny?

- Od północy dnia rozpoczęcia pobytu.

- A te skrzyneczki? - Cehak wskazał niewielki pojemnik przy drzwiach do pokoju, podobne były przy pozostałych.

- Tu są klucze do drzwi, ale z kolei klucze do skrzynek są tylko w recepcji, w zamkniętym pomieszczeniu, do którego nie mają dostępu goście.

- Czy system rejestruje godzinę wejścia danego gościa do hotelu czy do pokoju?

- Nie. - Sudoł wzruszył ramionami i zrobił minę, jakby było mu przykro. - To zwykle zamki cyfrowe.

- A co z monitoringiem?

- Mamy, oczywiście.

- Gdzie są kamery?

- W strefie wejściowej, na klatce schodowej na każdym piętrze i na parkingu, który jest w podwórzu.

- Przy ewakuacyjnym też? - zapytał Przeworski.

- Tak.

- Będziemy pana prosić o udostępnienie nagrań - powiedział Cehak.

- Jasne. Prześlę je.

- Dałoby radę obejrzeć na szybko? - zapytał Śpiewak. - Chociaż zapisy z tej kamery? - Wskazał na białą półkulę z czarnym okiem wiszącą pod sufitem korytarza i wyglądającą jak dopiero zaczęte gniazdo os.

- To zajmie trochę czasu.

- Obejrzymy tylko te z tych kamer, które obejmują wejście do tego pokoju, podwórze i wejście do hotelu. To nam na razie wystarczy.

- One w zasadzie aktywują się poprzez czujniki ruchu. Kiedy nic się nie dzieje, są wyłączone.

- To tym bardziej oszczędzi nam czasu.

- Musielibyśmy zejść do recepcji.

- To chodźmy - zdecydował Cehak, rozkładając ramiona jak kwoka skrzydła, gdy chce zgarnąć przychówek.

Czekali na windę prawie minutę i aspirant już miał zaproponować, żeby poszli schodami, kiedy rozległ się dźwięk powiadomienia i drzwi się rozsunęły. Wcisnęli się do kabiny i w milczeniu zjechali na dół,

gdzie Sudoł zaprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia bez okien na tyłach recepcji. Sam usiadł przy komputerze i zaczął klikać myszą, skacząc strzałką kursora po kolorowych prostokątach.

Spędzili tak ponad pół godziny, oglądając nużące, nieruchome i czarno-białe kadry, na których przemykali goście. Helene von Zussow weszła do swojego pokoju o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt i już z niego nie wyszła, nikt również się przed jej drzwiami nie zjawił, nawet przechodzący korytarzem goście, bo pokój był na ostatnim piętrze, praktycznie na końcu korytarza. Dopiero rano przyszedł Vogel. Pokręcił się kilka minut, zapukał parę razy, przystawiał do drzwi ucho, potem zniknął, a kiedy pojawił się minutę później, miał przy uchu telefon, ale nie poruszał ustami. Kiedy Przeworski patrzył, jak wyłamuje zamek w drzwiach dwoma kopnięciami, zwrócił uwagę na sposób, w jaki to robi. Miał obróconą na płasko stopę, druga noga była wyprostowana, tułów miał odchyłony do tyłu, ale ani na moment nie stracił równowagi.

Zapisy z kamer przy wejściu również niczego nie wniosły do sprawy. Ofiara i Vogel weszli razem z walizkami tuż po dwudziestej. Policjanci i prokurator spore nadzieje wiązali z zapisami kamer usytuowanych na dziedzińcu, jednak mieli pecha. Kąt, pod jakim były skierowane, obejmował wyłącznie plac z samochodami. W kadr nie łapała się nawet jedna rurka rusztowania stojącego przy ścianie sąsiedniej kamienicy.

Było późne popołudnie, kiedy wszyscy się rozeszli. Opuszczając hol recepcji, Przeworski obejrzał się jeszcze na kontuar, za którym został Sudoł. Siedział tam zmartwiony i poruszony tym, co się wydarzyło, i aspirant nie próbował nawet zgadywać, jakie myśli kotłują mu się teraz w głowie.

W poniedziałek rano, tuż po dziesiątej, odezwał się ktoś z konsulatu generalnego Niemiec we Wrocławiu. Przeworski poprosił o oficjalne przekazanie wiadomości rodzinie, poinformował, że pracownik ofiary wie o zdarzeniu, choć zastrzegł, że nie ma pojęcia, czy powie komukolwiek z krewnych, co się stało. Godzinę później zadzwonił Andreas von Zussow, eksmaż denatki. Był poważny, ale nie zrozpaczony. Rozmowa była krótka, von Zussow obiecał, że zacznie organizować transport zwłok do Berlina, a Przeworski zapytał, czy

będzie możliwe spotkanie w najbliższym czasie. Niemiec zdziwił się trochę, ale wyraził zgodę. Aspirant i tak musiał zawiadomić Biuro Współpracy Międzynarodowej Policji w komendzie wojewódzkiej i szykował się na wypad do Berlina. W zasadzie nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Przeworski wiedział, że tego typu zbrodnie, popełniane nieprzypadkowo czy w afekcie, wymagają zupełnie innej specyfiki pracy i podejścia. Zwykle motyw tkwił wtedy gdzieś w bliższej lub dalszej przeszłości, a sprawcę i ofiarę coś łączyło.

4

- Dzień dobry, aspirant Dominik Przeworski, komenda miejska policji w Szczecinie, czy rozmawiam z panem Robertem Grubichem?

Znalezienie numeru telefonu nie stanowiło problemu, wystarczyło wpisać nazwisko w wyszukiwarce, a dane biura pojawiły się od razu. Pracownia projektowa „Architextura” mieściła się w kamienicy na Wielkopolskiej i wyglądało na to, że zaadaptowano na nią zwykłe mieszkanie.

- Tak, a w jakiej sprawie? - W tonie mężczyzny pobrzmiwała ostrożność.

- Chciałbym pana odwiedzić za chwilę, jest pan na miejscu?

- Tak, ale w jakiej sprawie?

- Powiem, kiedy się zobaczymy. Będę za dziesięć minut.

- Czekam - usłyszał po krótkiej chwili milczenia.

Tak wyglądała pierwsza rozmowa, a teraz Przeworski siedział w niewielkim pomieszczeniu pracowni, stwierdzając, że potwierdziły się przypuszczenia co do jej charakteru. Patrzył na Grubicha, szczupłego, siwiejącego na skroniach mężczyznę w średnim wieku, który siedział przed nim w milczeniu ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Aspirant poinformował go przed chwilą, w jakiej sprawie przyszedł, i czekał już kilkanaście sekund, aż wyraźnie wstrząśnięty architekt dojdzie do siebie. Czekając tak, rozglądał się po skromnym biurze. Wystrój był oszczędny, ale widać było, że przemyślany. Przeworski zdawał sobie sprawę, że pracownia Grubicha nie jest molochem. Za szybą oddzielającą gabinet od sąsiedniego pomieszczenia siedziała przed komputerem młoda dziewczyna, która na nim pracowała i równocześnie rozmawiała z kimś przez telefon. Za nią stał ploter. Na ścianach wisiały wielkoformatowe wydruki jakichś planów i wizualizacje budynków.

W końcu Grubich westchnął, pokręcił głową i popatrzył na aspiranta żałośnie.

- Kurwa - powiedział i spojrzał lekko spłoszony na Przeworskiego.
- Przepraszam...

- Nie ma sprawy. - Aspirant nie spuszczał z niego wzroku.

- Bo wie pan... - Architekt znów pokręcił głową. - Dla mnie ta tragedia ma aspekt wielowymiarowy. Życie ludzkie, jej życie, to jedno. Ale chodzi też trochę o moje. Sam pan widzi, że prowadzę niewielką pracownię. Ja, dziewczyna, którą zatrudniam, i studenci na praktyce. To nie są dobre czasy dla architektów, zwłaszcza na takim zadupiu jak Szczecin. Niektórym idzie nieźle, ale jest ich niewiele i niestety do nich nie należę. Kilku moich kolegów już dawno się przebranzowiło, kilku następnych się zastanawia... Nie będę ukrywał, że Helene była moją szansą. Miała mnie odwiedzić w sobotę, nie pojawiła się, a kiedy dzwoniłem, nie odbierała ani nie oddzwaniała. Teraz wiem dlaczego. - Sięgnęła po coś do kieszeni koszuli i wyciągnęła cienki złoty łańcuszek. Na jego końcu Przeworski zobaczył małą gwiazdę Dawida. - Zamierzałem jej to oddać. Znalazłem po ostatniej wizycie w moim biurze, widać się zerwał i nie zauważyła.

- Podobno była Żydówką z pochodzenia - poinformował go Przeworski.

Grubich przez chwilę patrzył na niego w milczeniu i aspirantowi wydawało się, że w jego wzroku widzi lekkie zaskoczenie.

- Mogłem się domyślić, kiedy znalazłem ten łańcuszek... - bąknął w końcu.

- Jak pan ją poznał? - zapytał Przeworski, nie kontynuując tematu.

- Eee... - Grubich znów próbował się skupić. - Przez znajomego z Berlina, Polaka, który tam mieszka i pracuje od lat jako architekt. Wspominała mu, że szuka jakiegoś obrotnego architekta albo urbanisty, ale w Szczecinie, który mógłby ogarnąć temat tej inwestycji. Pojechałem do niej porozmawiać i przekonałem ją do siebie.

- Robił pan projekt tego spa?

- Spa?

- Tak słyszałem, że to ma być spa.

- Powiedzmy, że spa, ale tak naprawdę to dużo więcej. - Grubich zrobił niewyraźną minę. - Nie, ja ogarniałem tylko sprawy urzędowe.

Tylko i aż. To dość spora inwestycja, mimo że w takim miejscu, a przepisy są skomplikowane. Samo jej przygotowanie wymaga mnóstwa pracy. Zainwestowałem dużo czasu, trochę pieniędzy. Same mapy, podkłady geodezyjne kosztują krocie. Nie do wiary... - Zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu i złapał się za nią, mierzwiąc włosy.

- Czy była z kimś skonfliktowana?

- Nie rozumiem?

- Czy w związku z inwestycją istniał jakiś konflikt na tym tle? - dociękał Przeworski. - Komuś się nie podobała? Miał plany związane z tą działką?

Grubich spojrział na aspiranta zaskoczony, a potem parsknął śmiechem.

- Pan żartuje? To nie Moskwa ani Neapol.

- Pytam. - Przeworski miał nieprzenikniony wyraz twarzy. - Jak czegoś nie wiem, to pytam, rozumie pan? To moja praca. I proszę o odpowiedź.

Grubich spowaźniał, poprawił się w fotelu i przysunął bliżej stołu.

- Nic mi nie wiadomo o tym, żeby istniał jakikolwiek konflikt na tym tle.

Nagle leżący na stole telefon Grubicha zawibrował, a na wyświetlaczu ukazało się zdjęcie przyporządkowane do kontaktu. Przeworski zdążył zobaczyć rozświetloną słońcem twarz, której góra była zakryta cieniem padającym z kasku rowerowego i podpis: Rysiu Peplicki. Grubich lekko speszony nakrył telefon dłonią, jakby wstydził się, że ktoś zakłóca ich rozmowę.

- Oddzwonię później - powiedział do aspiranta.

- Niech pan powie to tej osobie, a nie mnie. - Przeworski podbródkiem wskazał rękę Grubicha.

- To inwestor. Poczeka. To on ma sprawę do mnie, nie ja do niego. - Grubich spojrział na aspiranta z ukosa i przesunął telefon na drugą stronę. - Nie pyta mnie pan o alibi?

- A powinienem? - Przeworski lekko uniósł brwi.

Lubił czasem pograć z ludźmi, a facet sam się dopraszał.

- Nie, no... Myślałem, że wszystkich się o to pyta.

- Wszystkich podejrzanych.

- No tak... - Architekt lekko poczerwieniał.

- A jakie jest pańskie?

Grubich drgnął, jak uczeń wywołany niespodziewanie do odpowiedzi, skubnął paznokciem skórę na drugiej dłoni i zerknął szybko na szklaną ścianę oddzielającą gabinet od pomieszczenia dla projektantów.

- Tam siedzi moje alibi - mruknął. - Ma na imię Weronika i spędziliśmy razem noc. U niej.

- Jasne. Nie musi się pan z niczego tłumaczyć, jesteście dorośli.

- Cieszę się. - Grubich jeszcze raz zerknął na dziewczynę.

- No nic, dziękuję za rozmowę. - Przeworski wstał. - Proszę być przygotowanym, że w każdej chwili mogę się do pana zgłosić, gdybym potrzebował jakichś informacji. Aha, jeszcze jedno: czy ona miała panu coś dać?

- To znaczy co?

- Zapiski rodzinne. Coś w tym rodzaju.

Grubich patrzył przez chwilę na aspiranta, a potem lekko się uśmiechnął.

- Łączyły nas wyłącznie interesy. Nie mam pojęcia ani o żadnych zapiskach, ani o jej rodzinie.

- Jasne, dziękuję.

- Jak zginęła? - zapytał nagle Grubich, nie wstając zza stołu.

- Nie mogę panu powiedzieć.

- I tak przypuszczalnie to zaraz wyjdzie i wrzucą to w necie.

- Zapewne - zgodził się aspirant. - Ale im później, tym lepiej. Po co panu ta informacja?

- Chciałbym tylko wiedzieć, że nie cierpiała. Chociaż tyle.

Przeworski patrzył na niego przez chwilę w milczeniu.

- Do widzenia - rzucił na odchodnym.

Kiedy aspirant przechodził przez pomieszczenie, w którym pracowało alibi Grubicha, dziewczyna spojrzała na niego i uśmiechnęła się leciutko, a potem wstała i szybkim krokiem ruszyła do gabinetu szefa.

- Robert, będę mogła wyjść dziś wcześniej? - dotarły jeszcze do Przeworskiego ciche słowa. - Tak o wpół do siódmej?

Odpowiedź Grubicha już do aspiranta nie dotarła, bo zdążył opuścić pracownię. Wieczorem usiadł na chwilę do komputera i w wyszukiwarce Facebooka wpisał imię i nazwisko, które zobaczył na telefonie architekta. Zrobił to ot tak, z czystej ciekawości. Przewijał stronę i oglądał zdjęcia: prawie na każdym Ryszard Peplicki był na rowerze albo stał obok niego. Na jednym z wrzuconych przez Peplickiego selfików załapał się nawet Grubich. Peplicki musiał być rowerowym szajbusem, co wzbudziło w Przeworskim sympatię do niego, bo lubił sportowych szajbusów, mimo że powoli przestawał być jednym z nich. Może to wiek, choć trzydziestka z kawałkiem nie była przecież wytłumaczeniem, a może okoliczności, kto to mógł wiedzieć? Widać było za to, że sprzęt, szosowy rower z karbonową ramą i markowym osprzętem, jest drogi jak cholera. Na zdjęciu, na którym był Grubich, rower architekta wyglądał przy nim jak ubogi krewny. Chwilę później wyjaśniło się, jak Peplicki zarobił na swój. W sieci Przeworski znalazł informacje, że człowiek ten jest szefem dużej spółki deweloperskiej Herystal, działającej w Szczecinie i na wybrzeżu Bałtyku. Trochę stało to w sprzeczności z tym, co stwierdził Grubich o braku roboty, ale może kontakty dotyczyły tylko rowerów. Przeworski przeleciał wzrokiem kilka artykułów o Peplickim i jego spółce, zerknął na stronę firmową, a potem ziewnął i wyłączył komputer.

5

Warszawa, 1 sierpnia 1944

Bernard Strapko poprawił zasłonę, a kiedy odruchowo zerknął przez okno na ulicę, rozpaczliwy, palący żółcią strach chwycił go za gardło. To nie mógł być przypadek. Kubelwagen właśnie zatrzymywał się przed ich kamienicą, za nim nadjeżdżała wojskowa ciężarówka z paką zakrytą plandeką. Stał jak sparaliżowany i patrzył na wysiadającego z samochodu esesmana, a pan Janek, dozorca polewający właśnie wodą chodnik przed budynkiem, znieruchomiał z gumowym węzłem w zaciśniętej dłoni. Strapko mógł tylko obserwować, nie był zdolny do żadnego ruchu. Patrzył, jak Niemiec macha ręką w stronę siedzącego z tyłu cywila, a ten podrywa się i wyskakuje na chodnik, nawet nie otwierając drzwi. Na rękawie szarego munduru oficera widać było złowrogi czarny romb z białymi literkami SD i kiedy Strapko go dostrzegł, wiedział już, że to koniec. Momentalnie wyschło mu w ustach. Gestapowiec rozmawiał przez chwilę z dozorcą, a kiedy w pewnej chwili uniósł głowę i spojrzał w górę, Strapko odniósł wrażenie, że spotykają się wzrokiem.

Zmartwiwał.

Był w domu z Anielą i córką Jadzią. Władek wyszedł za swoimi sprawami, jak na dwunastolatka był bardzo dojrzały. Sytuacja zrobiła się nieciekawa, Sowieci stali za Wisłą, Niemcy byli nerwowi, a Strapko podejrzewał, że Moryc, który jeszcze w getcie miał kontakty z AK, w coś chłopaka władował. Kilka miesięcy temu Anieli znalazła w spodniach Władka ulotkę, chłopak przysięgał, że znalazł ją na ulicy. Dostał w tyłek dwa razy: raz za to, że podniósł ją w ogóle z ziemi, a drugi za to, że wciąż była w kieszeni. Kiedy pewnego razu Władek wrócił z białymi plamkami na rękach, Strapko był pewien, że malował na murach kotwice Polski Walczącej. Kiedy go o to zapytał wściekły jak rój os, chłopak bezczelnie spojrzał mu w oczy

i wymownie zerknął na szafę, odbierając mu argumenty. Tym razem pasek został w spodniach.

Strapko zobaczył, jak oficer macha na żołnierza siedzącego za kierownicą, zaciska palce na fartuchu pana Janka i popycha go w stronę samochodu, aż starszy pan oparł się o karoserię. Kierowca podszedł do nich obojętnie i stanął z ręką zaciśniętą na karabinie, a gestapowiec ruszył w kierunku bramy, znikając Strapce z oczu. Towarzyszący mu cywil natychmiast pobiegł za oficerem.

Odrętwiały z przerażenia Strapko nie usłyszał żony za pierwszym razem.

- Co się dzieje? - Głośniejsze słowa dotarły do niego wreszcie.

Odwrócił głowę w jej stronę, a Aniela zbladła, widząc twarz męża.

- Gestapo - wychrypiał. - Są na dole.

- Może to nie po... - wyszeptwała pobielełymi wargami, nie kończąc, ale w jej oczach Strapko widział, że podobnie jak on nie ma żadnych złudzeń.

Kilka dni temu dwudziestoparoletni Józek, syn ich sąsiadów z pierwszego piętra, wrócił z Pawiaka. Potwornie pobity i posiniaczony, jeszcze lizał rany, lekarz przyjeżdżał praktycznie codziennie. Schwytyany w łapance, spędził w więzieniu miesiąc i wszyscy uważali za cud to, że wyszedł. Jego matka nosiła na gestapo łapówki, wyprzedala praktycznie wszystko, co Skibińscy mieli w domu, i chyba tylko dzięki temu mogła teraz całować niemal bezzębne usta, a Józek powoli zaczynał ją widzieć przez zapuchnięte oczy. Jedno, bo na drugie już nie widział, i zdaniem doktora nie był szans na odzyskanie wzroku.

Strapko wiedział jednak, że oni nie mają co liczyć na takie szczęście, jakie miał Józek. Stało się to, z czym musieli się liczyć, podejmując tamtą trudną decyzję, choć oboje wznosili żarliwe modły, żeby to się nie wydarzyło. Ale Bóg miał widać swój plan.

- Co się dzieje? - zapytała Jadwisia, wchodząc do pokoju, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Dudnienie buciorów na schodach i walenie do drzwi było jak ogłoszenie wyroku.

- *Aufmachen! Gestapo!* - Wrzask dochodzący zza nich odebrał wszystkim oddech.

Strapko nie miał wyjścia. Gdyby nie otworzył drzwi, i tak by je wyważyli, a byłiby tylko bardziej rozwścieczeni. Podszedł do nich na miękkich nogach, czując na sobie spojrzenie Anieli. Wwiercało mu się w czaszkę jak świder. Poczul na czole pot, a na skroni pulsującą żyłę. Zdrewniała ze strachu dłońią sięgnął do klamki, drugą przekręcił zamek. Trzpień ślizgał mu się w spoconych palcach. Strapko modlił się. Gorąco. Kiedy zza drzwi znów doszedł go wrzask Niemca, otworzył je na oścież. Stojący za nimi człowiek ruszył gwałtownie do przodu z wyciągniętą przed siebie ręką, odepchnął gospodarza i wszedł do mieszkania. Strapko odbił się od ściany. Podeszwy butów zadudniły o drewnianą podłogę, za człowiekiem ubranym po cywilnemu do środka wszedł powoli esesman. Zamknął za sobą drzwi, powoli i bez trzaskania. Ten pozbawiony agresji i spokojny ruch sprawił, że w serce Strapki wlała się kropla nadziei. Cywil w kapelusiku i skórzanym płaszczu, w którym musiało mu być gorąco, rozejrzał się po ciasnym korytarzyku, a kiedy przez otwarte drzwi dużego pokoju zobaczył nakryty do obiadu stół, wszedł tam. Esesman wyciągnął dłoń i delikatnie położył ją na ramieniu Strapki.

- *Na, komm* - powiedział cicho, popchnął go lekko, a kiedy Strapko ruszył z miejsca, poszedł za nim.

Słyszał miarowy stukot twardych podeszew i wydało mu się, że to tykanie zegara odmierzającego ostatnie minuty jego życia. Anieli stała przy stole w fartuchu, palce dłoni zaciśniętych na oparciu krzesła pobiełały z wysiłku. Nad wagą z zupą unosiły się smugi pary, w pokoju pachniało rosółem. W kącie koło okna, jak postawiona tam za karę uczennica, stała ze spuszczoną głową Jadwisia.

- *Wo ist das zweite Kind?* - zapytał esesman.

Miał ciepły i miły głos i znów w Strapce obudziło to nadzieję, która przysła ułamek sekundy później, kiedy uświadomił sobie, o co zapytał Niemiec. To nie był przypadek. W duchu nie przestawał się modlić.

- Nie ma, wyszedł - wyszeptał, rozkładając szeroko ramiona.

Gestapowiec złożył ręce z tyłu i stojąc na szeroko rozstawionych nogach, bujał się lekko na podeszwach oficerów. Z wyraźną lubością

zaciągnął się zapachem zupy, a potem znów zaszwargotał coś po swojemu.

- Z informacji, które posiada pan Obersturmführer, wynika, że w tym mieszkaniu ukrywany jest Żyd - wyszczekał volksdeutsch będący po cywilnemu, tłumacząc jego słowa na polski.

- T-to... To nieprawda! To kłamstwo! - krzyknęła Aniela falsetem, gardło miała ściśnięte ze strachu.

Strapko widział, że jego żona robi wszystko, by jej oburzenie wyglądało na autentyczne.

Niemiec poczekał, aż jego kompan przetłumaczy słowa kobiety, a potem podszedł do niej i niespodziewanie zdzielił ją w twarz wierzchem dłoni. Rozległ się pisk Jadzi zakrywającej dłońmi oczy i Strapko pomyślał, że dzieci nigdy nie powinny oglądać takich rzeczy. Ani brać w nich udziału.

- Pan Obersturmführer nigdy nie kłamie, kobieto! - krzyknął volksdeutsch.

Strapko podbiegł do Anieli, która po ciosie upadła na podłogę. Kiedy pomagał jej wstać, gestapowiec znów coś zaszwargotał.

- Pan Obersturmführer mówi, że nie chce mu się brudzić rąk szukaniem Żyda osobiście, więc oczekuje, że sami wskażecie miejsce jego ukrycia. Jeśli nie, zastrzeli dziewczynkę. - Palec volksdeutscha wycelował w Jadzię. - Macie dziesięć sekund na przemyślenie sprawy.

- Neeee!!!

- *Neun...*

- I tak nas zabijecie! - W głosie Bernarda Strapki pobrzmiwała rezygnacja.

Volksdeutsch przetłumaczył jego słowa gestapowcowi. Ten pokiwał głową, a na jego wąskich wargach wykwitł nikły uśmiech. Powiedział coś i człowiek w bawarskim kapelusiku wyskandował:

- Pan Obersturmführer przyrzeka na honor niemieckiego oficera, że jeśli wydacie Żyda niezwłocznie, zostanie wam darowane życie, a zostanieie jedynie skierowani na przymusowe roboty w Rzeszy.

- Tu nikogo nie ma, przysięgam, możecie sami sprawdzić... - jęknął Strapko.

- *Acht...* - Gestapowiec nie czekał, aż volksdeutsch przetłumaczy, tylko westchnął teatralnie i zagapił się w okno. - *Sieben... Sechs...*

Aniela rzuciła się i przypadła Niemcowi do kolan. Objęła je, zadarła głowę i spojrzała mu błagalnie w twarz.

- Błagam! - zawyła rozpaczliwie. - Tu naprawdę nikogo nie ma, panie oficerze! To nieprawda, że kogoś ukrywamy! To pomyłka!

- *Fünf...*

Volksdeutsch nawet nie trudził się tłumaczeniem. Jadzia kuciała przerażona w kącie, zasłaniając twarzyczkę rączkami. Cichy pisk dochodził zza zasłony wątych ramion.

- *Vier...* - Gestapowiec wyciągnął zza paska skórzane rękawiczki i obojętnie zaczął zakładać jedną na prawą dłoń.

- Nie! Błagam, nie!!! Chryste, Bernard, zrób coś! - Nie puszczać kolan gestapowca, Aniela odwróciła głowę w stronę męża.

Bernard Strapko wciąż się modlił. Zdawał sobie sprawę, że nic i nikt ich nie uratuje, ale modlił się gorąco, żeby choć jego syn był teraz gdzieś daleko. Błagał Boga tylko o to, żeby Władziu nie zjawił się nagle pod drzwiami. I wiedział jedno: nie wyjdą z tego żywi i nie mógł na to nic poradzić. Gdyby wydał Moryca i tak dostałby kulę w głowę: zaprzeczanie do ostatka było jego jedyną szansą, nikłą, ale zawsze jakąś. Gestapowiec kłamał, mówiąc o robotach. Aniela też to wiedziała. Bawił się tylko nimi, napawał się ich strachem i swoją władzą.

- *Drei.* - Niemiec naciągał rękawiczkę, na jego ustach wciąż błędził okrutny uśmieszek, który pozbawił Strapkę resztek nadziei.

- *Zwei...* - Ręka sięgnęła do kabury, palce odpięły pasek i objęły kolbę walthera.

- *Eins!* - Niemiec nawet nie przeładował pistoletu, nabój był już w komorze.

Powoli wycelował broń w stronę Jadzi, wyciągnięta ręka ani drgnęła. Aniela puściła jego kolana i rzuciła się z panicznym krzykiem w stronę córeczki. Strzał był ogłuszający. Strapko patrzył tylko pustym spojrzeniem, jak ich dziecko szarpie się w tył, warkocze, które zaplatał jej rano, zataczają okręgi jak bicze, a potem Jadwinia upada bezwładnie i wiotczeje pod ścianą. Kolejny pocisk ugodził jego żonę

w potylicę, a kiedy znieruchomiała koło córki, Bernard poczuł na sobie jej wzrok. Szkliste spojrzenie gasnących oczu było jak nieme oskarżenie: niczego nie zrobiłeś. A potem spod jej głowy wypłynęła struga jasnoczerwonej krwi.

- Bydlak... - zdążył wyszeptać, zanim kolejna kula uderzyła w bok jego czaszki, a ciemność litościwie porwała go w objęcia.

Niemiec zrobił krok w jego stronę, lecz nagle za oknem rozległ się głośny wybuch, a potem gdzieś na ulicy seria z broni maszynowej przeszła powietrze. Gestapowiec zastygł w bezruchu, a następnie podsunął rękaw munduru i popatrzył na zegarek. Była siedemnasta. Spojrzał na ciała pod ścianą i zaczął gorączkowo chować broń do kabury. Omiatając wzrokiem mieszkanie, jeszcze przez chwilę walczył z opornym zapięciem.

- A więc mieli rację, że coś się zaczyna - mruknął zniesmaczony do volksdeutscha, poprawiając pas; konfidenti od jakiegoś czasu donosili, że w mieście zacznie się powstanie i dlatego szefostwo zarządziło dla garnizonu alarm, który oprócz Wehrmachtu i SS dotyczył również wszystkich pozostałych Niemców przebywających w dystrykcie warszawskim. - Wynosimy się stąd.

Splunął na podłogę, odwrócił się i stanął przed drzwiami wyjściowymi, czekając, aż towarzyszący mu człowieczek, którym w istocie brzydził się równie mocno jak Polaczkami i Żydami, usłuźnie mu je otworzy. W mieszkaniu pozostał za nimi tylko smród spalonego prochu i krwi oraz martwa cisza.

2018

Inspektor Robert Barański czekał na Przeworskiego w holu wejściowym komendy wojewódzkiej policji. Kiedy aspirant wszedł do środka, potężny, barczysty i brodaty facet wstał z fotela i ruszył mu na spotkanie. Wyciągnął rękę do przywitania i dłoń Przeworskiego zniknęła w jego dłoni, a aspirant w ostatniej chwili zdążył usztywnić palce w odruchowej obawie przed zmiążdżeniem.

Barański, były oficer łącznikowy w Berlinie, pełnił obecnie funkcję szefa komórki zajmującej się współpracą międzynarodową szczecińskiej policji. Z racji bliskości granicy z Niemcami oraz specyfiki regionu współpraca z niemieckimi służbami – policją czy urzędami kryminalnymi – była dość ścisła, bo podejmowane doraźnie działania w sprawie zdarzeń typu pościg czy porwanie miały często bardzo dynamiczny charakter i przebieg. Przeworski skontaktował się z Barańskim dzień wcześniej, umawiając się na spotkanie. Oficer znał pobieżnie szczegóły zabójstwa Helene von Zussow i już po chwili aspirant zorientował się, że nie zasypiał gruszek w popiele.

- Skontaktowałem się już z Landeskriminalamtem w Berlinie, jesteśmy wstępnie umówieni – powiedział Barański, kiedy wchodzili na górę: miał tubalny głos i przyjazne spojrzenie, a każdy ruch świadczył o tym, że jest pełen zapału i energii. – Powiadomiliście Centrum Operacyjne MSZ o sprawie?

- Oczywiście.

- Elegancko. Wskazali tryb postępowania?

- Standardowy. Robimy swoje i czekamy na reakcję Niemców.

- Ktoś się już odzywał z konsulatu czy ambasady?

- Tak. Też robią swoje. Poinformowali rodzinę, dzwonił do mnie były mąż.

- Dobra. Czyli co, powołamy zespół i pojedziemy do Berlina, choćby jutro? Proponuję zaangażować w tę wycieczkę prokuraturę, nie wiem, kto prowadzi śledztwo, ale ostatnio dosyć chętnie zgadzają się na udział w takich akcjach.

- Cehak z rejonówki Szczecin-Zachód.

- Nie kojarzę. - Barański zmarszczył brwi.

- Młody, ale rozsądny, dobrze się z nim współpracuje.

- No i świetnie. - Barański otworzył drzwi gabinetu i puścił Przeworskiego przodem. - Da pan radę załatwić wyjazd na jutro?

- Żaden problem. - Miał mieć co prawda jutro wolne za ostatnią nockę, ale uznał, że faktycznie nie ma sensu tracić czasu, a wolny dzień i tak w końcu odbierze.

Podobał mu się entuzjazm i podejście Barańskiego, tak podobne do jego. Wyglądało na to, że dla faceta problemy nie istnieją, a jeśli nawet, to szybko je rozwiązuje. Kiedy aspirant minął przechodni pokój, w którym przy laptopie siedział ubrany po cywilnemu funkcjonariusz, znalazł się w gabinecie inspektora. Jego uwagę od razu zwróciła kolekcja naszywek, odznak i czapek galowych formacji policyjnych z kilkunastu krajów. Zajął jedno z krzeseł, Barański zasiadł za swoim biurkiem, oparł łokcie o blat, splótł palce dłoni i wbił wzrok w aspiranta.

- Jakie tło zabójstwa? - zapytał z nieukrywaną ciekawością.

Inspektor nie odgrywał w tym łańcuszku roli istotnej z punktu widzenia śledztwa, ale ta ciekawość była dla Przeworskiego jak najbardziej zrozumiała.

- Nie wiadomo. - Aspirant wzruszył lekko ramionami. - Ani seksualne, ani rabunkowe. W zasadzie nie wiemy o denatce niczego poza tym, że była obywatelką niemiecką, zamieszkałą w Berlinie, zajmowała się, można powiedzieć, deweloperką. Przyjechała do Szczecina w interesach, była tu ze swoim kierowcą, też Niemcem. Mieszkali w jednym hotelu na różnych piętrach.

- Jest podejrzanym?

- Nie ma podstaw. Sprawdzenie zapisów monitoringu od razu, na miejscu, w zasadzie wykluczyło jego udział.

- To jak sprawca dostał się do środka? - Barański wiedział, że kobieta została zamordowana w swoim pokoju.

- Przez okno, po rusztowaniach. Obok jest prowadzony remont elewacji czy jakieś ocieplenie.

- Zawsze mógł wyjść na zewnątrz i przejść naokoło.

- Monitoring obejmuje też wyjście i podwórze. Co prawda nie samo rusztowanie, ale żeby do niego przejść, musiałyby się załapać w zasięg kamer.

- Ale sprawca się nie załapał? - Barański uśmiechnął się chytrze.

- Dostał się tam od strony sąsiedniej kamienicy. - Przeworski też się lekko uśmiechnął. - Tak więc na razie nie mamy się czego uchwycić. Laboratorium już pracuje, ale pomyślałem, że to nie wygląda na przypadkowe morderstwo. Nic na to nie wskazuje, sprawca zadał sobie sporo trudu i zaplanował to. Musiał wiedzieć, że ona będzie nocować akurat tam i akurat wtedy. Najprawdopodobniej też denatka знаła gościa, skoro wpuściła go przez okno. Wychodzi na to, że trzeba poszperać w jej życiu.

- Jasne. - Barański się wyprostował. - Pojedziemy naszym autem, wyjazd o ósmej, przed dziesiątą powinniśmy być na miejscu. Zaraz napiszę do LKA i ustalę szczegóły. Adres zamieszkania znany?

- Gneisenaustrasse czterdzieści cztery.

- Kreuzberg... - Barański pokiwał głową. - Niech pan się skontaktuje z prokuratorem, czy będzie wolny, i da mi znać.

Przeworski stwierdził, że załatwi sprawę od razu, więc wyciągnął telefon i po prostu zadzwonił do Cehaka.

- Cześć, wycieczka do Berlina jutro rano, co ty na to? - zapytał, kiedy prokurator odebrał.

- Trudna sprawa, mały chory, a żona wyjechała w swoich sprawach. Teściowa nie może z nim zostać, bo ma jutro wizytę u lekarza, moi rodzice z kolei mieszkają w Sławnie. Także...

Przeworski zerknął na Barańskiego i lekko pokręcił głową.

- Słuchaj. - Głos Cehaka był już mocniejszy i bardziej zdecydowany niż przed sekundą. - Jedź sam. I tak poruszamy się po omacku. Zwykle rozejrzenie się i rozpytanie nie wymaga obecności prokuratora. Jeśli na miejscu wyjdą jakieś grubsze sprawy i potrzebne

będzie oficjalne przesłuchanie, załatwimy to później i już oficjalnie. Pogadaj z sąsiadami, obejrzyj tę jej skromną chawirę. Aha, i zapytaj Niemców o tego Vogla, tak na wszelki wypadek. Daj potem znać.

- Jasne - mruknął Przeworski. - Cześć.

Schował telefon i popatrzył na Barańskiego.

- Jest możliwość spotkania z byłym mężem ofiary, wyraził nawet taką chęć. Możemy umówić się z nim tam.

- Nie ma sprawy, to nawet lepiej, oszczędzi nam czasu i roboty. - Barański rozłożył szeroko ręce. - To co, do jutra?

- Do jutra.

Przeworski wrócił do siebie, do miejskiej i załatwił papierologię związaną z wyjazdem, a potem zadzwonił do Andreasa von Zussow i poinformował go o swojej jutrzejszej wizycie w Berlinie. Niemiec obiecał, że przyjedzie i porozmawia z aspirantem.

- Przywieź mi magnes na lodówkę dla małego - zażartował Garbas, kiedy Przeworski zbierał się po południu do domu.

- Zabierz go tam lepiej na wycieczkę - poradził i puścił do niego oko.

Następnego dnia za pięć ósma był przed komendą wojewódzką. Barański wyszedł do niego punktualnie o ósmej, czym zaskarbił sobie jeszcze większą sympatię aspiranta. Inspektor zaprosił go do służbowego volkswagena i kilkanaście minut później wyjeżdżali już ze Szczecina. Tak się dziwnie składało, że rano lepiej było z miasta wyjeżdżać, niż do niego wjeżdżać, a po południu na odwrót. Korki, z mora każdej aglomeracji, miały swoje dziwne prawa. Jechali w milczeniu, sporadycznie przerywając ciszę niezobowiązującą pogawędką. Po jakiejś godzinie podróży, kilkanaście kilometrów przed Berlinem, Barański nieoczekiwanie zwolnił, a potem zjechał na mały parking przy autostradzie. Na tabliczce przy wjeździe Przeworski zobaczył napis „Probstheide”.

- Coś nie tak? - zapytał Barańskiego.

- Nie, wszystko w porządku. - Inspektor, przez całą drogę zachowujący się swobodnie, zrobił się nagle poważny. - Chciałem zobaczyć to miejsce.

Aspirant zerknął w bok, ale nie zauważył nic ciekawego: ot, zwykły parking z niewielkim budynkiem toalety, poza nim nie było tu niczego. Czekał na komentarz i doczekał się.

- Przykra sprawa - mruknął Barański, zatrzymując auto. - Tu parę lat temu zastrzelono córkę i żonę mojego poprzednika, a on sam został ciężko ranny.

Przeworski słyszał o tym. Sprawa była bardzo dziwna, facet wylizał się z ran, ale podobno coś w tym wszystkim śmierdziało, a on sam zaplątany był w jakąś aferę z narkotykami. Ostatecznie niczego mu nie udowodniono, wrócił nawet na chwilę do roboty na jakieś mniej eksponowane stanowisko, ale jakiś czas później utopił się w Odrze.

- Znał go pan? - zapytał krótko.

- Tylko służbowo, mieliśmy kontakt wyłącznie zawodowy i szczerze mówiąc, nigdy za nim nie przepadałem. Specyficzny typ. - Barański rozglądał się po parkingu, ale nie wysiadł z samochodu, nie wyłączył nawet silnika. - Siedziałem kilkanaście lat w Berlinie, ściągnęli mnie tu już po tym, jak to się stało - dodał po chwili kilka słów wyjaśnienia, choć dla aspiranta brzmiało to, jakby się tłumaczył. - Sam nie wiem, dlaczego chciałem tu stanąć. Może dlatego, że pełnił tę samą funkcję co ja, a może to jakaś zawodowa solidarność? W końcu każdego z nas może spotkać w tej robocie coś przykrego, prawda?

Siedzieli jeszcze chwilę w milczeniu, ciszę mącił szum silnika, a potem Barański wrzucił jedynkę i ruszył.

- Za pół godziny powinniśmy być na miejscu - stwierdził, zerkając na wyświetlacz na desce rozdzielczej.

Dojechali do Kreuzbergu przed czasem, choć trochę zajęło im znalezienie miejsca na zaparkowanie. Gneisenaustrasse była szeroką aleją obsadzoną szpalerami drzew. Pierzeje wysokich kamienic zaciały chodniki, asfalt pasów ruchu i środkową część alei, na której zlokalizowano parkingi. Przeworski rozglądał się dookoła, dziwiąc się, jak bardzo Berlin przypomina Szczecin, a może na odwrót, choć skala niemieckiej stolicy była jednak nieco większa, zarówno pod względem wysokości zabudowy, jak i natężenia ruchu. Na chodnikach widział mnóstwo kobiet okutanych w hidżaby, a nawet czadory, śniadych i wąsatych mężczyzn o czarnych jak krucze pióra włosach kręcących się bez celu przed ukrytymi w przyziemiach

kamienic lokalami z kebabami i falafelami, chłopaków i dziewczyny lawirujących między samochodami na starych rowerach i staruszki z wózkami powoli i wytrwale sunące granitowymi chodnikami w sobie tylko wiadomym celu.

- Berlin, tygiel i cały świat w pigułce - powiedział Barański z lekkim rozbawieniem, patrząc na Przeworskiego. - Choć głównie arabski świat, to chyba widać na pierwszy rzut oka, co?

Rozejrzał się również, a potem wskazał gdzieś w lewo i ruszył w tamtą stronę, a aspirant za nim.

Przed bramą czekało dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu oraz stojący nieco z boku facet w roboczym kombinezonie. Gdy przeszli przez jezdnię, kierując się ku nim, Przeworski zauważył, że Barański lekko się uśmiecha, a gdy już dokonywał prezentacji, przedstawiając tę dwójkę aspirantowi, ten zorientował się, że znają się, i to chyba niezłe.

- Willi Schumann, Volker Dirk, berliński Landeskriminalamt. - Barański serdecznie uścisnął ich dłonie.

Przeworski zrobił to samo, choć bez takiego entuzjazmu. Miał nadzieję, że jeden z mężczyzn to von Zussow, ale ten najwyraźniej jeszcze nie dotarł.

- Cholera, nawet nie zapytałem, czy zna pan niemiecki! - zorientował się nagle inspektor, zerkając na Przeworskiego z zaskoczeniem.

- Znam - uspokoił go aspirant. - Dogaduję się bez problemu.

Barański odetchnął z lekką ulgą.

- To co, wchodzimy? - Zadarł głowę i przyjrzał się łukowemu sklepieniu przejazdu na wewnętrzny dziedziniec, widocznemu nad ciężkiej, zdobionej, kutej bramy.

Jeden z Niemców wcisnął przycisk domofonu, a kiedy odezwał się czyjś głos, podstawił legitymację do kamery w panelu, mówiąc:

- Dzień dobry, policja kryminalna, proszę nas wpuścić.

Zamek brzęknął i drzwi osadzone w jednym ze skrzydeł bramy zaczęły się powoli automatycznie otwierać. Wszyscy weszli do środka, znikając w cieniu przejazdu. Drzwi na klatkę schodową znajdowały się w jego połowie i kiedy policjanci razem ze ślusarzem pokonali

wysokie schody prowadzące na pierwsze piętro, u ich szczytu napotkali starszą kobietę.

- Co się stało? - zapytała niespokojnie, widząc, że stoją pod drzwiami mieszkania Helene von Zussow. - Jestem sąsiadką.

- Musimy się dostać do mieszkania pani von Zussow - wyjaśnił Schumann.

- Po co?

- Ta pani nie żyje. - Odpowiedź była krótka i rzeczowa.

Staruszka zbladła i zaczęła osuwać się na ścianę. Barański zareagował najszybciej: podbiegł i ją podtrzymał, obejmując potężnymi ramionami. Zgarbiła się, zapadła w sobie i zaczęła cicho płakać, wtulając twarz w pierś inspektora. Przeworski patrzył na to w milczeniu. Dirk skinął na ślusarza, który zbliżył się do wielkich drzwi i zaczął przyglądać się zamkom, a potem otworzył aluminiową walizeczkę i sięgnął po niewielką wiertarkę. To otrzeźwiło staruszkę, która nagle zebrała się w sobie, otarła łzy i wyswobodziła się z objęć Barańskiego.

- To nie będzie potrzebne - stwierdziła twardo, jak gdyby fakt nawet oficjalnego włamania do mieszkania nieżyjącej sąsiadki traktowała jak zbezczeszczenie pamięci o niej. - Mam klucz do jej mieszkania. Opiekuję się jej kotem, kiedy ona wyjeżdża.

Zaczęła powoli wchodzić na górę, stopy szurały o drewniane stopnie i dwie minuty później, które mężczyźni spędzili w absolutnym milczeniu, wróciła do nich z wielkimi kluczami. Wszyscy patrzyli, jak wkłada je po kolei do zamków. Zza drzwi dobiegło ich miauczenie, a kiedy te stanęły otworem, na klatkę wybiegł wielki, rudy kot i zaczął ocierać się o nogi wszystkich po kolei, prężąc gruby ogon.

- Moritz - szepnęła, schyliła się i wzięła go na ręce, a potem przytuliła do niego twarz. - Moritz, kotku, nie ma już twojej pani...

Stanęła z boku, a Dirk, Schumann, Barański i Przeworski weszli do środka.

- Nie będę już potrzebny? - zapytał ślusarz.

- Na to wygląda - odparł Schumann, odwracając się do niego. - Do następnego. Cześć.

Policjanci zaczęli się rozglądać po mieszkaniu. Było ogromne, wysokie sufity zdobiły sztukaterie, ściany wyłożono boazerią, wykończono je z dbałością o detale i z szacunkiem dla przeszłości. Starsza pani ciągle stała przy drzwiach, jakby nie wiedziała, co robić, i tak zapewne było. Kot wciąż siedział u niej na rękach.

- Pomogła mojej córce dostać się na studia, opłaciła korepetycje, a na każde urodziny dawała jej bilet na koncert rockowy, i to z najlepszymi miejscami - powiedziała nagle, głaszcząc rudą sierść. - Raz nawet z przelotem do Monachium i z powrotem.

- To bardzo miłe. - Dirk uśmiechnął się smutno. - Musimy już pan podziękować. Zabierze pani kota?

Starsza pani otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko pokiwała głową, mocniej przycisnęła zwierzę do piersi, odwróciła się i wyszła z mieszkania. Dirk zamknął za nią drzwi.

- Działaj. - Uśmiechnął się do Przeworskiego, zataczając ręką koło niczym pośrednik nieruchomości wprowadzający rokującego klienta do wyjątkowo atrakcyjnego wnętrza.

I takie właśnie było. Aspirant ruszył powoli w trasę. Mieszkanie było bardzo rozległe, Przeworski ocenił je w końcu na jakieś dwieście pięćdziesiąt, może nawet trzysta metrów kwadratowych. Przechodził z pokoju do pokoju, przyglądając się wszystkiemu, choć sam nie był pewien, czego właściwie szuka. Chciał poczuć atmosferę miejsca, bo wierzył, że dom jest emanacją jego mieszkańca; widząc, jak wygląda jego wnętrze, można było dowiedzieć się wiele o wnętrzu człowieka, który w nim żył. Pomieszczenia wypełniały stare meble, nie antyki, ale na pewno przedwojenne, również pieczołowicie odrestaurowane. W łazience stała stara, miedziana i pięknie odnowiona wanna, na urządzeniach sanitarnych zobaczył błękitne znaki fabryk porcelany. Potem obejrzał kuchnię, zaskakująco nowoczesną i funkcjonalną. Helene von Zussow musiała być zorganizowaną i świadomą kobietą, wiedzącą doskonale, czego chce. Aspirant nie miał praktycznie wątpliwości, że wystrój wnętrza zaprojektowała sama. Było ciepłe, pełne bibelotów, ale nimi nie przeładowane, co mogło świadczyć o tym, że miała nad tym kontrolę.

To wszystko nie dawało jednak Przeworskiemu odpowiedzi na dwa podstawowe pytania: kto i dlaczego ją zabił.

W największym pokoju z wielkim kominkiem uwagę aspiranta zwróciło kilka judaików: stojąca na nim menora, lampka chanukowa z brązu na rzeźbionym stole o nogach stylizowanych na lwie łapy i tarcza na Torę wisząca na ścianie nad kominkiem. W regale znalazł parę kielichów z żydowską symboliką.

Kończąc obchód, Przeworski wyjrzał przez okno na niewielki, zacieniony dziedziniec. Ściany oficyn porastały pnące się po nich dzikie wino i bluszcz, przestrzeń starannie urządzone, było miejsce na odpoczynek, siatka z lin do wspinania się dla dzieci, kilkanaście przypominających dzbany donic, z których wyrastały zielone wiechy egzotycznych traw i bambusów. I woonerfy. Nagle aspirant dostrzegł białego mercedesa 500, którego tył wystawał spod krytej tytanowo-cynkową blachą wiaty w rogu dziedzińca.

- Dobra, ja już - powiedział do Barańskiego przeglądającego jakieś czasopismo dla architektów.

Wyszli na klatkę, Schumann zamknął drzwi, co zajęło mu trochę czasu, a potem poszedł odnieść je sąsiadce. Pozostali, nie czekając na niego, zeszli na dół, gdzie Przeworski szepnął Barańskiemu:

- Za chwilę wracam.

Inspektor tylko skinął głową i zajął się rozmową z kolegami, a aspirant ruszył w stronę wejścia do jednego z dwóch biur znajdujących się po obu stronach bramy kamienicy. Nad jednym był szyld „HvZ Immobilienentwickler”, nad drugim: „Haidar Rechtsanwalt”. I właśnie do tego drugiego Przeworski skierował kroki. Kiedy otworzył drzwi, rozległ się głośny sygnał, jak w małym sklepie, w którym nie ma bezpośredniego widoku z kasy na wejście. Wnętrze było puste, dopiero po chwili pojawił się w nim wysoki mężczyzna w białej koszuli. Miał czarne, rzadniejące na czubku głowy włosy, śniadą skórę i okulary bez oprawek: cienkie szkła łączył ledwo widoczny druczany mostek oparty na wydatnym nosie.

- Dzień dobry, mogę rozmawiać z szefem? - zapytał aspirant.

- Rozmawia pan z nim. Asad Haidar, pan w jakiej sprawie?

- Nazywam się Dominik Przeworski, jestem polskim policjantem, chciałbym o coś pana zapytać.

- Służbowo?

- Tak. Na ulicy są moi koledzy z LKA, jeśli pan sobie życzy, mogę ich zawołać.

- Zależy, o co będzie pan pytał.

- Mam tylko dwa pytania.

- Słucham. - Haidar uśmiechnął się lekko.

- Rozumiem, że znał pan Helene von Zussow?

- Znał? - Brwi prawnika podjechały nad szkła okularów.

- Przykro mi, nie żyje.

Haidar zacisnął wargi, które niemal zniknęły, ściśnięte zębami. Przez chwilę nie wiedział, co zrobić z rękami, aż wreszcie wcisnął je sobie pod pachy.

- Co się stało? - zapytał lekko zmienionym głosem.

- Została zamordowana.

- W Polsce, tak?

- Tak - odparł krótko Przeworski.

Nie zamierzał tłumaczyć niczego więcej, to był tylko wstęp, który musiał zrobić. Haidar przez chwilę wpatrywał się w podłogę, potem patrzył niewidzącym wzrokiem za okno.

- To niewielka kancelaria prawna. - Westchnął w końcu. - Obsługujemy głównie mieszkających w Kreuzbergu cudzoziemców, przeważnie pochodzenia arabskiego, jak pan pewnie się domyślił. Jestem Niemcem w drugim pokoleniu, mój ojciec był Syryjczykiem. Zgłaszają się do nas ludzie mający kłopoty z różnymi urzędami, część spraw prowadzimy *pro bono*. Helene nie brała dużo za wynajem powierzchni, doceniała to, co robimy, zresztą czasem współpracowaliśmy przy jej inwestycjach, tych mniejszych oczywiście. Teraz nie wiem, co będzie. - Haidar zmarkotniał.

- W podwórzu stoi jej samochód... - Przeworski zmienił temat: to była ta druga, w zasadzie najważniejsza rzecz, o którą chciał zapytać.

- Tak, kilka dni temu odstawił go tu jej kierowca i zostawił kluczyki u mnie w kancelarii.

- Powiedział, dlaczego to robi?

- Nie. Nie wspomniał też, że Helene została zamordowana. Trochę to dziwne, prawda?

- Trochę. Pojawił się później?

- Nie. Co mam zrobić z kluczami?

Przeworski zerknął przez okno na Niemców z LKA stojących wciąż z Barańskim przed kamienicą.

- Niedługo powinien zjawić się tu jej były mąż. Może niech pan da jemu?

- Jasne...

Aspirant pożegnał się z prawnikiem i wyszedł na ulicę, by dołączyć do policjantów.

- Byłbym wdzięczny, gdybyście sprawdzili mi jeszcze pewnego człowieka - powiedział do Dirka i Schumanna. - Nazywa się Heinrich Vogel. Tu jest numer jego paszportu. - Przeworski podał jednemu z funkcjonariuszy zapisane na kartce dane kierowcy Helene von Zussow.

- Pewnie. - Dirk wziął od niego karteluszek i nagle kątem oka Przeworski zauważył mężczyznę zmierzającemu w ich stronę szybkim krokiem.

Aspirant nie miał pojęcia, jak wygląda Andreas von Zussow, ale ten chód i spojrzenie wbite w ich czwórkę stojącą pod bramą kamienicy wzbudziły w nim podejrzenie, że to właśnie on. Kiedy zbliżył się jeszcze bardziej, aspirant ruszył w jego stronę.

- Herr Przeworski? - zapytał przybysz, całkiem zgrabnie wymawiając nazwisko aspiranta.

- Zgadza się - potwierdził po niemiecku.

- Nazywam się Andreas von Zussow.

Przeworski przyjrzał mu się. Niemiec miał jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, na oko nieco ponad sześćdziesiąt lat. Siwe włosy opadały niesforeną grzywką na czoło, małe okulary w stylizowanych na staroświeckie oprawkach zasłaniały oczy, fałda skóry pod podbródkiem zaczynała być widoczna. Ubrany był w błękitną koszulę i dopasowany do krępej sylwetki granatowy garnitur, a kiedy wyciągnął rękę na przywitanie, Przeworski zauważył ogromny, zapewne drogi jak cholera zegarek. Uścisnął dłoń Niemca i nagle kątem oka dostrzegł, że z tyłu podchodzi do niego Barański. Odwrócił się w jego stronę.

- Możemy się umówić za jakiś czas? - spytał inspektor, popatrując na von Zussowa. - Pogadałbym sobie jeszcze z kolegami.

- Jasne, niech się pan nie spieszy. Jak już wyjechałem z naszego grajdołka...

- Piętnasta?

- Idealnie.

- Tutaj?

Przeworski zamyślił się, a Barański prawidłowo to odczytał.

- Proponuję wycieczkę na Potsdamer Platz, metro ma pan pod nosem. Zgarnę pana stamtąd, dzwoniemy się wcześniej i ustalimy konkretne miejsce, a ja odwiedzę stare śmieci.

- Dzięki.

Barański machnął mu na pożegnanie, a potem ruszył w stronę kolegów. Przeworski znów odwrócił się do von Zussowa.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Niemiec. - Jechałem z Hamburga, na autostradzie był wypadek.

- Nic się nie stało - uspokoił go Przeworski. - Może gdzieś usiądźmy? Ma pan klucze do jej mieszkania?

- Nie. - Von Zussow pokręcił głową i lekko się uśmiechnął. - Możemy wejść do kancelarii, myślę, że Asad nie będzie miał nic przeciwko temu.

Przeworski zdziwił się lekko. Weszli tam, skąd przed chwilą wyszedł, a Haidar, widząc von Zussowa, podszedł do niego i objął go serdecznie, szepcząc mu coś do ucha. Aspirant czekał. Kiedy skończyli, Arab zaprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia z oknem wychodzącym na dziedziniec z tyłu.

- Asad współpracował z Helene, to jest łebski facet - wyjaśnił von Zussow, siadając przy niewielkim stole.

Aspirant nie skomentował.

- Dziękuję, że zgodził się pan na spotkanie - mruknął tylko.

- Wie pan, w końcu była żona. Zresztą nikt inny się tym nie zajmie. Nie mieliśmy dzieci, jej rodzice nie żyją od lat, więc... - Niemiec wykrzywił lekko usta.

- Jaki był powód rozstania?

- Szybko przechodzi pan do rzeczy. - Von Zussow spojrzał na niego znad okularów.

- I tak bym zadał to pytanie. Jest chyba naturalne?

- Fakt. Cóż... - Niemiec uśmiechnął się krzywo. - To nie jest żadna tajemnica, dawne dzieje. Przyłapała mnie w łóżku ze swoją przyjaciółką. Zdarza się, choć w tym wszystkim najdziwniejsze są dwie rzeczy: to był pokój w moim hotelu, a ta kobieta do dziś jest jej przyjaciółką. A w zasadzie była do tej pory.

- Myśli pan, że to była prowokacja?

- Tak, choć nigdy nie przyznała tego wprost, a ja nie dopytywałem. Po iluś latach małżeństwa nie było już między nami tego czegoś, to normalne. Ona wykorzystała okazję szybciej i jeszcze na tym zarobiła. Pochodzę z bardzo starej i majątnej rodziny, rozwód kosztował mnie trochę pieniędzy, a Helene miała głowę do interesów. Odpowiednio zainwestowała i rozkręciła swój biznes, w Berlinie wciąż jest jeszcze sporo miejsc, w których można coś wybudować. Wydaje mi się, że nudziła się w małżeństwie, ja rzadko bywałem w domu, więc to niejako naturalne konsekwencje, choć poniosłem je głównie ja. Odnalazła się w tym. Od kilku lat mieliśmy stosunki na bardzo przyzwoitym poziomie, współpracowaliśmy trochę, choć moja branża to hotelarstwo, mam sieć hoteli, jeden z nich, w Lüneburgu pod Hamburgiem, budowała jej firma. Praca sprawiała jej na pewno przyjemność i nie mogła już narzekać na nudę.

- Pan wie, że planowała inwestycję w Polsce?

- Tak, słyszałem. Nie byłem osobiście przekonany co do jej opłacalności, ale uparła się. Jej sprawa, choć jak widać, nie skończyło się to dobrze. - Zreflektował się nagle. - Nie żebym uważał, że to ma coś wspólnego z tym, że to się stało w Polsce... No wie pan, co mam na myśli?

- Wiem. - Aspirant nie kontynuował tematu, za to zaczął następny. - Zostawiła sobie po rozwodzie pańskie nazwisko.

- Tak. Zawsze to lepiej brzmi von Zussow niż zwykle Apfelbaum. Jak już mówiłem, von Zussow to znana i szanowana rodzina.

- Była Żydówką? - upewnił się Przeworski. - W jej domu zauważyłem kilka judaików.

- Tak, ale to chyba nie miało dla niej znaczenia, nie w sensie religijnym. Nigdy nie chodziła do synagogi ani nic takiego. Po prostu jej ojciec był Żydem i to są pamiątki po nim.

- A to nie jest tak, że żeby być Żydem, trzeba mieć matkę Żydówkę?

Von Zussow roześmiał się.

- Tak, i to ortodoksyjną, tak przynajmniej stanowi izraelskie prawo i dlatego wielu mieszkańców Izraela nie ma oficjalnego statusu Żyda, choć formalnie są jego obywatelami. Tylko wie pan, sami Żydzi nie potrafią do końca odpowiedzieć na pytanie: kto jest Żydem. Konwersja też podobno wystarcza, tylko że to półtora roku życia jako ortodoksyjny wyznawca judaizmu: koszerne jedzenie, rygorystyczne przestrzeganie szabatu i inne tego typu przyjemności. Ale już ortodoksi nie uznają reformowanych za Żydów, inni z kolei uznają, że jeśli ktoś się identyfikuje z kulturą i religią żydowską i deklaruje się jako Żyd, to jest Żydem. I bądź tu mądry. A niech pan spróbuje zapytać rabina... - Machnął ręką.

- A jej matka?

- Zmarła, kiedy Helene miała szesnaście lat. Była Holenderką. Nie wiem, czy miała żydowskie korzenie, dla mnie to też nie miało nigdy znaczenia, było tylko trochę interesujące i egzotyczne. Mam dosyć szerokie zainteresowania, poza tym byliśmy kilka razy na wakacjach w Izraelu. I tyle. Jak już wspomniałem, Helene nie przywiązywała do tego wagi.

- Miała jakichś innych żyjących krewnych?

- Nic o tym nie wiem. Jej ojciec przeżył wojnę, ale tylko on z całej rodziny. Matka nie miała rodzeństwa. - Von Zussow zamyślił się i spojrzął smutno na Przeworskiego. - Lubiałem ją, wie pan? Była fajną babką, nawet nie miałem jej za bardzo za złe, że to się tak skończyło, zresztą trochę z mojej winy, nie ukrywam. Miała w sobie ten pazur, który jest potrzebny, żeby dobrze prowadzić interesy, ale równocześnie jakąś... - Zastanowił się przez chwilę nad doбором słowa. - Miętkość, tak bym to określił. Dała się lubić i była lubiana.

- Rozumiem. - Przeworski pomyślał, że w zasadzie to wszystko, o co chciał zapytać von Zussowa. - Czy mogę jeszcze prosić pana

o numer telefonu albo chociaż adres mailowy? Pozwolę sobie zadzwonić lub napisać, gdyby coś jeszcze przyszło mi do głowy.

- Nie ma sprawy. - Von Zussow skwapliwie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej elegancki wizytownik. - Jestem do dyspozycji, proszę dzwonić o każdej porze, gdybym nie mógł odebrać, oddzwonię.

Von Zussow pożegnał się z Haidarem, Arab jeszcze raz go objął, a potem wyszli z kancelarii, żegnani irytującym dźwiękiem u drzwi. Przeworski patrzył, jak Andreas von Zussow podchodzi do czarnego mercedesa klasy S 500, staje obok i zdejmuje marynarkę, potem otwiera drzwi, a marynarkę starannie złożoną kładzie na tylnym siedzeniu. Przypomnił sobie stojący na hotelowym parkingu taki sam model należący do denatki, stojący teraz na dziedzińcu, i pomyślał sobie, że gdyby świat był czarno-biały, jak mercedesy byłych małżonków von Zussow, wszystko byłoby prostsze. A może raczej łatwiejsze w interpretacji.

7

Przeworski miał trochę czasu, więc stwierdził, że przed wyruszeniem na Potsdamer Platz coś przekąsi. Wybrał najbliższy kramik z tureckim kebabem, podszedł do wysokiego kontuaru i widząc za nim wielkiego, nieogolonego faceta z chustką zawiązaną na głowie, powiedział po niemiecku:

- Kebab raz, poproszę, tylko żeby nie piekł dwa razy.

Turek obrzucił Przeworskiego spojrzeniem bez wyrazu. Żart powtarzany pewnie przez wielu klientów nie robił już na nim żadnego wrażenia, choć intencją Przeworskiego było raczej zabezpieczenie się przed konsekwencjami wybuchowych mieszanek sosów. Aspirant wiedział, w niektórych ulicznych jadłodajniach właściciele stawiają sobie za punkt honoru udowodnienie konsumentom, że kuchnia ich kraju jest naprawdę smaczna i egzotyczna, choć wyznacznikiem tego była dla nich pikantność, a nie smak sam w sobie. Ewentualnie ostrymi przyprawami przykrywali braki w tym drugim.

Kebab był niezły, do takiego wniosku doszedł Przeworski, wycierając usta papierową serwetką. Wyciągnął telefon, sprawdził w internecie siatkę połączeń berlińskiego U-Bahn, zszedł do najbliższej stacji i kupił bilet w automacie. Już po chwili z tunelu doszedł szum, potem huk, dmuchnęło gorącym i śmierdzącym powietrzem i pociąg wjechał na stację. Aspirant przyglądał się ludziom wszystkich kolorów skóry i ras, uświadamiając sobie, że jest w miejscu, które można porównać do jednego z najruchliwszych skrzyżowań świata, gdzie uświadczysz wszystkich marek samochodów o każdym możliwym kolorze lakieru. Obok niego zgromadziło się kilkanaście dzieciaków, jakaś wycieczka szkolna. Wszystkie mówiły po niemiecku, ale część z nich miała śniadą skórę, było też wśród nich kilkoro Azjatów i czarnoskórych. Rozmawiały ze sobą jak to dzieci i widać było, że kolor skóry i pochodzenie nie mają dla nich większego znaczenia, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Nasiąkały wielokulturowością od małego i Przeworski po chwili zastanowienia stwierdził, że Barański miał rację: to był tygiel.

Jadąc kolebiącym się lekko wagonem metra, Przeworski wracał myślami do mieszkania Helene von Zussow i do niej samej. Ta kobieta jawiła się jako anioł. Bilety dla córki sąsiadki. Dobre stosunki z byłym mężem, który ją zdradził. Wynajęcie biura we własnej kamienicy arabskiemu prawnikowi, choć sama była z pochodzenia Żydówką. Może to ostatnie nie miało aż takiego znaczenia, nie w tym mieście, ale to wszystko o czymś jednak świadczyło.

Przeworski wysiadł na stacji Potsdamer Platz, wyszedł na górę i pokręcił się w okolicach Sony Center i filharmonii. Tuż przed piętnastą zadzwonił Barański i kazał mu podejść na skrzyżowanie obok charakterystycznego wieżowca o fasadach obłożonych klinkierem przypominającym czekoladę. Przeworski zrobił to i zgrali się w czasie idealnie: kiedy auto inspektora zatrzymało się przed przejściem dla pieszych, aspirant był dwa kroki od niego. Wsiadł i zapiął pas. Barański ruszył, kiedy włączyło się zielone.

- Jak było?

- Głośno - odparł Przeworski, a Barański tylko się roześmiał.

- Kocham to miasto i uwielbiam do niego wracać, wie pan? Co nie zmienia faktu, że dzieją się tu straszne rzeczy. Chodzi mi o te zamknięte społeczności, głównie arabskie, tureckie, z pogranicza Europy i Azji i z samej Azji, hermetyczne jak konserwy. Nie ma mowy o integracji, dopuszczeniu innych grup, dzieciaki nie chodzą do niemieckich szkół, często w ogóle nie chodzą do szkół. To jest męski świat, kobiety są przedmiotami: służą do rodzenia dzieci, sprzątania i przygotowywania posiłków. Większość tych ludzi nie zna słowa po niemiecku, ale to nie przeszkadza im w funkcjonowaniu tu przez całe życie, zwykle w obrębie jednego kwartału, w którym wegetują. Małe mafie rodowe i większe - narodowe. Handel wszystkim, na czym da się zarobić: ludźmi, samochodami, narkotykami i innymi używkami. Egzekucje. Są tu miejsca, do których nawet policja boi się wchodzić, nie przesadzam. Niemcy są bezradni, nie ma jak tego ugryźć, małe zwycięstwa nie załatwiają sprawy, bo w miejsce jednej odciętej macki odrastają następne. Jak to zwykle z mafią bywa... - dodał po namyśle. - Zna pan ten dowcip? Dwa tysiące pięćdziesiąty rok.

Niemieccy policjanci na autostradzie koło Berlina zatrzymują auto za przekroczenie prędkości. Wsiadają z radiowozu, podchodzą do kierowcy, proszą o prawo jazdy, on im je daje i nagle jeden podstawia je drugiemu pod nos i mówi: „Patrz, Ahmed, jakie dziwne nazwisko: Müller”. Coś w tym jest, no nie? – Spojrzał rozbawiony na Przeworskiego. – Dowcipy zawsze były czymś w rodzaju obrazu kondycji czasów, taka prawda. Berlin jest kosmopolityczny, to fakt, ale pod tą warstwą asfaltu, bruku, cegły, szkła i stali jest inna rzeczywistość. Wszyscy widzą piękne miasto, nie zdając sobie sprawy, co jest za tą fasadą. Trochę jak pod dużym polnym kamieniem. Kiedy pan go podniesie, wypęła spod niego robactwo. Tylko że ciężko taki kamień ruszyć. I tu jest tak samo.

Inspektor wyciągnął ze schowka w drzwiach czekoladowy baton, chwycił zębami skraj opakowania, pociągnął lekko, a kiedy się rozerwało, ugryzł kęs. Przeworski pomyślał, że w Nowym Warpnie też jest dość hermetyczna społeczność, choć na szczęście z robactwem nie ma nic wspólnego, a o mafii jej członkowie dowiadawali się tylko z wiadomości albo filmów. Mijając bloki w jakiejś peryferyjnej dzielnicy i obserwując samolot pasażerski zniżający się do lądowania na lotnisku Tegel, pomyślał o sobie: jak bardzo się zmienił, jak teraz nie cierpi dużych miast i jak lubi wracać do swojego miejsca na końcu świata.

Garbas nie wiedziałby, czy się z niego śmiać, czy nad nim płakać...

Kiedy dotarli do autostrady prowadzącej w stronę granicy, Barański pomacał się nagle po kieszeni na piersi i wyciągnął z niej telefon. Zerkając co chwila na drogę, odczytał wiadomość i powiedział do Przeworskiego:

– Ten Vogel, o którego pan pytał Willy’ego i Volkera, jest z pochodzenia Polakiem. Przyjechał do Niemiec piętnaście lat temu, zmienił nazwisko, dostał obywatelstwo. Nazywał się Henryk Ptasznik. Jak ten pająk, ale zmieniając nazwisko, bawił się chyba w grę słów – zażartował.

Przeworski milczał, trochę na siebie zły, że dał się wyrolować. Zatajenie tego faktu i udawanie, że nie zna polskiego, było podejrzane, ale zdawał sobie sprawę, że jego pośpieszny wyjazd nie

musiał jeszcze oznaczać, że Vogel jest zabójcą, choć to, co aspirant sobie w tej chwili pomyślał, było naturalne.

- Poprosi ich pan o papiery ze szczegółami? - zapytał Barańskiego.
- Jasne, załatwię to jutro i prześlę mailem, gdy tylko do mnie dotrą.
- Dzięki.

Dotarli do Szczecina tuż przed siedemnastą, odstali chwilę w korku w Warzycicach, a w domu aspirant był po osiemnastej. Natalia czekała z obiadem, a Przeworski nie powiedział jej, że nie jest głodny. Nie była może urodzoną kucharką, ale on nie miał zbyt dużych wymagań, jeśli chodzi o jedzenie. Miał za to kogoś, z kim mógł zjeść, i to w zasadzie liczyło się dla niego najbardziej.

- Jak było w wielkim mieście? - zapytała, patrząc, jak dłubie widelcem w ziemniakach, a potem skubie z niego wargami jak koń sięgający po podawaną mu z ręki kępkę trawy.

- Głośno i egzotycznie - odparł, uśmiechając się do niej.

- Nie wiem, co ty we mnie widzisz... - powiedziała pozornie bez związku, ale Przeworski wiedział, o co chodzi.

Nata wciąż bała się, że któregoś dnia miasto go wciągnie i już jej nie odda, więc najprawdopodobniej co jakiś czas, na przykład przy okazjach takich jak ta, oczekiwała zapewnień, że tak się nie stanie. Więc zapewniał. Szczerze, nie miał z tym żadnego problemu.

- Wszystko to, czego nigdy nie miałem - odpowiedział.

- Aleś teraz pojechał, mój książę... - Roześmiała się.

Odłożył widelec, szeroko rozłożył ramiona i wypiął klatkę z zadowoloną miną. Natalia znów parsknęła śmiechem, podeszła do niego i usiadła mu na kolanach, a potem objęła go za szyję i wplotła mu palce w gęste włosy.

- Obejrzymy coś? - zapytała.

- Jasne. Może być coś głupiego. Najlepiej kabarety. Nie chce mi się już myśleć o niczym.

Dokończył obiad, zasiedli na kanapie przed telewizorem i Przeworski wreszcie mógł odpocząć. Pod wieczór, kiedy Natalia poszła odwiedzić rodziców, wykonał dwa telefony, bo nie znosił tracić czasu, a ochota na niemyślenie minęła mu dość szybko. Najpierw

zadzwoił do von Zussowa. Niemiec odebrał, w tle słycać było gwar rozmów i metaliczne pobrzękiwania.

- Halo?

- Dobry wieczór, Przeworski, polska policja, widzieliśmy się kilka godzin temu w...

- A, tak, tak. Słucham.

- Nie przeszkadzam?

- Jestem na obiedzie z przyjaciółmi. Coś pilnego?

- W zasadzie nie, chciałem spytać tylko o jedną rzecz.

- To załatwmy to od razu, nie wiem, jak się rozwinie wieczór. Chwila... - Przeworski usłyszał niewyraźne słowa po niemiecku, a kilka sekund później von Zussow znów się odezwał: - Już. O co chodzi?

- Kojarzy pan kierowcę pana byłej żony?

- Heinię Vogla?

- Tak.

- Wie pan, że jest Polakiem z pochodzenia?

- Słyszałem o tym. - Cmoknięcie, które usłyszał aspirant, można było interpretować niejednoznacznie: albo von Zussowowi nie podoabało się pochodzenie Vogla, albo po prostu coś mu utkwilo w zębach.

- Wie pan o nim coś więcej? - zapytał.

- Niewiele. Siedział w więzieniu, jeszcze w Polsce.

Teraz powód cmoknięcia stał się dla Przeworskiego jasny.

- Za co?

- Za zabójstwo.

Aspirant mocniej ścisnął telefon i o ile na wieść o ukryciu przez Vogla znajomości polskiego i swojego pochodzenia mógł być na siebie trochę zły, o tyle teraz był po prostu wściekły.

- On jako chłopak trenował sztuki walki, chyba karate - wyjaśnił von Zussow. - To była jakaś bójka, został napadnięty z dziewczyną pod klubem i bronił siebie i jej. Ale jeden z napastników jakoś nieszczęśliwie upadł, uderzył się w głowę i zmarł, więc sąd wziął pod uwagę, że ponieważ znał ciosy potencjalnie niebezpieczne dla życia, musiał się z tym liczyć. No i dostał kilka lat odsiadki.

Aspirant przypomniał sobie nagranie z hotelowego monitoringu, na którym Vogel rozwalał kopnięciem drzwi.

- Pańska była żona wiedziała o tym? - zapytał.

- Oczywiście.

- To nie było dla niej problemem?

- Dla niej nie. - Von Zussow dał w ten sposób do zrozumienia, że dla niego owszem. - Ale Helene lubiła dawać ludziom drugą szansę. Zresztą uważała, że to on był ofiarą. Okoliczności, rozumie pan? No i dla kobiety lepiej, jeśli ma przy sobie kogoś, kto w razie czego potrafi ją obronić. Dużo jeździła, spała w różnych miejscach...

- Zawsze z nim?

- O ile wiem, to tak.

- Myśli pan, że coś między nimi było?

- Możliwe, ale akurat do tego się nie wtrącałem.

- Rozumiem. - Przeworski wiedział już, co trzeba, i nie było sensu dłużej zawracać von Zussowowi głowy. - Dziękuję za rozmowę. I życzę udanego wieczoru.

- Dziękuję również i do usłyszenia.

Aspirant rozłączył się i natychmiast zadzwonił do Cehaka. Prokurator miał akurat dyżur, na razie nic się nie działo, więc siedział w biurze i nadrabiał zaległości w papierach.

- Jak Berlin? - zapytał Przeworskiego.

- Duży.

- To wiem. Nic nie mówisz, jak było?

- Właśnie zamierzam ci powiedzieć, dlatego dzwonię. Dużo wrażeń było, ale od początku. Ptaszek nam wyfrunął.

- Jaki ptaszek?

- Vogel.

- Jak to?

- Normalnie, pewnie wymeldował się grzecznie z hotelu i wyjechał. Odstawił auto na podwórze kamienicy von Zussow, oddał kluczyki adwokatowi, który wynajmuje tam biuro, i nie pokazał się więcej. To nie oznacza oczywiście automatycznie przyznania się do winy, ale tak tylko cię informuję. - Przeworski przypomniał sobie swoją złość na

Vogla, ale jednak zwyciężył rozsądek. – W końcu dał sobie pobrać materiał, prawda?

– Co z tego? – prychnął Cehak. – To mogło być odwlekanie, sposób na uspienie naszych podejrzeń.

– I tak nie miałeś podstaw do aresztowania, ani nawet zatrzymania, Mariusz. Gdyby rzeczywiście ją zabił, za chińskiego boga nie pozwoliby na pobranie próbek, bo dałby nam do ręki dowód i nic by nie zyskał na przeciąganiu sprawy. Boi się powiązania go z zabójstwem, to chyba normalne. I wiedział, że nawet jeśli zdecydujemy się na jakieś środki wobec niego, to na miejscu łatwo go zgarniemy, a tak to Niemcy go prędko nie wydadzą. Państwa nie wydają swoich obywateli, kiedy nie ma twardych dowodów. Nie dawałby ich nam, bo nie musiał, prawda?

– Bał się, że jeśli odmówi, zatrzymamy go z marszu. Kiedy kogoś zabijasz, musisz liczyć się ze wszystkim, z ryzykiem w szczególności.

– Proszę cię, to nie Rosja czy Turcja, żeby zgarniać ludzi z ulicy za nic. Chciał po prostu uniknąć kłopotów. Nie on pierwszy, prawda? Nieważne, i tak nic już nie zrobimy. Czekam na papiery z LKA, ale dowiedziałem się czegoś i od nich, i od byłego męża tej Niemki. Heinrich Vogel jest Polakiem z niemieckim obywatelstwem, nazywał się kiedyś Henryk Ptasznik i był notowany. Podobno siedział za nieumyślne zabójstwo.

Cehaka wyraźnie zatkało.

– I ty mi mówisz, że nie wierzysz, że to on? – zapytał w końcu. – Przepraszam, rozmawiam z aspirantem Dominikiem Przeworskim czy Matką Teresą z Kalkuty?

– Owszem, nie wierzę, bo trochę nad tym myślałem. Nie możesz zakładać jego winy ze stuprocentową pewnością, a to właśnie robisz. A przy okazji dobrze się składa, że masz dyżur, wrzuć go od razu na bęben i sprawdź.

– Czekaj, zaloguję się do systemu... – Głos Cehaka był pełen rezygnacji.

Przeworski słuchał cichego klikania klawiatury i zastanawiał się, czy szybkie zmycie się Vogla ze Szczecina rzeczywiście coś oznacza wbrew temu, co sądził. Wiedział, że niemal w każdym, kto siedział

w więzieniu, przedstawiciele prawa budzą co najmniej niechęć, jeśli nie lęk, i to mogło go trochę tłumaczyć. Poniekąd.

- Henryk Ptasznik - zamruczał Cehak. - Urodzony dwudziestego kwietnia sześćdziesiątego dziewiątego w Gorzowie Wielkopolskim. Skazany za nieumyślne zabójstwo w dziewięćdziesiątym ósmym, wyszedł w dwa tysiące czwartym. Później nic, czysto. Cholera, pozwoliliśmy mu spierdolić... Ja mu pozwoliłem...

Przeworski spojrzał w sufit.

- Nie mógł tego zrobić, powtarzam ci. Żeby wyjść z hotelu, a nawet ze swojego pokoju, musiałyby wejść w zasięg kamer. Przez okno też nie wyszedł, jego pokój był od ulicy, piętro niżej. Musiałyby wspiąć się dwie kondygnacje po elewacji, przejść dachem i zejść z drugiej strony na jej balkon. Człowiekiem-pajakiem raczej nie jest, no i to po prostu nie miałyby sensu, bo gdyby chciał ją zabić, znalazłby łatwiejszy sposób.

- Pajakiem, mówisz... - Cehak parsknął. - To ci się udało. Sposób, w jaki sprawca dostał się tam, nie wyklucza działania w afekcie. Mógł to zrobić w jakimś szale, trwała rozmowa, coś nagle wyszło w jej trakcie i facet stracił nad sobą kontrolę.

- Jeśli to była zbrodnia w afekcie i dokonał jej Vogel, to przyszedłby do niej normalnie i widzielibyśmy go na nagraniach. No i nikt z gości nie słyszał żadnych wcześniejszych kłótni, a to się często zdarza przed takim zabójstwem. Poza tym widziałeś faceta: wyobrażasz sobie, że mógłby nosić taki szalik? Albo ofiara?

- Z tymi kłótniami to prawda, ale to też nie jest zasada - zauważył Cehak.

- No nie - przyznał aspirant. - Ale i tak nie wierzę, że to Vogel. Zawiadomił policję, porozmawiał z nami, oddał materiał i dopiero wtedy wyjechał. W czasie rozmowy był raczej opanowany, nawet mimo zdenerwowania. Gdyby zabił, dokonując nawet jakiejś sztuczki z niewidzialnością, nie czekałby, nie dzwonił po nas, tylko spieprzał od razu. A jemu włączył się tryb ucieczki, ale z opóźnieniem. I dziwisz się? Po takich doświadczeniach?

Cehak westchnął.

- Zachował zimną krew, co? Powieka mu nawet nie drgnęła. I rozumiał wszystko, co do siebie gadamy.

- Fakt, dobry był...

- Okej, nie ma co biadolić nad rozlanym mlekiem. Skontaktuję się z tym twoim Barańskim, żeby poprosił LKA o ustalenie miejsca pobytu Vogla. Chyba trzeba z nim porozmawiać jeszcze raz. Tym razem po polsku, co nie?

Przeworski potwierdził i pożegnał się, kiedy usłyszał chrobot klucza w zamku drzwi. Odłożył telefon na kanapę i obejrzał się. Natalia wchodziła do mieszkania obładowana szmacianymi siatkami, Nanga i Parbat obskoczyły ją natychmiast i musiała się od nich opędać. W siatkach pobrzękiwało szkło i aspirant wiedział, że wjechała dostawa weków, zup i pewnie czegoś jeszcze. Nie miał nic przeciwko, mama Natalii była w tym świetna, zresztą ojciec w niczym jej nie ustępował, jeśli chodzi o nalewki, i oboje postawili sobie chyba za punkt honoru, by sprawić, żeby córce i jej chłopakowi nie zabrakło pod tym względem niczego. Ani nigdy.

- Co robisz? - zapytała Nata.

- Odpoczywam. - Niewinne kłamstewko oszczędziło mu krótkiego wykładu o braku umiejętności resetu po pracy.

- To poddopoczywam z tobą - odpowiedziała, kładąc siatki na blacie w aneksie kuchennym.

Usiadła obok niego na kanapie, psy wskoczyły za nią, położyły się i przytuliły do siebie koło podłokietnika.

- Jak rodzice? - zapytał Przeworski, obejmując Natę.

- W porządku - odparła, kładąc mu głowę na ramieniu. - Przyniosłam zapasy.

- Słyszałem - mruknął, moszcząc się wygodniej. - Do śmierci tego nie przejemy. Ani nie przepijemy.

- Może spróbujemy? - zaproponowała Nata.

- Nie jestem głodny, przecież niedawno jadłem.

- To może naleweczka? Po kieliszeczku na dobry sen?

Na naleweczkę się zgodził, a pół godziny później okazało się, że wypili prawie całą butelkę.

2 sierpnia 1944

Bernard Strapko otworzył oko. Drugie nie chciało się otworzyć, powieka była czymś zlepiona. Kiedy światło dnia dotarło do siatkówki, poczuł, że głowa niemal mu eksploduje. Czuł w niej szum, bok pulsował straszliwym bólem. Sięgnął ręką w to miejsce i poczuł, że ktoś go przed tym powstrzymuje.

- Panie Bernardzie kochany, spokojnie, niech pan się nie rusza! - usłyszał czyjś głos.

- Co... się... - wychrypiał.

Słowa nie mogły przejść mu przez wyschnięte gardło.

- Jest pan ranny. Panienko przenajświętsza, cud się zdarzył, że pana nie zabił...

Poznał głos sąsiadki, Gośniakowej, wdowy po kapitanie, który zginął w bitwie nad Bzurą, i powoli zaczęło docierać do niego, co się wydarzyło. Szarpnął się i w tej samej chwili przed oczami zaczęły latać mu ciemne płaty.

- Pan leży, panie Bernardzie! - Poczul na swoim ramieniu jej ciepłą dłoń. - W końcu przyjdzie doktor.

Łzy trysnęły mu z oczu, skulił się i objął głowę rękami. Ostatni widok, jaki zobaczył tuż przed tym, zanim gestapowiec nacisnął spust, wrył mu się w pamięć niezacieralnym wspomnieniem, jak wykute w kamieniu nagrobka napisy, które może zarosną mchem, ale nigdy nie znikną. Leżał tak targany spazmami płaczu, a Gośniakowa siedziała obok z dłońmi splecionymi na podołku i czekała.

W końcu Strapko umilkł. Leżał skupiony na swoim bólu, tym fizycznym i tym psychicznym. Przez prawie pięć lat okupacji udało im się uniknąć tragedii: łapanek, ulicznych egzekucji, wywózki na roboty, rewizji. Wszystko to było gdzieś obok, dotyczyło znajomych, sąsiadów, ale nigdy żadnego z nich. A potem przyszła ta chwila, ta jedna, krótka

chwila, która zmieniła wszystko i na zawsze. Do jego uszu dobiegły nagle pojedyncze strzały i Strapko skulił się odruchowo. Ból uderzył ze zdwojoną siłą.

- Strzelają... - mruknął, wpatrzony w ścianę przed sobą, czekając, aż minie.

Być może kula właśnie odbierała komuś życie, może Niemcowi, może Polakowi, a może tylko szła w powietrze razem z innymi, chybiając celu. Dopiero teraz dotarło do niego, że jest w mieszkaniu sąsiadki. Ze ściany, z fotografii przepasanej w dolnym rogu czarną wstążką, patrzył na niego Rajmund, jej mąż, ubrany w galowy mundur oficera kawalerii.

- Zaczęło się powstanie! - W głosie Gośniakowej zabrzmiała radość.

- Powstanie? - Zamrugał i zmarszczył brwi.

- Tak! Panie Bernardzie, już niedługo, zobaczy pan. Niedługo będzie koniec.

Strapko drgnął nagle.

- Która godzina? - zapytał.

- Rano, po ósmej.

Skupił się. Minęła cała noc.

- Nikogo nie zabierali? - zadał następne pytanie.

- Skąd? - Nie zrozumiała.

- Ode mnie.

- Panie Bernardzie, kogo mieli zabrać, jak Władeczka nie było w domu, a Anielka i Jadzia... - Urwała.

A więc nie wiedziała, pomyślał Strapko.

- Władek nie wrócił? - wydyszał, bo brakowało mu tchu.

- Nie...

Uniósł się powoli na łóżku, czując zawroty głowy. Gośniakowa dała sobie już spokój z powstrzymywaniem go przed tym. Spuścił nogi na podłogę, wczepiając się palcami rąk w materac, i dochodził do siebie jeszcze przez chwilę, czekając, aż zawroty miną, albo chociaż odrobinę osłabną. Sięgnął ręką do boku głowy i poczuł bolesne pieczenie, kiedy dotknął świeżej rany. Skóra była rozorana kulą, czuł jej skrawki pod palcami. Przesunął rękę na twarz i machinalnie zaczął

zdrapywać z policzka i powieki zaschniętą krew. Gośniakowa patrzyła na rdzawobrunatne płatki opadające na jego kolana, ale nic nie powiedziała, przełknęła tylko ślinę i czekała. W końcu Strapko wstał, czepiając się ramy łóżka u wezglowia, i trwał tak nieruchomo przez chwilę, upewniając się, że ustoi, a potem, charcząc z bólu, chwiejnym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

- Panie Bernardzie... - Gośniakowa zerwała się z taboretu.

- Dam radę. - Machnął ręką, nie oglądając się, ze wzrokiem wbitym przed siebie, i ten ruch kosztował go nieomal utratę równowagi, więc chwycił mocno framugę przed sobą i odczekał, aż ściany przestaną wirować.

Gośniakowa podbiegła i złapała go za łokieć. Nie oponował, tylko oparł się o nią.

- One tam wciąż leżą... - wyszeptała, wiedząc, dokąd chce iść.

Nie odpowiedział, tylko parł przed siebie. Wyszli na klatkę i stanęli przed drzwiami jego mieszkania. Wyciągnął rękę i pchnął je z wahaniem, bo nie były zamknięte, a tylko nieznacznie uchylone. Otworzyły się na całą szerokość i z wnętrza mieszkania buchnął smród, który spowodował, że Strapce i Gośniakowej zebrało się na wymioty. Mimo to wszedł do środka i chwiejnym krokiem od razu skierował się do dużego pokoju. Waza z zupą wciąż stała na stole, talerze i sztucce leżały na obrusie, jakby zaraz wszyscy mieli zasiąść i zjeść wspólny obiad. Smród był nie do wytrzymania, w pokoju słychać było bzyczenie much. Strapko stanął nad zwłokami żony i córki, a potem opadł na kolana i z jego piersi wyrwał się szloch. Pochylił się, położył ręce na ich włosach, zamknął oczy i wył z rozpacz, a Gośniakowa, nie mogąc na to patrzeć, poszła do kuchni, usiadła na krześle i objęła głowę, zatykając sobie uszy i zaciskając powieki, spod których na podłogę skapywały łzy. Kiedy przestała słyszeć sąsiada, wstała i wróciła do pokoju. Strapko już nie płakał. Wciąż klęczał nad ciałami bliskich i kiwał się lekko z zamkniętymi oczami. Nagle drgnął i obejrzał się. Ich spojrzenia się spotkały, Gośniakowa zauważyła, że jego twarz się zmieniła. Była zacięta, zła.

Wstał powoli z kolan, minął ją w milczeniu i czepiając się ścian, ruszył w głąb mieszkania. Poszła za nim, bojąc się, że chce sobie coś zrobić. W drzwiach do pokoju, który był sypialną Strapków,

przystanąła, obserwując, jak sąsiad podchodzi do wielkiej, trzydrzwiowej szafy i otwiera jedne z drzwi.

Strapko odsunął płaszcze i obie marynarki, palto Jadzi i kilka sukienek Anieli, których już nigdy nie miały włożyć, sięgnął do lewego, górnego narożnika wnętrza szafy i odciągając ledwo widoczny niewielki skobel, pchnął mocno tylną ściankę. Kosztowało go to mnóstwo sił i zwiększyło zawroty głowy, ale ścianka ustąpiła i uchyliła się. W kryjówce było ciemno. Kiedy zapalił światło, okazało się, że jest pusta. Moryca nie było i Strapko nie wiedział od kiedy. Wciąż bolała go głowa, szumiało mu w niej okrutnie i ledwo był w stanie skupić myśli, ale po chwili doszedł do wniosku, że musiał opuścić kryjówkę, kiedy on był w stolarni, a Aniela z Jadzią poszły po sprawunki. Czy wiedział o powstaniu, a jeśli tak, to skąd, skoro jedynym łącznikiem ze światem byli oni? Czy powiedział Władkowi? Czy wręcz kazał mu iść ze sobą, kruchemu dwunastolatкови? A może wiedział, że przyjedzie po niego gestapo? A jeśli tak, to dlaczego ich nie ostrzegł? A jeśli było tak, że ktoś zauważył go na schodach, kiedy wymykał się z mieszkania, i doniósł? Patrzył bezrozumnie na skotłowaną pościel na starym sprężynowym materacu, kilka książek i manierkę z wodą. Na talerzu w kącie dostrzegł trochę niedojedzonych kartofli.

Strapko odwrócił się do Gośniakowej, kurczowo ściskając drzwi szafy.

- Nikt więcej stąd nie wychodził? - zapytał, mocno zaciskając powieki, bo sąsiadka rozmazywała mu się przed oczami.

- Nikt - wyszeptała, patrząc na niego z troską. - Szkopy odjechały, kiedy tylko na ulicy zaczęła się strzelanina. Niech pan dziękuje Opatrzności i Bogu, że pana ocalił.

Strapko spojrział na nią twardo, palce zaciśnięte na drewnie pobielwały.

- Za to, że pozwolił im je zastrzelić, też mam Mu podziękować?

Gośniakowa przycisnęła rękę do piersi.

- Niech pan nie bluźni, panie Bernardzie drogi... - W jej oczach znów pojawiły się łzy. - Potrzebujemy Go teraz. Wszyscy.

Zza okna wciąż dochodziły pojedyncze strzały i całe serie. Strapko słuchał ich, stojąc nieruchomo jak woskowa figura albo sklepowy manekin.

- Coś musimy z nimi zrobić - powiedział nagle. - Nie mogą tak zostać.

- Nie da rady na cmentarz, panie Bernardzie - wyjaśniła mu. - Niemcy strzelają do ludzi na ulicach.

Strapko zastanawiał się przez chwilę.

- Pochowamy je w podwórzu. Po zwycięstwie przeniesiemy na cmentarz.

Puścił drzwi szafy i ruszył w stronę Gośniakowej. Kiedy ją mijał, ta wyciągnęła dłoń i zatrzymała go, a potem z wahaniem sięgnęła do jego głowy i odgarnęła zlepione krwią włosy.

- Tylko pana musnęło - wyszeptwała ze zgrozą. - Trzeba oczyścić i zabandażować. To cud, panie Bernardzie, cud boski.

Patrzył jej w oczy przez kilka sekund, a potem delikatnie odsunął jej rękę.

- To przypadek, pani Gośniakowa, a nie cud. Gdyby to był cud, one by żyły.

Zeszła z nim na dół, na puste podwórze. Brama wjazdowa była zamknięta, odcinając tę przestrzeń od ulicy i czyniąc ją łudząco bezpieczną. Strapko podszedł do drzwi komórki, w której dozorca trzymał narzędzia. Zwykle była zamknięta, ale teraz kłódka zwisała otwarta na skoblu, a drzwi były lekko uchylone. Otworzył je na całą szerokość i zobaczył splątany szlauch, którym pan Janek podlewał ulicę w upalne dni, żeby się nie kurzyło. To było niepodobne do niego, zwykle miał tu wzorowy porządek. Sięgnął po stojącą pod ścianą łopatę, chwycił ją, a zanim przymknął drzwi, między nogami czmychnął mu wielki szczur. Strapko patrzył beznamiętnie, jak przebijając łapkami, biegnie wzdłuż ściany przez nikogo innego niezauważony.

- Chować będziemy dziewczyny od Strapków - usłyszał gdzieś z tyłu głos Gośniakowej. - W podwórzu.

Rozległ się pomruk, a potem ktoś powiedział:

- Trzeba sprowadzić księdza.

- Nie trzeba - warknął Strapko, odwracając się gwałtownie, zbyt gwałtownie, szybki ruch spowodował, że prawie upadł.

Podparł się łopata jak laską i zdołał jakoś ustać na nogach. Zobaczył, że na podwórzu pojawiło się niespodziewanie kilkoro sąsiadów, pewnie zobaczyli go przez okna i zeszli, wiedzeni ciekawością.

- Jak to tak, nie po chrześcijańsku? - Brzydka twarz Leśnickiego spod trójki wykrzywiona była grymasem zdziwienia, co nadawało mu wygląd rozsierzonego byka. - Chcesz pan je zakopać jak psy? Boga się pan nie boisz?

Twarz Strapki stężała w dziwnym grymasie. Podeszedł do sąsiada, wyciągnął ręce, palce zgięły się jak szpony, ale nie sięgnęły go, w ostatniej chwili powstrzymane przebłyskiem zdrowego rozsądku.

- Co więcej może mi zrobić? - syknął, wbijając wzrok w gardło sąsiada, w widoczne między dwoma zwisającymi fałdami skóry miejsce tuż nad skrajem siatkowego podkoszulka. - Zabrać mnie, tak jak moje dziewczyny? Proszę bardzo! Czekam! No, czekam!!!

Uniósł ramiona, łopata zatoczyła łuk i wzniosła się w powietrze jak katapulta, celując prosto w niebo, a ostatnie słowo wyrzeszczane w rozpacz uleciało ponad dachy, pozostając bez odpowiedzi.

- Gienuś, zostaw, nie teraz. - Gośniakowa wcisnęła się między mężczyzn.

Strapko odsunął się i opuścił ręce. Ścisnął trzonek łopaty i ruszył pod ścianę, do miejsca, które wybrał na tymczasowy grób dla Anielki i Jadzi. Końcówką sztychu wyrysował pierwszy prostokąt, najpierw ten większy. Kiedy zobaczył kątem oka, że z drugą łopata w rękę podeszedł do niego inny z sąsiadów, powstrzymał go wyciągniętą dłonią.

- Ja sam. - Popatrzył na niego twardym wzrokiem. - Pozwólcie mnie samemu.

- Niech pan wykopie trzy - powiedziała Gośniakowa, spuszcżając głowę. - Zabili też dozorcę.

Strapko zamknął oczy, wystawił twarz do słońca i stał bez ruchu, oparty o łopata, a potem zaczął kopać.

Wbijał łopatę w ubitą ziemię z wściekłością, raz za razem, odrzucając urobek na powiększającą się pryzmę z boku. Pot ściekał mu po całym ciele, szczypał rozoraną kulą skórę na głowie, skapywał na ziemię, znacząc ją ciemnymi plamkami, które natychmiast wsiąkały w pył albo wysychały, ale Strapko nie zwracał uwagi ani na upał, ani na ból, tylko zapamiętał kopał płytki dół; najpierw jeden, potem drugi, wreszcie trzeci, najmniejszy. Nie widział sąsiadów przyglądających mu się z boku ze smutkiem w oczach, nie widział trzech krzyży, które jeden z nich naprędce zbił z jakichś desek i oparł o trzepak, ani tabliczek, jeszcze pustych, które na tych krzyżach miały zawisnąć.

- Panie Bernardzie, niech pan odpocznie, po co ten pośpiech?

Przestał na chwilę. Otarł pot z czoła i rozejrzał się błędnym wzrokiem po ludziach.

- Wody - wycharczał, wyławiając z tłumku Gośniakową. - Niech mi pani przyniesie wody, pani Gośniakowa. Dam radę.

Nagle poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg, potem zaczyna lecieć ku niemu, a chwilę później poczuł w ustach jej smak i zapadła ciemność. Kiedy się ocknął, ostatni grób, ten dla Jadzi, był już wykopany.

Wstał powoli z klepiska, otrzepał się, zdjął z czoła mokrą chustkę, którą ktoś mu na nim położył. Ciągłe szumiało mu w głowie. Teraz przyszedł czas na najgorsze. Zebrał się w sobie. Kiedy zrobił krok naprzód, ludzie się rozstąpili, robiąc mu miejsce, a on minął ich, kierując się w stronę wejścia do kamienicy. I wtedy zobaczył pana Janka.

Zwłoki dozorczy sąsiedzi wynieśli z jego mieszkania na parterze, dokąd przeniesiono je wcześniej z ulicy, gdzie został zastrzelony przez gestapowca. Leżał teraz pod ścianą obok bramy, w jej cieniu, owinięty w śmiertelny całun z prześcieradła. Lekki, gorący wietrzyk zdmuchnął nagle jego róg. W czole, dokładnie pośrodku, widniała mała, osmalona na krawędziach dziurka po pocisku, półprzymknięte oczy o szklistym, martwym spojrzeniu patrzyły prosto w bezchmurne niebo i Strapko przysięgłby, że zastygł w nich strach, który starszy człowiek czuł w ostatniej chwili życia. Taki sam, jaki czuł on. I one. Pochylił się i zakrył twarz pana Janka, a potem poszedł do siebie.

Najpierw zniósł Jadzię. Maleńkie, sztywne ciało córki z rączkami wciąż przyciśniętymi do twarzy ciążyło mu w dłoniach. Przy zejściu z każdego stopnia czuł, jak jej warkoczyki objijają mu się o przedramię. Patrzył przed siebie, licząc schody, bo bał się, że upadnie i wypuści dziecko z rąk, a tego by już nie zniósł. Kiedy wyszedł na zewnątrz z ciemnej klatki, niespodziewanie poraziło go światło słońca i trochę z tego zaskoczenia pozwolił sobie wyjąć ciało Jadzi z rąk.

- Pan sobie da pomoc, panie Strapko, to nie ma sensu - usłyszał głos któregoś z sąsiadów. - Jesteśmy przecie z panem...

Uległ i wrócił po Aniełę. Wchodząc na górę, usłyszał za sobą czyjeś kroki. Nie oponował, bo wiedział, że nie da rady znieść ciała żony sam, pewnie by nie dał, nawet gdyby był w pełni sił. Już w swoim mieszkaniu zobaczył, że to Ziutek Rogalski spod ósemki, który trudnił się malowaniem szyldów: drobny człowieczek o żylastych rękach, który lubił wypić i dlatego praktycznie przestał pracować w swoim fachu: trzęsły mu się tak, że nie był w stanie namalować prostej kreski. Opędzając się od much, bez słów wzięli ciało Anieli pod pachy i za nogi. Zwisiała im sztywno w rękach i gdy znosili ją po schodach, Strapko pomyślał, że to uwłaczające dla Anieli: nieść ją jak worek z piaskiem albo kogoś pijanego w sztok, ale wojna sprawiła, że wiele rzeczy uważanych dotąd za poniżające czy uwłaczające stało się po prostu nienormalnie normalnymi. Trzeba było jakoś żyć.

Ostrożnie położyli ciało obok Jadzi i dozorczy. Rogalski poszedł do swojej piwnicy i wrócił z niewielkim pędzlem i puszką białej farby. Strapko niemal siłą wyrwał mu narzędzie i puszkę z rąk, klęknął na ziemi, gdzie leżały już tabliczki, umoczył pędzelek w farbie i zaczął pisać. *Aniela Strapko, ukochana żona, 23 luty 1912 - 1 sierpień 1944. Jadzia Strapko, najdroższa córeczka, 14 kwiecień 1937 - 1 sierpień 1944.* Litery rozmazywały mu się przed oczami, zapach farby i upał potęgował ból głowy, chciało mu się wymiotować. Kiedy skończył, Rogalski posypał mokrą farbę pyłem zebrany z klepiska, a Strapko usiadł na ziemi i objął głowę rękami. Siedząc tak bez ruchu, słuchał uderzeń młotka, którym ktoś przybijał tabliczki do krzyży, i starał się o niczym nie myśleć. Był śmiertelnie zmęczony i nie miał już sił, by się ruszyć, by mówić, by cokolwiek zrobić. Pozwolił ludziom zawinąć ciało

w prześcieradła i włożyć do dołów, zza zasłony swoich ramion patrzył, jak zasypują prowizoryczne groby. Zniknęły białe całuny, nad nimi pojawiły się nieforemne kopczyki, które rosły, aż przybrały ostateczną formę mogił.

Ktoś jednak wezwał księdza, ale Strapce było już wszystko jedno. Doktor nie dotarł do tej pory, ale ksiądz się znalazł... Ubrany mimo upału w ornat kapłan stał nad kopcami z Pismem Świętym w ręku i odprawiał modły otoczony sąsiadami, a jego śpiew niósł się echem pomiędzy fasadami kamienicy i oficyn. Strapko nie brał w tym udziału, uważając, że on już swoje zrobił. Zrobił tyle, ile mógł znieść. Poczul, że trochę sił wróciło, więc znów wystawił twarz do słońca, a kiedy spojrzał w okna, w jednym zobaczył czyjąś twarz. Józek Skibiński. Chłopak nie mógł zejść, więc obserwował naprędce zorganizowaną ceremonię przez otwarte okno oparty o rozłożony na parapecie koc. Na jego twarzy wciąż widniały żółte plamy sińców. Widząc, że Strapko na niego patrzy, uniósł się lekko na łokciu i podniósł dłoń. Strapko nie odpowiedział żadnym gestem, nie miał siły ani nawet ochoty.

Po pogrzebie ksiądz nawet do niego nie podszedł, widać sąsiedzi opowiedzieli mu, jak się zachował. Nie miał o to pretensji, był praktycznie wyjałowiony z jakichkolwiek uczuć. I tak podjął już decyzję i nie miał na co czekać. Zostawiając wszystkich na podwórzu, poszedł do siebie.

Nie mógł tu zostać. Jeśli zadenuncjował ich któryś z sąsiadów, to doniesie i o tym, że on ocalał. Niemcy wrócą dokończyć, co zaczęli. Jeśli miał żyć, dla Władka, bo nie dla siebie, to musiał uciekać, choć nie miał dokąd. Pozostało mu liczyć na sukces powstania, na rychłe nadejście Rosjan i wycofanie się Niemców. Uświadomił sobie, że może zrobić tylko jedno: znaleźć syna i go chronić. Druga myśl, jaka zjawiała się zaraz po tym, sprawiła, że ścierpła mu skóra. Bo to w obecnej sytuacji oznaczało, że musi przyłączyć się do zrywu. Przyłączyć się, choć nigdy nie wikłał się w żadne konflikty, nawet kampanię wrześniową przesłużył w kwatermistrzostwie i po kapitulacji po prostu wrócił do domu. A teraz musiał przyłączyć się do walki i zabić jak najwięcej tych skurwysynów. I robić wszystko, żeby przeżyć. Może nawet jakimś cudem znajdzie Władka, bo to, że gówniarz poszedł do

powstania, było teraz praktycznie pewne. Miał tylko nadzieję, że nic mu nie jest.

Starając się nie patrzeć na tylną ściankę szafy, wyciągnął z jej dna walizkę i położył na łóżku. Pakując te kilka ubrań i dwie pary butów, zorientował się, że ktoś na niego patrzy od drzwi. Obejrzał się. Gośniakowa.

- Już po wszystkim - poinformowała go, a w tonie jej głosu usłyszał lekki wyrzut.

Pokiwał tylko głową i upychał ostatnie rzeczy do walizki.

- Pani Gośniakowa - zwrócił się w końcu do sąsiadki, zamykając wieko i zapinając pasy. - Jeśli zjawi się Władek, pani mu powie, że go znajduję. Po wojnie ma tu czekać, rozumie pani? Czekać, aż przyjdę po niego.

- Tu? - Rozejrzała się zdumiona dookoła.

Zreflektował się.

- U pani. - Jego głos był już pokorniejszy. - Jeśli mogę panią prosić. Dam pani pieniądze, może pani wziąć meble i zastawę, co tylko pani chce...

- Ja nic nie chcę! Broń Panie Boże!

- Weźmie go pani do siebie? - Popatrzył jej w oczy.

- Oczywiście. Przecież to dziecko...

- Dziękuję. - Tylko tyle zdołał powiedzieć.

- Gdzie pan chce teraz iść, panie Bernardzie? - Zrobiła wielkie oczy, jakby dopiero w tej chwili zorientowała się, co chce zrobić Strapko. - No gdzie?

- Jak najdalej stąd. Nie mogę tu zostać, pani to rozumie, prawda?

Jej wzrok ześliznął się z jego twarzy i padł na chwilę na szafę. Przygryzła wargę i spuściła głowę. Strapko podniósł walizkę z łóżka. Nie była ciężka, ale mimo to zakręciło mu się w głowie. Podszedł do Gośniakowej, postawił walizkę na podłodze i objął sąsiadkę. To był jego pierwszy tak bliski kontakt z tą kobietą, z którą żył w jednym domu od dziesięcioleci. Poczul zapach jej potu i piwa, którym musiała umyć włosy. Nie poczul tylko jej dłoni na swoich plecach, więc puścił ją lekko speszony, chwycił rączkę walizki, wyminął Gośniakową

i opuścił mieszkanie, nie oglądając się więcej za siebie. Nie pożegnał się z nikim z sąsiadów.

Wyszedł na ulicę, nabrał głęboko powietrza w płuca i ruszył w prawo: kierunek nie miał znaczenia.

Gdyby wiedział, że Moryca nie ma w kryjówce, zachowałby się inaczej. Pokazałby gestapowcowi każdy kąt, otworzyłby nawet szafę, udowadniając mu, że się myli. Uchylna ściana wewnątrz szafy była naprawdę dobrze zamaskowana, nawet pchanie jej czy kopanie na nic by się nie zdało, bo tylko naciśnięcie w jednym określonym punkcie sprawiało, że się otwierała.

Chryste, gdyby tylko wiedział, że go tam nie ma...

Szedł ulicą, mijali go nieliczni ludzie. Biegli chyłkiem pod ścianami kamienic, skuleni, wystraszeni, a w jego oczach była tylko pustka. Przypomnił mu się szczur uciekający z komórki: bezbronny, przerażony, rozpaczliwie pragnący zniknąć, stać się niewidzialnym. Nagle podbiegł ktoś do niego: młody chłopak w brezentowej bluzie polowej z białą-czerwoną opaską na ramieniu. W ręku miał pistolet. Stanął przed nim i patrząc mu w twarz, mówił coś do niego, ale Strapko widział tylko poruszające się usta. Skupił się i wtedy dotarły do niego jego słowa.

- Człowieku, uciekaj do domu, tu kule świszczą! - Chłopak spojrzał na niego przytomniej. - Jest pan ranny!

- Chcę walczyć - powiedział twardo Strapko, chwytając jego dłoń i ściskając ją mocno, aż tamten syknął z bólu. - Słyszysz? Chcę walczyć. Zaprowadź mnie do naszych.

2018

Było późne popołudnie następnego dnia, powoli szarzało, gdy Przeworski poszedł z psami na spacer. Sam. Natalia miała migrenę, a aspirant podejrzewał, że przyczyniła się do niej wczorajsza nalewka. Spała od kilku godzin, na szczęście wymioty skończyły się i teraz pozostawało tylko czekać, aż dziewczyna dojdzie do siebie. Psy latały luzem, były dość karne i wracały do nogi, kiedy tylko dostały takie polecenie. Gdy aspirant przechodził obok posesji Owczarka, zobaczył, jak ten grabi liście zaścielające cały trawnik w jego ogrodzie.

Zenon Owczarek był miejscowym regionalistą i emerytowanym policjantem pełniącym niegdyś funkcję komendanta posterunku w Nowym Warpnie. Było to jeszcze w czasach, kiedy funkcjonowała granica i strefa wolnościowa, a do miasteczka zjeżdżali z całego województwa amatorzy taniego alkoholu i takich samych papierosów. Po wejściu do strefy Schengen atrakcje, które zapewniał armator kursującego między Nowym Warpniem a Altwarp po niemieckiej stronie niewielkiego statku ze sklepem wolnościowym na pokładzie, straciły rację bytu. Wraz z nimi zniknęła potrzeba utrzymywania komisariatu.

- Dobry wieczór, panie Zenonie! - przywitał się.

- Dobry. - Owczarek wyprostował się, spojrzał na Przeworskiego znad okularów i podniósł rękę, pozdrawiając go. - Wieczorny spacer?

- Zgadza się. Kółeczko z psami.

- Nad jezioro?

- Nie tym razem. Za późno, żeby myć te dwa harpagany z błota.

Owczarek z ulgą wypuścił z dłoni grabie, które upadły na trawnik. Podeszedł do płotu, wychylił się przez niego, a kiedy Nanga i Parbat

stały na tylnych łapach, oparły się o parkan i wyciągnęły pyski w górę, pogłaskał je po łbach.

- Co słyhać? - zapytał aspiranta.

- Ujdzie.

- Jak stara nowa robota? - Uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Trudno się przestawić.

- Nie wątpię. - Czochrając po grzbietach łase na pieszczoty psy, Owczarek pokiwał ze zrozumieniem głową.

- A jak już przy tym jesteśmy... - zaczął Przeworski. - Chociaż prosiłbym najpierw o dyskrecję.

- Taak? - Owczarek spoważniał i zabrał rękę.

Psy opadły na cztery łapy i zaczęły się kręcić wokół siebie, a on oparł się łokciami o szczyt parkanu.

- Mam na tapecie sprawę zabójstwa niejakiej Helene von Zussow - powiedział cicho Przeworski. - Mówi panu coś to nazwisko?

Oczy za szklami okularów rozszerzyły się ze zdumienia.

- Serio?

- Serio.

- Coś podobnego... - Widać było, że Owczarek jest tą wieścią wyraźnie wstrząśnięty.

- Też się zdziwiłem, kiedy okazało się, że chce tu budować spa.

- Ostatnio temat ucichł, ale miałem nadzieję, że jednak się uda. Cholera... Szkoda. Szkoda kobiety i szkoda tej szansy dla miasta.

- Życie... - Przeworski wzruszył niewesoło ramionami, ale rozumiał Owczarka.

- No nic, udanego wieczoru. - Owczarek odepchnął się lekko od płotu i cofnął o krok.

- Nawzajem i do zobaczenia. - Aspirant patrzył, jak mężczyzna powolnym krokiem wraca do roboty. - Niech pan uważa, żeby nie nastąpić na grabie - ostrzegł go jeszcze, widząc, że jest bardzo zamyślony.

Owczarek uniósł dłoń, nie odwracając się, a Przeworski zagwizdał na psy i ruszył przed siebie.

Następnego dnia zaczynał służbę po południu, więc z samego rana, kiedy tylko odwiózł Natę do pracy do Podgrodzia, wrócił do Nowego

Warpna i poszedł do urzędu gminy, żeby spotkać się z burmistrzem. Jarosław Durka, wóldarz miasta od kilku lat, akurat był na miejscu i przyjął Przeworskiego w swoim gabinecie w starym i uroczym budynku ratusza miejskiego.

- Chciałem pana podpytać o kogoś - zaczął Przeworski.

- Ktoś miejscowy coś zbroił? - Durka zrobił wielkie oczy.

- Nic mi o tym nie wiadomo - uspokoił go aspirant. - Zresztą to już nie moja sprawa. Chodzi mi o tę Niemkę, która chciała wybudować w Nowym Warpnie luksusowe spa.

- No to słucham. - W głosie burmistrza pobrzmiwała ostrożność.

- Została zamordowana.

- Cholera... - Oczy mu się zrobiły jak spodki.

Zerwał się gwałtownie z krzesła i podszedł do okna. Stanął przed nim, objął się wpół jedną ręką, drugą pocierał podbródek i w milczeniu wpatrywał się w widok za szybą.

- Cholera... - powtórzył, odwracając się do aspiranta.

Przeworski czekał, aż burmistrz dojdzie do siebie.

- Wie pan, ta działka była wystawiana na sprzedaż już dwa razy i nikt się nie zgłosił - mruknął Durka. - Wiązaliśmy jako gmina duże nadzieje z tą inwestycją.

- Zdaję sobie sprawę.

- Rozmowy były naprawdę zaawansowane, wydano już decyzję o warunkach zabudowy, toczy się postępowanie środowiskowe, przygotowujemy kolejny przetarg na działkę, miał być ostatni... Ta śmierć wszystko komplikuje. - Durka zastanawiał się przez chwilę. - Ba, boję się, że wręcz kończy sprawę. To była przebojowa kobieta, wiedziała, czego chce, a teraz zarząd jej firmy może stwierdzić, że ta inwestycja jest jednak nieopłacalna i po prostu skupi się na interesach w Niemczech. Ona była lokomotywą i tylko jej charyzma wróżyła powodzenie całemu przedsięwzięciu. Ale mnie pan zaskoczył... - Durka kręcił głową z niedowierzaniem.

Przeworski milczał.

- Rozmawiał pan z nią osobiście? - zapytał w końcu.

- Tak, oczywiście... - Burmistrz lekko drgnął, jak gdyby pytanie wytrąciło go z zamyślenia. - Kilukrotnie. Przychodziła tu parę razy,

a jej entuzjazm był zaraźliwy. Pokazała mi koncepcję, którą przygotowali architekci z Berlina. Chce pan zobaczyć? Zostawiła egzemplarz.

- Chętnie.

Durka podszedł do starego, ponemieckiego regału stojącego pod ścianą. Nie musiał szukać, gruby zeszyt formatu A3 leżał na jednej z półek na samym wierzchu. Położył go przed Przeworskim. Napis na okładce, po polsku i niemiecku głosił: „Koncepcja architektoniczna obiektu leczniczo-wypoczynkowego Termy Warpieńskie w Nowym Warpnie. Milde Architekten”. Aspirant otworzył okładkę i zaczął przeglądać strony. Plany niewiele mu mówiły: ani te zagospodarowania terenu, ani te architektoniczne, dotyczące konkretnych budynków; dla niego były tylko kreskami i kolorowymi plamami. Przerzucił jeszcze kilka stron i jego oczom ukazały się wizualizacje. Wyglądały jak zdjęcia istniejącego obiektu, był na nich nawet widok na zalew i trzciny, nad wszystkim unosiły się mewy, a błękitne niebo krzyczało do niego i do wszystkich, którzy oglądali te obrazki: przyjeźdź tu!

- Bardzo starannie przygotowane - stwierdził Durka z zadowoleniem pomieszanym ze smutkiem. - Wie pan, koncepcja ma zwykle chwycić za serce...

- Widzę - mruknął aspirant. - Ta na pewno chwytą.

- No właśnie. - Burmistrz aż sapnął. - Ale obrazki to tylko obrazki. Pani von Zussow wytłumaczyła mi wszystko. Cały kompleks miał się składać z kilkunastu obiektów, głównie domków mieszkalnych dla kuracjuszy, a ten największy... - wskazał palcem górujący nad pozostałymi budynek o drewnianej elewacji - był jego sercem. Tu miały znajdować się pokoje odnowy biologicznej, pomieszczenia masażu, kąpieli leczniczych i baseny. A nawet niewielka tężnia solankowa, o, tutaj... - Przesunął palec wyżej i wskazał ścianę utkaną z gałązek.

- Jak w sanatorium, co?

- Oczywiście, tylko że wszystkie borowiny, wody i sole byłyby sprowadzane z ujęć w Polsce, bo nie mamy ich na miejscu. Sam pan widzi, że bezpośrednio przełożyłoby się to na dochody wielu podmiotów w naszym kraju. To w zasadzie nie miało być spa, jak pan

to określił. Bardziej termy, choć z bogatym programem uzdrowiskowym.

- Ale podobno przyjeżdżać mieli tu tylko Niemcy?

- Nie tylko, choć trzeba myśleć realnie. To miała być alternatywa dla Kaiserbadów: Ahlbecku, gdzie też są podobne termy, Herringsdorfu czy Bansin, ale one są na Uznamie, nad Bałtykiem. Owszem, morze i tak dalej, wiadomo, ale tam mimo wszystko jest tłok. A tu... Spokój i cisza. Opłaty za pobyt pewnie byłyby, że tak powiem, niemieckie, ale cóż... Na to akurat już nie mieliśmy wpływu. To w końcu biznes.

Przeworski oglądał wizualizacje, głównie te, które przedstawiały kompleks z lotu ptaka. Nie znał się, ale to, co widział, do niego przemawiało. Budynki nie były wysokie, tylko jeden, największy, był dwukondygnacyjny. Wszystkie miały dwuspadowe dachy o niewielkim kącie nachylenia i widać było, że projektantom chodziło o to, by nie dominowały nad otoczeniem. Domki mieszkalne łączyły pomosty biegnące tuż nad terenem, który pozostał zielony. Wszystko współgrało w krajobrazem, a obłożone drewnianymi lamelkami elewacje sprawiały wrażenie, że budynki wtapiały się w niego.

- Ta koncepcja jest naprawdę porządnie przygotowana - powtórzył z przekonaniem Durka, widząc, że Przeworski zatrzymał wzrok na dłużej na jednym z widoków. - To już prawie gotowy projekt, więc sam pan widzi, że ona traktowała to poważnie, bo koszty projektu, nie wiem, czy pan wie, wynoszą od pięciu do dziesięciu procent kosztów inwestycji. To miało być jej dziecko, a ona cieszyła się tym również jak dziecko. Aż miło było patrzeć, jak kobieta w poważnym wieku, opowiadając o tej inwestycji, zachowuje się jak dziewczynka. Tym bardziej przykro, że nic z tego nie wyjdzie. - Westchnął na koniec.

- Może jest jednak jeszcze chociaż cień szansy - powiedział Przeworski, zamykając zeszyt i odsuwając go od siebie.

- Cóż... - Burmistrz cmoknął lekko kącikiem ust. - Pani von Zussow nie była jedyną, która miała plany związane z tą działką. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że drugi inwestor, już polski, podtrzyma swoje zainteresowanie i sprzedamy ją w końcu.

- Polski? To pewnie chce tam wybudować mieszkaniówkę?

- Niiiee. - Burmistrz prychnął, jakby Przeworski powiedział coś zabawnego albo wręcz niestosownego. - Na tych terenach jest to niemożliwe. To miało być coś podobnego, choć nie na taką skalę, mówię o standardzie. Znów: bądźmy realistami, nie wyobrażam sobie, żeby polski kapitał był w stanie zainwestować w tego typu obiekt aż takie pieniądze, jakie deklarowała pani von Zussow. No, ale zawsze coś. Powiem panu, że nawet wczoraj miałem telefon z prośbą o spotkanie w tej sprawie. Walczą.

Przeworski pokiwał głową. Tak to właśnie bywa: zanim jeszcze ciało ostygnie, zlatują się sępy, które zwietrzyły okazję, i dotyczyło to każdej dziedziny życia. A w deweloperce podobno nie bierze się jeńców.

Wstał i podziękował Durce za rozmowę.

- Wiadomo, kto ją zabił? - zapytał burmistrz, zabierając ze stołu zeszyt, i aspirant był trochę zdziwiony, że to naturalne pytanie padło na koniec rozmowy, a nie na samym początku.

- Nie - odparł krótko. - I prosiłbym, żeby pan tę informację zachował dla siebie.

- Oczywiście, oczywiście...

Przeworski pożegnał się i opuścił gabinet, a potem wrócił do domu, przez całą drogę zastanawiając się, czy Helene von Zussow nie zginęła czasem z rąk konkurencji. Wydało mu się to jednak zbyt oczywiste i równocześnie niezbyt prawdopodobne, więc uznał ten trop za fałszywy. Korzystając z pogody, już w domu przebrał się i poszedł pobiegać. Kiedy wrócił, wziął szybki prysznic i pojechał do roboty.

Niczym niezmaconą ciszę spokojnego sobotniego przedpołudnia niespodziewanie zakłócił dźwięk domofonu. Przeworski przerwał trening, otarł pot z klatki piersiowej i czoła, włożył T-shirt i zerkając w stronę sypialni, ruszył w kierunku drzwi. Z pomieszczenia nie dochodziły żadne odgłosy, więc wyglądało na to, że Natalia wciąż śpi i hałas jej nie obudził. Psy na szczęście podniosły tylko głowy. Przeworski chwycił słuchawkę domofonu.

- Tak? - zapytał.

- Dzień dobry, czy pan Dominik Przeworski? - zacharczało w słuchawce.

- Zgadza się, słucham, w jakiej sprawie? - Obejrzał się na drzwi sypialni: wciąż nic.

- Czy może nas pan wpuścić? Chcielibyśmy zająć panu chwilę, jeśli pan pozwoli.

Przeworski zastanawiał się przez moment, czy pozwolić i czy rzeczywiście chce mu się wpuszczać obcych ludzi do mieszkania, w którym panowała jeszcze poranna atmosfera, a w powietrzu unosił się zapach jego siódmych potów. Ciekawość zwyciężyła, wcisnęła przycisk zwalniający zamek w drzwiach na dole i rzucił do słuchawki:

- Ostatnie piętro, zapraszam.

Odłożył słuchawkę i podbiegł cicho do drzwi sypialni, uchylając je lekko. Przez szparę zobaczył jasne włosy Naty rozrzucone na skotłowanej poduszce. Kołdra unosiła się lekko w rytm oddechu. Aspirant przeprowadził do niej Nangę i Parbata, delikatnie zamknął drzwi i uchylając po drodze okno lukarny, wrócił do wejścia. Z klatki schodowej dobiegły go odgłosy kroków i szmer cichej rozmowy. Gdy przybysze dotarli na ostatnie półpiętro, zobaczył dwóch mężczyzn w garniturach. Na zewnątrz było dość chłodno, oni nie mieli płaszczy. Jeden był drobny, miał czarne włosy, łysiał mocno na czubku głowy, rzadkie kępki ledwie pokrywały skórę. Na nosie miał okulary bez

oprawek. Drugi był potężny, kompletnie łysy, w czym zapewne pomagał sobie maszynką i pianką do golenia, za to dół twarzy okalała krótka broda, przez co przypominał trochę dzina, który dopiero co wyskoczył z butelki. Chwilę później stali już przed drzwiami, z ciekawością wpatrując się w aspiranta. Ten drobny lekko dyszał, oddychając przez półotwarte usta, po drugim zaś w ogóle nie było widać, żeby wejście na trzecią kondygnację zrobiło na nim wrażenie.

- Nazywam się Zvi Hecker, a to pan doktor Bar Yosef z Centrum imienia Begin - powiedział ten łysy.

- To chyba pomyłka? - Ni to zapytał, ni stwierdził Przeworski. - Nie narzekam na zdrowie.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Hecker, miał dziwny, twardy akcent i dopiero teraz Przeworski zorientował się, że specyficzne charczenie nie było winą domofonu. Powiedział coś do tego drugiego w jakimś dziwnym języku, którego aspirant nie potrafił zidentyfikować. Widział tylko, że raczej nie jest europejski, na co mogła wskazywać również karnacja przybyszów przypominająca mocną opaleniznę. Drugi z mężczyzn roześmiał się, pokręcił głową i odpowiedział coś Heckerowi.

- Pan Yosef jest historykiem, a instytucja, w której pracuje, znajduje się w Jerozolimie i upamiętnia Menachema Begin, izraelskiego polityka - przetłumaczył Hecker. - On urodził się w Polsce, gdyby pan nie wiedział.

- Doktor Yosef? - Aspirant zerknął na historyka.

- Nie, Begin.

- Nie wiedziałem - odparł krótko Przeworski, wzruszając mimowolnie ramionami.

Jeśli Hecker sądził, że to nim w jakiś sposób wstrząśnie albo nastawi lepiej do niespodziewanych gości, to się mylił. Aspirant słyszał, że Żydzi w obcych miejscach zachowują się specyficznie, a wszystkie izraelskie delegacje czy zorganizowane wycieczki udające się w jakiegokolwiek miejsce na świecie mają przydzieloną obligatoryjną, uzbrojoną ochronę. Nawet te szkolne, zwiedzające muzeum Auschwitz-Birkenau. Z jednej strony nie dziwiło go to, bo życie w kraju z każdej strony otoczonym wrogimi państwami nie może

być łatwe, a piętno historii musiało niemal wkręcić tę ostrożność w strukturę DNA. W końcu z jakichś powodów służby specjalne Izraela uznawane są za najlepsze na świecie. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że problem jest dużo bardziej skomplikowany, świat nie jest czarno-biały i jak mawiał jego ojciec: bież wodki nie razbieriesz. Kim tak naprawdę jest Hecker? – zadawał sobie pytanie. Czy tylko tłumaczem, czy pod wysklepioną klatką piersiową, za połą marynarki tkwiła zgrabna, niewidoczna kabura z jakimś niewielkim pistoletem?

– Czy możemy wejść i poprosić o chwilę rozmowy? – zapytał Izraelczyk.

– A w jakiej sprawie? – Aspirant nie drgnął nawet o milimetr.

– Przyjechaliśmy prosto z Berlina, gdzie byliśmy w związku z panią Helene von Zussow.

Przeworski musiał przyznać, że go zamurowało, co nieczęsto się zdarzało. Hecker chyba to zauważył, bo uśmiechnął się lekko.

– Jeszcze stamtąd kontaktowaliśmy się mailowo z urzędem gminy, skąd skierowano nas do pana Owczarka jako znawcy historii tego miejsca. A pan Owczarek skierował nas do pana.

– Skierował? – Brwi Przeworskiego podjechały do góry.

– Może faktycznie nie skierował, ale wspomniał, że pan tu mieszka, i zasugerował, żebyśmy z panem porozmawiali. Wiemy, że jest pan policjantem.

Aspirant podrapał się w brew.

– N-no, dobrze, zapraszam. – Otworzył szerzej drzwi i odsunął się, z rozbawieniem zauważając, że Hecker wręcz wpycha się przed Yosefa i wchodzi do mieszkania pierwszy, obrzucając wnętrze uważnym spojrzeniem.

Przeworski wiedział, że tak rozglądają się operatorzy sił specjalnych lub ludzie szkoleni w tym zakresie: w jak najkrótszym czasie zauważyć jak najwięcej szczegółów i ocenić wszystko pod kątem ewentualnego zagrożenia. Wzruszył lekko ramionami i posadził gości na kanapie, sam zajmując fotel. Wpadające przez połaciowe okno słońce oświetlało ogoloną na gładko głowę Heckera, który wyglądał, jakby otaczała ją aureola. Z sypialni wciąż nie dochodziły żadne dźwięki.

- Słucham panów. - Jeszcze raz przyjrzał się uważnie twarzom obu Izraelczyków.

- Jakiś czas temu dotarła do nas informacja o śmierci pani Helene von Zussow - powiedział Hecker, a Yosef przytaknął skinieniem głowy, bo nie trzeba było znać polskiego, żeby zorientować się, o czym przed chwilą mówił jego kolega. - Jest nam oczywiście przykro z tego powodu, ale w zasadzie sprowadza nas do Polski nie ona, tylko jej ojciec.

- Taak? - Przeworski nadstawił ucha.

Zaczynało się robić jeszcze ciekawiej.

- Nazywał się Moryc Apfelbaum i był bohaterem wojennym. - Te słowa Hecker wypowiedział dobitnie, wręcz uroczyście, po czym zamilkł, wyraźnie czekając na reakcję aspiranta.

Przeworski nie bardzo wiedział, co zrobić.

- A więcej szczegółów? - rzucił niewinnie.

- Może zacznę od tego, że pan doktor zajmuje się badaniem dziejów ruchów żydowskich w okresie przed powstaniem państwa Izrael. Także tych, które istniały w Polsce w okresie przedwojennym i w czasie okupacji hitlerowskiej. Jedną z osób, której historią się zajmuje, jest Paweł, czy raczej Jakub Frenkel, członek żydowskiej organizacji Bejtjar, uczestnik powstania w getcie warszawskim, dowódca wojskowy organizacji zwanej Żydowski Związek Wojskowy. W związku działał również niejaki Dawid Moryc Apfelbaum, tajemnicza postać, której trop urywa się tuż po powstaniu, ale warszawskim. Wielu twierdzi, że był postacią fikcyjną, nigdy nie istniał, a jego życiorys to pomieszana historia kilku osób, w tym Frenkla. Po upadku powstania w getcie przedostał się na stronę aryjską i ponad rok był ukrywany przez polską rodzinę w Warszawie. W kamienicy przy ulicy Leszno, niedaleko getta. Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, poszedł walczyć również w nim pod pseudonimem Mieczysław Jabłoński i tu jego ślad się urywa. Nie ma go w żadnych dokumentach.

- Nie ma czy po prostu pan doktor takich nie odnalazł? - Przeworski zmarszczył brwi.

Hecker przetłumaczył, a Yosef rozłożył ręce i uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

- Zgadza się, to jest różnica - przyznał również Hecker. - Ale dokumentów nie jest tak wiele, za to rozrzucone są po różnych instytucjach na całym świecie. Izrael, Stany Zjednoczone i Polska to główne źródła naszych poszukiwań. I oto nagle dowiadujemy się, że Apfelbaum mógł mieszkać w Nowym Warpnie tuż po wojnie. Odwiedziliśmy Berlin, spotkaliśmy się z ludźmi, którzy znali Helene von Zussow, ale oni nie byli nam w stanie udzielić żadnych informacji, więc przyjechaliśmy tutaj. Wiemy już od pewnej osoby z tego miasta, pana Owczarka, że w latach czterdzieści sześć - czterdzieści siedem przebywał w nim pewien człowiek narodowości żydowskiej, nieznanym z nazwiska. Prowadził gospodę przy ulicy Żeromskiego. Zniknął w czterdziestym siódmym. Jeśli to faktycznie był Apfelbaum, pojawia się naturalne pytanie, co tu robił i dlaczego zniknął.

- Macie jakieś teorie?

- Jeśli chodzi o to, co tu robił... - Hecker spojrzał na Yosefa, który chyba zrozumiał pytanie Przeworskiego - to jego pobyt tutaj mógł być związany z Brichą.

- Z czym, przepraszam? - Aspirant lekko przekrzywił głowę.

- Bricha oznacza po hebrajsku ucieczkę. To była tajna organizacja, która przeprowadziła akcję przerzutu Żydów ocalałych z Zagłady na Zachód i do Brytyjskiego Mandatu Palestyny. Głównie z terenów Polski. Akcja była nielegalna, ale wobec skali i pewnych ustaleń politycznych władze w pewnym momencie zaczęły na to przymykać oko. W przemyt ludzi przez granicę zaangażowani byli żołnierze sowieccy, którzy za łapówki wywozili Żydów do strefy okupacyjnej ciężarówkami albo łodziami. Również tutaj. Jak nam uświadomił pan Owczarek, w Nowym Warpnie była strefa, w której mieli prawo przebywać jedynie mieszkańcy mający specjalne zezwolenie. Tuż obok przebiegała granica. Być może Apfelbaum, a przyjmijmy na potrzeby tej rozmowy, że to faktycznie on, był przyczółkiem czy szpicą Brichy na tym terenie. Skoro był wcześniej syjonistycznym działaczem, i to zaangażowanym, czego dał wielokrotnie dowód, niewykluczone, że współpracował również z Brichą.

- A druga część pytania? - Aspirant zmarszczył brwi. - Dlaczego stąd uciekł?

Hecker przetłumaczył pytanie Yosefowi.

- Pan może nie wie, ale Bejtar, a potem związek, do którego Apfelbaum należał, miały zabarwienie prawicowe - odparł historyk ustami Heckera. - Oni byli syjoniści rewizjonistyczni. To fakt, że byli w Polsce Żydzi, którym po wojnie, aż do sześćdziesiątego ósmego, powodziło się nieźle, ale ci byli komunistami z przekonania, a Apfelbaum nie. Jak miał zostać w komunistycznym państwie?

- Ale dlaczego osiedlił się w Niemczech, a nie pojechał do Palestyny? Przecież wkrótce potem powstał Izrael?

- *Who knows, mister Przeworski?* - Yosef wznosił oczy ku sufitowi i rozłożył ręce. - *Who knows?*

Hecker zerknął gdzieś w bok i uśmiechnął się lekko.

- Wie pan, mój ojciec urodził się w Polsce niedługo przed wojną i ocalał z Zagłady - powiedział nagle. - Do końca życia nie miał w domu, już w Izraelu, żadnego sprzętu niemieckiej produkcji. Niczego, rozumie pan? Niczego, z wyjątkiem jednej rzeczy: szczotki do mycia sedesu, specjalnie ściągniętej z NRF przez znajomego. To łatwiej zrozumieć niż to, dlaczego bojowiec, który brał udział w dwóch powstaniach - żydowskim i polskim, któremu Niemcy zabili rodzinę i towarzyszy broni, osiedlił się w kraju swoich oprawców i żył w nim do śmierci, zamiast budować z innymi nową ojczyznę i walczyć za nią w tych trudnych, pierwszych latach jej istnienia. Zresztą formalnie Berlin Zachodni nie był częścią Niemiec, tylko czymś w rodzaju wolnego miasta zamieszkanego w większości przez Niemców.

Przeworskiego to ostatnie nie przekonało, ale wiedział, że postępowanie ludzi jest często nieprzewidywalne i niezrozumiałe, choć zwykle wyłącznie z perspektywy własnej oceny. Nie da się wygodnie chodzić w czyichś butach.

Yosef powiedział coś do Heckera, a ten po chwili zwrócił się do Przeworskiego.

- Pan doktor ma jeszcze jedną sugestię w związku z pańskim pytaniem. Bricha ze Szczecina miała sporo kontaktów z tą berlińską.

Przedstawiciele obu siatek spotykali się często, nawet raz na tydzień, w Berlinie. Centrala Brichy w Polsce mieściła się co prawda w Łodzi i to stamtąd przychodziły fundusze, ale z oczywistych względów spotkania z Żydami z Berlina musiały się odbywać gdzie indziej. Może Apfelbaum zbudował sobie tam swój mały, pewny świątek? Jest też inny, bardzo smutny aspekt: zdarzali się Żydzi trudniący się spekulacjami, oni również przemycali ludzi za granicę, ale wyłącznie dla zysku. I oni właśnie zamierzali osiedlić się w Niemczech wyłącznie ze względu na ciemne interesy, ale jakoś nie podejrzewamy Apfelbauma akurat o to. Widzi pan, Bricha była specyficzna: tu nie było podziału na jednych i drugich – że ten był socjalista, ten rewizjonista. W pańskim kraju, jak w każdym innym na świecie, wciąż ścierają się przeciwne opcje, a cierpią na tym zwykli obywatele. Izrael też nie jest od tego wolny. A w Brisze wszyscy działali na rzecz wspólnego dobra, choć były wyjątki, jak Bund, który postulował odbudowę życia żydowskiego w Polsce. – Hecker zakończył swój wywód wieloznacznym uśmiechem.

Przeworski westchnął tylko i spojrzął na gości.

– Hmm, przyznam, że to bardzo ciekawe, co panowie tutaj opowiadacie, mam tylko jedno pytanie. Dlaczego rozmawiacie o tym akurat ze mną? Nie sądzę, żebym miał większą wiedzę na temat tego człowieka niż pan Owczarek, a wręcz jestem tego pewien. Od was pierwszy raz o nim usłyszałem.

– Ale pan prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania jego córki.

Przeworski przewrócił oczami.

– Nie, proszę pana, ja nie prowadzę śledztwa – odparł. – Śledztwo prowadzi prokuratura, ja wykonuję czynności na jej zlecenie. I nie mam ani prawa, ani zamiaru udzielać żadnych informacji na jego temat osobom postronnym. Przykro mi. – Szeroko rozłożył ręce, mając nadzieję, że to definitywnie utnie temat.

– Ja rozumiem. – Hecker pokiwał głową. – Chodzi nam o to, że być może w związku ze śledztwem dowie się pan czego więcej o Morycu Apfelbaumie. Pan pozwoli, że zostawimy wizytówkę. Gdyby poznał pan jakieś szczegóły, które nie byłyby objęte tajemnicą śledztwa, pan doktor Yosef byłby wdzięczny za podzielenie się nimi. Mamy tak niewiele śladów dotyczących osób z tego kręgu politycznego, że

każdy kolejny będzie na wagę złota. Informacja o tym, że Apfelbaum osiedlił się w Nowym Warpnie, spadła nam dosłownie z nieba. Nawiasem mówiąc, Centrum Begina zamierza zwrócić się do prokuratury z oficjalnym pismem w tej samej sprawie.

Przeworski pochylił się, wyjął z ręki Heckera mały, biały kartonik i zerknął na niego. Napisy były po obu stronach: po jednej angielskie, po drugiej hebrajskie.

- Oczywiście - odparł, odkładając wizytówkę na stolik. - Gdybym faktycznie dowiedział się czegoś istotnego z waszego punktu widzenia, nie będzie problemu, żebym tę informację przekazał.

Goście odebrali to jako wstęp do pożegnania i wstali niemal równocześnie. Hecker obciągnął poły marynarki, a Yosef wyciągnął do Przeworskiego dłoń.

- Nie tylko polska historia jest skomplikowana, panie Przeworski - powiedział po angielsku, błyskając zębami. - Żydowska również, może nawet jeszcze bardziej. A ponieważ często się zazębiały, mamy tu naprawdę sporo do zbadania.

Przeworski skinął niezobowiązująco głową. Yosef miał niewątpliwie rację, ale temat był jak rzeka: szeroka i kręta jednocześnie, pełna mielizn i głębin, przełomów, progów i długa jak cholera. A najgorsze, że z miejsca, w którym były oba narody, nie było widać ani źródeł, ani ujścia. Aspirant uściskał więc dłoń historyka, potem jego kolegi, szykując się na niedźwiedzi uścisk. Z zaskoczeniem skonstatował, że Hecker ma delikatną rękę, choć wciąż uważał, że w razie potrzeby ta dłoń potrafi zewrzeć się w kamień, i to śmiertelnie niebezpieczny. Korciło go, żeby zapytać Heckera o krav magę, którą wciąż z upodobaniem trenował, w końcu facet pochodził z jej ojczyzny i zapewne ją znał, ale odpuścił. Nie lubił się odkrywać przed obcymi, a tym bardziej chwalić umiejętnościami. No i niewykluczone, że przy Heckerze był jak uczeń przy mistrzu.

Zamknął drzwi, wrócił do dużego pokoju i usiadł na kanapie. Dziwne było to wszystko.

- Kto to był? - wyrwał go z zamyślenia głos Natalii.

Stała w drzwiach sypialni, trąc powieki, włosy miała nastroszone i była nieumalowana, co Przeworskiego zawsze niepomiarnie dziwiło,

a nawet bawiło. Nie to, że nie miała makijażu, tylko to, jak różni się twarz kobiety przed jego nałożeniem i po. Psy wybiegły z pokoju i zaczęły biegać po salonie z nosami przy ziemi, węsząc w miejscach, w których przed chwilą byli niespodziewani goście.

- I tak nie uwierzysz - powiedział Przeworski lekko rozbawiony.

- Spróbuj. - Ziewnęła, nie zasłaniając ust, i przeciągnęła się rozkosznie.

- Dwóch Izraelczyków, wyobraź sobie.

- Słabe. Mógłbyś się bardziej wysilić, stać cię na więcej.

Przeworski wstał, włożył bluzę i ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz? - zdziwiła się Natalia. - A śniadanie?

- Muszę coś pilnie załatwić. Będę u Owczarka, jakby co.

Pomachał jej i wyszedł.

Kiedy aspirant zapukał do drzwi domu Zenona Owczarka, te otworzyły się niemal od razu. Owczarek, widząc Przeworskiego, pokiwał tylko głową.

- Rozumiem, że byli u pana?

- Zgadza się.

- Ranne ptaszki, co? Niech pan wejdzie.

Weszli na górę i usiedli przy stole w kuchni. Żona Owczarka krzątała się przy blacie.

- Przepraszam, że ich na pana nasłałem... - Owczarek podrapał się w nos - ale pomyślałem, że pana to zainteresuje, głównie, że tak powiem, zawodowo, ze względu na tę zabitą Niemkę.

Przeworski patrzył Owczarkowi w oczy i widział w nich, że ten wcale nie czuje się winny. I rozumiał to, bo wiedział, że starym psom węż zostaje do końca. W sumie nie trzeba być ekspolicjantem, żeby czuć, że istnieje jakiś głębszy związek między śmiercią pewnej kobiety a ludźmi, którzy na wieść o tym przyjeżdżają z jednego końca świata na drugi, bo przecież dla wielu tym właśnie było Nowe Warpno.

- W porządku, nic się nie stało. I miał pan rację, zainteresowało mnie to, jak pan się wyraził, zawodowo. Wierzę w przypadki, ale niektóre zbiegi okoliczności czasami wydają się zbyt podejrzane. Niemka, która chce w Nowym Warpnie budować luksusowy ośrodek, zostaje zamordowana, a okazuje się, że kiedyś mieszkał tu jej ojciec, który zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach. Przez chwilę, po rozmowie z burmistrzem, kiedy wspomniał, że jest jeszcze ktoś, kto interesuje się tą działką, miałem wrażenie, że może chodzić o kwestie konkurencji, ale wygląda na to, że to jednak faktycznie mylny trop. Znowu trzeba pogrzebać w przeszłości.

Owczarek zamyślił się na sekundę.

- A wie pan, że byłem wtedy na spotkaniu z nią, kiedy przyjechała przekonywać do swojego pomysłu mieszkańców? To było jakieś dziewięć miesięcy temu, przed pana przybyciem do nas.

- I jak wrażenia?

- Hmm... Mieszane. Ja jestem raczej ostrożny. O takich inwestycjach słyszy się dużo. Pan pewnie tego nie pamięta, bo wtedy interesowały pana zupełnie inne rzeczy, ale nie dalej jak paręnaście lat temu Chińczycy mieli budować w Szczecinie, nad jeziorem Dąbie jakieś ekskluzywne miasteczko. Szum, wizualizacje, obietniki i wyszło jak zwykle. Od początku obawiałem się, że to samo może powtórzyć się u nas. Gdyby to jednak wypaliło, to byłaby jakaś szansa dla tego miejsca. Jak kiedyś, przed wejściem do Unii i strefy Schengen, kiedy było tu przejście graniczne i ludzie z tej granicy żyli. Kilkanaście, a może kilkadziesiąt miejsc pracy, usługi towarzyszące, potencjalny rozwój: tak też trzeba na to patrzeć. Ale koniec końców babka zrobiła na mnie dobre wrażenie, powiem tak: jej entuzjazm był zaraźliwy. Były na sali ze dwie osoby, które głośno wyrażały swoje wątpliwości.

- Jakie wątpliwości?

- Że budowa zniszczy środowisko naturalne, że hałasy z budowy spłoszą bieliki z Łysej Wyspy, wie pan, standard. Ale jak wspominałem, to były pojedyncze głosy. A człowiek, który był z tą Niemką i który miał się zajmować wszystkim stąd, to znaczy ze Szczecina, na każde pytanie miał gładką odpowiedź. I faktycznie rzeczową. Był przygotowany.

- Grubich - mruknął Przeworski.

- Możliwe, że tak się nazywał, bo przedstawiał się na początku, ale nie pamiętam. A wracając do naszego Żyda... Do tej pory wiedziałem tylko, że był z pochodzenia Żydem, pojawił się tu tuż po wojnie i zniknął w czterdziestym siódmym. Nawet podejrzewałem, że miał coś wspólnego z Brichą, i w końcu się zmył. Druga opcja była taka, że został przez kogoś zabity, bo jednak prowadził jakieś lewe interesy. Cóż, wszystko było możliwe, choć cieszę się, że jednak ta pierwsza wersja okazała się prawdziwa.

- Jeszcze tego nie wiemy - zauważył Przeworski. - To wciąż hipotezy.

- Oczywiście. Nie mam informacji o innych mieszkańcach Nowego Warpna pochodzenia żydowskiego w tamtym czasie. Ale powiem panu coś jeszcze o tym naszym człowieku, choć to nie żadne rewelacje. Podobno miał dobre kontakty z tutejszą milicją i bezpieczeniakami. Mam w zbiorach kilka zdjęć z tamtego okresu, na jednym z nich jest załoga posterunku MO i on. Zidentyfikował go na nim pewien starszy pan, który już nie żyje, a najzabawniejsze, że on też nie wiedział, jak się ten Żyd nazywa. Niewątpliwie ma semickie rysy. No cóż, prawda jest taka, czy to się komuś podoba czy nie, że w UB było sporo Żydów.

- Hmm, Izraelczycy twierdzili, że Apfelbaum był pravicowcem, a w ubecji służyli zdeklarowani i zaprzysięgli komuniści. Jakoś mi to nie gra.

- W zasadzie tak, ale zawsze są dwie strony medalu. Jedni faktycznie wstępowali tam z przekonania, inni żeby mieć gwarancję bezpieczeństwa albo dostęp do broni czy po prostu po to, żeby się na kimś zemścić, teoretycznie w majestacie prawa. Ale niech pan pamięta, po co ten nasz tu był, przynajmniej według tych Izraelczyków. Dobrze było mieć świetne kontakty z milicją, ubecją, a zwłaszcza z pogranicznikami, prawda?

- Niby racja. Pokazał im pan to zdjęcie?

- Nie. - Owczarek uśmiechnął się lekko. - Nie mówiłem im nawet, że je mam. Ja jestem z natury i z doświadczenia ostrożny, zwłaszcza w relacjach z ludźmi, którym na czymś bardzo, ale to bardzo zależy. Poza tym sami wspomnieli, że nie wiadomo, jak on wyglądał, a jak pan sam zauważył, nie ma jeszcze pewności, że to ta sama osoba. Co by im to dało?

- To zawsze jakiś ślad. Można dalej szperać.

- Mówi pan?

- Tak mi się wydaje.

- Widzi pan, to historycy, naukowcy, a przynajmniej jeden z nich...

- Też pan to zauważył?

- Oczywiście. Naukowiec i ochroniarz. - Owczarek porozumiewawczo mrugnął do Przeworskiego. - Już pan rozumie, czemu nie pokazałem im tej fotografii? W każdym razie na tym etapie poszukiwań historyk nie może zakładać, że zdjęcie jest twardym

dowodem na to, że człowiek na nim i Apfelbaum to ta sama osoba. Powtarzam: jedno zdjęcie nic im nie da.

- No to nie poszperają.

- Oni nie - mruknął Owczarek.

Przeworski parsknął śmiechem.

- Polska - Izrael: jeden, zero, co? - zapytał rozbawiony.

- To nie kwestia jakiejś konkurencji, wyzwania czy dumy narodowej albo uprzedzeń. W żadnym razie. - Owczarek zdecydowanie pokręcił głową. - Oni nie mają narzędzi, a ja mogę sprawdzić pewne rzeczy dość szybko i wtedy ewentualnie dać im znać, bo zostawili mi wizytówkę. Jestem co prawda historykiem z zamiłowania, a nie z wykształcenia i zawodu, ale jak do tej pory wiele rzeczy związanych z historią tego miejsca udawało mi się ustalić.

- Może trzeba spróbować w archiwach?

- Zgadza się. Kiedy sprowadzano na te tereny osadników, każdemu przydzielano dom i ziemię. Istniały urzędowe wykazy, w których spisywano wszystko: kogo osadzono w jakiej gromadzie, pod jakim numerem, jak nazywał się wysiedlony niemiecki właściciel, ile miał ziemi ogółem, a ile ornej. Problem w tym, że to nie są jakieś wartościowe dokumenty i zapewne zniszczono je po przepisowym okresie, żeby zrobić miejsce na następne. Ale ja mam pomysł, w którym konkretnie archiwum możemy spróbować.

- Myślałem, że jest jedno: państwowe - zdziwił się lekko Przeworski.

- Nie, są różne. A mnie interesuje archiwum straży granicznej. Tak się składa, że znajduje się w Szczecinie.

Aspirant uniósł brwi, bo teraz zdziwił się jeszcze bardziej.

- Co Apfelbaum może mieć wspólnego ze strażą graniczną? - zapytał.

- Nie on i nie ze strażą. - Owczarek uśmiechnął się przebiegle. - Chodzi o miejsce, w którym żył, czyli zamkniętą strefę przygraniczną, i o to, że w archiwach straży granicznej są dokumenty wytworzone również przez poprzednika straży, czyli WOP, a nawet wcześniejsze, przedwojenne, kiedy istniały jeszcze straż graniczna i KOP.

- Czyli?

- Korpus Ochrony Pogranicza, strzegli wschodniej granicy drugiej Rzeczypospolitej. - Owczarek uśmiechnął się ponownie, tym razem szeroko. - Umówmy się, panie Dominiku, że tę część zostawi pan mnie. Tak się składa, że znam pewną sympatyczną dziewczynę, która pracuje w archiwum, ponadto mam aktualną zgodę kierownika archiwum straży na wgląd w zasoby.

- Po co to panu?

- Mają sporo rzeczy o Nowym Warpnie, przeróżnych, a ja, jak pan się już pewnie zorientował, jestem świrem, jeśli chodzi o to miejsce.

- Strasznie, ale to strasznie panu zależy?

- Otóż to! - Owczarek zmrużył oczy i przez chwilę wyglądał jak najedzony i zadowolony kot. - Ale siebie się nie obawiam.

- Tylko że to może nic nie dać.

- Oczywiście i należy się z tym liczyć. - Regionalista spoważniał. - Ale to nie oznacza, że mam niczego w tym kierunku nie robić, prawda?

- Mógł zmienić nazwisko, zdobyć lewe papiery i funkcjonować tutaj pod innym - kontynuował sceptycznie Przeworski.

- Zgadza się, mógł. Ale nawet jeśli jakimś cudem znajdziemy jego zdjęcia pod innym nazwiskiem, to będziemy wiedzieć, że to on: „nasz” Żyd. Tylko że dalej nie będziemy mieć ewidentnego dowodu, że to Apfelbaum. Nie wiem nawet, skąd ci Izraelczycy wiedzą, że von Zussow była jego córką.

- Mnie też nie powiedzieli, a ja nie pytałem. Ale nieważne. Zawsze mogę skontaktować się z berlińskim LKA i poprosić o możliwość ponownego zajrzenia do mieszkania jego córki, bo już raz tam byłem. Może zachowały się tam jakieś jego zdjęcia? Wtedy je sobie porównamy.

- Nie znalazł pan żadnych, kiedy pan tam był?

- Nie szukałem zdjęć, chciałem się tylko rozejrzeć, znaleźć jakieś powiązania. - Nagle Przeworski uderzył się w czoło otwartą dłońią. - Kretyn ze mnie, przecież wystarczy zwrócić się do Niemców z wnioskiem o dane ojca Helene von Zussow.

- A długo to potrwa? - zainteresował się Owczarek.

Przeworski spojrział na niego krzywo, podrapał się z lekkim zakłopotaniem w kark i zapytał:

- Kiedy chce pan jechać do tego archiwum?

- Jestem na emeryturze, mogę nawet za dziesięć minut. Ale i tak najpierw muszę zamówić akta, które mnie interesują. Trzeba to wszystko odszukać. Pani Iwonka jest bardzo miła, ale nie wymagajmy cudów.

- Myślałem, że pan o Nowym Warpnie wie wszystko - zażartował aspirant.

- Wie pan, nie była to nigdy postać, którą mogłem uważać za istotną dla historii tego miejsca. - Spojrzął na Przeworskiego znad okularów. - Aż do dziś. Więc kto wie, może trzeba będzie zweryfikować to podejście. I jeśli mogę coś zasugerować: niech pan zajrzy do Zajdlów.

- Po co?

- Stary Zajdel jest tu od początku, znał i zna wszystkich. Niech pan z nim pogada i da mi znać. A ja napiszę maila do pani Iwonki, zapowiem się.

Na ulicy Słonecznej, pod domem Zajdla, swojego poprzednika na stanowisku dzielnicowego, aspirant Przeworski znalazł się kilka minut później. Rozpadało się, ciężkie krople deszczu bombardowały dachy domów i samochodów i rozbryzgiwały się na bruku, a gałęzie drzew ugiwały się pod ciężarem wody spływającej po żółknących liściach. Kiedy Zajdel otworzył drzwi, na jego twarzy zagościł szczery uśmiech.

- Proszę, proszę, kogo moje oczy widzą! - zawołał, a potem zaprosił Przeworskiego do środka. - Co słysząc?

- Nie wie pan? - Przeworski też uśmiechnął się lekko, strzepując z włosów resztki deszczu.

- Trochę - przyznał Zajdel, spuszczać wzrok w udawanym zawstydzeniu. - Zabrali nam pana stąd, ale nie do końca, co?

- Nie do końca.

- A pamiętam, jaki był pan smutny, gdy pan tu przyjechał. I proszę...

Przeworski wszedł do dużego pokoju i usiadł na kanapie. Czuł się dość swobodnie, bo kontakt z Zajdlem miał zawsze dobry, emerytowany komisarz pomógł mu nawet kilka razy w czasie, gdy aspirant szeryfował w Nowym Warpnie. Na małym stoliku kawowym Przeworski zobaczył kubek z herbatą i otwartą książkę leżącą okładką do góry. Tytuł nic mu nie mówił, choć ilustracja na okładce świadczyła, że to kobieca obyczajówka, i w tej samej chwili aspirantowi przyszła do głowy myśl, co też on będzie kiedyś porabiał na emeryturze. Zajdel zajął swój fotel, założył nogę na nogę, ręce na piersi i spojrział wyczekująco na Przeworskiego.

- No i nie mamy nowego dzielnicowego... - zaczął.

Aspirant wzruszył ramionami. Po przeniesieniu z powrotem do Szczecina jego stanowisko pozostało nieobsadzone z braku etatów, a ewentualne interwencje podejmowały załogi z polickiej powiatówki. Trzeba było uczciwie przyznać, że nie miały tu zbyt wiele do roboty

i może właśnie to było przyczyną wakatu. To albo jak zwykle brak pieniędzy.

- Na władzę nie poradzę - mruknął tylko kwaśno. - Ale w zasadzie przychodzę do pana w innej sprawie. Chciałem zapytać, czy ma pan może jakieś informacje o pewnym Żydzie.

- O tym stróżu z pola namiotowego w Miroszewie? - Zajdel, zdziwiony, zmarszczył ciemne brwi.

Przeworski słyszał, że w latach osiemdziesiątych kempingu nad brzegiem zalewu pilnował człowiek z psem, na którego dzieciaki faktycznie wołały „Żyd”.

- Nie. O tym, który prowadził tu po wojnie knajpę na Żeromskiego.

- Aaa, o nim. Skąd to zainteresowanie?

Przeworski nie chciał zaznajamiać Zajdla z sednem sprawy. Bądź co bądź wykonywał czynności związane z oficjalnym śledztwem w sprawie zabójstwa, a to, że Zajdel był kiedyś gliniarzem, w zasadzie nie zmieniało faktu, że aspiranta obowiązywała tajemnica. Przy całej sympatii, jaką Przeworski żywił do byłego dzielnicowego, zdawał sobie sprawę, że to małe miasto, a na emeryturze z nudów robi się różne rzeczy. Na przykład plotkuje. Tylko Owczarkowi ufał na tyle, by dzielić się z nim różnymi sprawami zawodowymi, choć też nie wszystkimi.

- Prowadzę pewną sprawę, która może mieć związek ze zdarzeniami z lat czterdziestych - odparł enigmatycznie.

- Tu, w Warpnie? - Brwi Zajdla podjechały do góry.

- Ano tu - westchnął aspirant.

Nie wypadało nie powiedzieć niczego, a to, co mógł powiedzieć, i tak naprowadzało na jakiś trop, zwłaszcza starego wygę, jakim był Zajdel.

- Znowu... - Zajdel puścił do Przeworskiego oko. - To mi nieładnie pachnie.

Sprawa Reginy Remus była jeszcze świeża w pamięci wszystkich nowowarpian, ludzie wciąż przynosili kwiaty na jej grób na tutejszym cmentarzu, choć znicze pod domem starej nauczycielki zniknęły już dawno.

- Zobaczymy. Śledztwo jest we wstępnej fazie. I proszę nie cisnąć. Nie jestem już szeryfem, który tylko bawi się w detektywa po godzinach.

- Jasne, rozumiem. - Gospodarz uniósł ręce w pojednawczym geście. - Ale chyba źle pan trafił, bo ja praktycznie nic o tym człowieku nie wiem.

- Praktycznie? Czyli jednak coś pan wie?

Zajdel się roześmiał.

- Naprawdę niedużo, proszę nie liczyć na wiele. Mówię o informacjach. Herbaty, kawy?

Przeworski odmówił.

- A może pana tata wie coś więcej?

Ojciec Zajdla udzielił kiedyś Przeworskiemu informacji właśnie o Remus, emerytowanej nauczycielce niemieckiego pochodzenia, której śmierć na długo zburzyła spokój miasteczka. Znał ją od dziecka.

- Tata jest w szpitalu - odparł Zajdel. - Nic groźnego, przepuklina. Więc nawet jeśli wie, to musi pan poczekać ze dwa, trzy dni, aż wyjdzie.

Poprawił się w fotelu i spojrzał na Przeworskiego z sympatią.

- Nikt nawet nie pamięta, jak on się nazywał, wie pan? - zaczął. - Ani chociażby jak miał na imię. Słyszałem o nim tylko kilka razy od ojca, on też twierdził, że gość był żydowskiego pochodzenia. Faktycznie prowadził gospodę na Żeromskiego, a wiadomo, gdzie się chodziło po pracy, jak nic innego nie dało się tu robić. Zamknięta strefa, obok granica... Mój dziadek praktycznie od samego początku służył tu w Wojskach Ochrony Pogranicza, więc jako młokos nasłuchiwałem się historii. Wie pan, że były ciekawsze niż filmy w kinie? W Nowym Warpnie i w okolicy było kilka strażnic i placówek WOP-u. Myślubórz Wielki, tam mieli najwięcej roboty, Dwory, czyli dzisiejsze Karszno, Altstadt, czyli Podgrodzie, Brzózki, Warnołęka, Trzebież, Police. Na początku jeszcze funkcjonowały niemieckie nazwy tych miejscowości. Fatalne wyposażenie, braki w obsadzie, dotyczyło to zwłaszcza oficerów i podoficerów, braki we wszystkim, nawet w żywności. Służba, oprócz patroli i wart przy szlabanie, polegała

głównie na oraniu, sianiu, remontowaniu budynków. Czasem nic się nie działo przez kilka dni, a czasem działo się aż za dużo. A to strzelanki z przemytnikami, a to ruscy stacjonujący w Altwarpie przypadkowo ostrzelali z moździerza strażnicę, a to napadli na domy gdzieś po wioskach po naszej stronie, albo zatrzymali naszych w pasie granicznym, czy na odwrót, to nasi zatrzymywali ruskich, którzy przekroczyli granicę gdzieś w lesie, nawet o tym nie wiedząc. No i ludzie, dziesiątki ludzi migrujących w obie strony. Jedni uciekali stąd, inni tu wracali z wywózki czy kacetu i mało kto miał dokumenty. Nie było miesiąca, żeby ktoś nie zginął. A to nie zatrzymywali się na wezwanie, a to odpowiadali ogniem. Zdarzały się też wypadki z bronią. I te ciągle konflikty z niemieckimi rybakami na zalewie, aż po Świnoujście.

Przeworski pomyślał, że Zajdel zaczyna odpływać i wypuszcza się dość daleko na rozległe wody dygresji, choć Bogiem a prawdą to, co opowiadał, było całkiem ciekawe. Postanowił więc, że posłucha jeszcze trochę, a potem stopniowo, pytaniami pomocniczymi, zacznie holować Zajdla do właściwego brzegu, czyli do Żyda, najprawdopodobniej Apfelbauma. Na szczęście Zajdel zawrócił sam.

- Przywieźli tu ludzi, wysiedlili Niemców, praktycznie zamknęli ten teren, bo wjazd do Nowego Warpna był możliwy tylko dla osób tu mieszkających albo mających specjalne pozwolenie. - Zajdel szeroko rozłożył ramiona. - No i przyjechał też ten Żyd. Wiadomo, że naród wybrany ma głowę do interesów, więc prowadził ten szynk, jak się wtedy mówiło. A w tamtych czasach nie było łatwo o alkohol, choć był to artykuł pierwszej potrzeby.

- A dziś nie jest? - rzucił Przeworski.

Zajdel znów się roześmiał.

- Fakt, tylko dziś jest na każdym rogu. To powiem panu coś jeszcze, choć już bez związku z alkoholem: kojarzy pan naszego Władeczka, element lokalnego kolorytu? Władysław Strapko?

- Tak, kojarzę.

Przeworski widywał go na ulicach Nowego Warpna: mrukliwego, niedbale ubranego starca, który żył, jakby nikt i nic go nie obchodziło. Pamiętał też, że był kiedyś u niego na interwencji w sprawie jakiegoś zatargu z chuliganami.

- Mój ojciec zna go trochę, bo on też przyjechał tu z moimi dziadkami w czterdziestym szóstym, no ale jest kilka lat młodszy od Władeczka. - Zajdel pochylił się w stronę Przeworskiego i dodał konfidencjonalnym szeptem: - A wygląda, jakby było na odwrót.

Przeworski nie zaprzeczył, bo to nie byłoby grzecnością, tylko jawną nieprawdą. Czekał więc, aż gospodarz dojdzie do sedna i wyjaśni związek Władeczka z Żydem. Zajdel znów wbił się plecami w oparcie fotela i lekko przekrzywił głowę.

- Bernard Strapko, ojciec Władeczka, miał podobno z tym Żydem jakiś zatarg - powiedział tajemniczo.

- O co?

- Nie ma pewności. Władeczek nigdy tego nie skomentował, tylko się pieklił, żeby ludzie pilnowali własnego nosa. Podobno, podkreślam, podobno... - Zajdel znacząco podniósł palec wskazujący - chodziło o ziemię. Wie pan, to były lata czterdzieste i z własnością prywatną różnie bywało, weszła reforma rolna, która jednym życie zrujnowała, innym polepszyła. Zresztą wtedy władza ludowa raz dawała, raz zabierała. A to dali mieszkania i domy w Nowym Warpnie, a to zaraz kazali się wyprowadzać. A to dali ziemię na rolę, to zaraz odbierali w ramach kolektywizacji i PGR-y tworzyli. Że nie wspomnę o złodziejskiej denominacji z pięćdziesiątego. Cuda się działy. Były głosy, że to stary Strapko pomógł Żydowi opuścić nie tylko Nowe Warpno, ale i ziemski padół. Że zaraz po tym tajemniczym przejściu własności ziemi z rąk do rąk wyprawił go na łono Abrahama, rozumie pan? A potem temat ucichł. Teraz i tak ziemia leży odłogiem, niby Władeczek jest jej właścicielem po ojcu, ale nic z nią nie robi.

- Dlaczego?

- Wie pan, to nie są tereny rolne. Działka jest gdzieś tuż przy zalewie, raz na parę lat zalewa ją woda, kiedy wieje przez kilka dni. W Miroszewie w podobnej odległości od brzegu stoją domy, ale tam im wybudowali wał przeciwpowodziowy. A na Władeczka ziemi nic się ani nie zasieje, ani nie wybuduje. Można tylko pójść i pogapić się na zalew. Albo w ostateczności namiot rozbić, i tyle.

- Mówi pan, że Strapko jest jakby właścicielem. Przecież na tę działkę muszą być jakieś papiery? Wpisy do ksiąg wieczystych?

- Panie Dominiku, tu był Dzik Zachód. - Były dzielnicowy machnął lekceważąco ręką. - Pierwsze lata po wojnie były tragiczne na tych ziemiach, przecież pan to wie. Zresztą nikt do ksiąg nie zaglądał, to wszystko słowa powtarzane od dziesięcioleci. Kto wie, może jest z tym jak z kłamstwem, które powtarzane tysiąc razy staje się prawdą. - Zajdel wzruszył ramionami. - Opowiadam, co ludzie mówili, a słyszałem to jeszcze za dzieciaka. Kiedy dokładnie pojawił się tu Żyd, to nie wiem, tak jak mówiłem, było to niedługo po zakończeniu wojny. Władeczek przyjechał tu z ojcem, matkę zabili mu Niemcy, ale nie znam bliżej okoliczności jej śmierci. Znów: powtarzam to, co mówili ludzie, zresztą ani Władeczek, ani jego ojciec nie chcieli o tym za bardzo rozmawiać. Podejrzewam, że to były jakieś traumatyczne okoliczności. Stary Strapko walczył w powstaniu warszawskim, zresztą Władeczek podobno też, chociaż był wtedy jeszcze szczunem. Za łącznika robił, potem trafił gdzieś na wieś i tam doczekał końca wojny. Benek również uniknął niewoli, ale zgarnęli go berlingowcy i poszedł z nimi na Berlin. O tym też nie gadał, miał tylko szramę z boku głowy, którą zakrywał włosami. Raz jako dzieciak widziałem, jak podwiał je wiatr i odsłonił tę bliznę: koszmarny widok, pamiętam, że nie mogłem później długo zasnąć. Potem, jak na starość przerzedziły mu się włosy, widać ją było wyraźniej, choć już nie robiła takiego wrażenia. Po wojnie do Nowego Warpna Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego przysłało niemal prosto z frontu jakieś tysiąc osób, mieli stanowić trzon osadnictwa w tych rejonach, to było tak zwane osadnictwo wojskowe, mieli pierwszeństwo na ziemiach odzyskanych, w większości to byli chłopci. Benek przyjeżdżał tu na raty: najpierw sam pod koniec czterdziestego piątego albo na początku czterdziestego szóstego, po niecałym roku zniknął, żeby znów wrócić w czterdziestym siódmym, tym razem z synem. Odnalazł go przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, bo rozdzieliła ich wojna. Benek był z zawodu stolarzem, potem pracował w warsztatach spółdzielni rybackiej przy łodziach, bo do drewna miał rękę, a Władeczek, kiedy podrósł, robił to, co można było tu robić: łowił ryby. Praktycznie przez całe życie pracował w spółdzielni, najpierw w „Szkutniku”, potem w „Cercie”, z którą „Szkutnika” połączono. Przed przejściem na emeryturę był kierownikiem zespołu niewodowego. Wie pan, kiedyś

Nowe Warpno rybołówstwem stało. To była spora baza rybacka, pod koniec lat pięćdziesiątych „Certa” była kombinatem, sami budowali łodzie, a nie tylko je naprawiali, jak przedtem.

Przeworski pamiętał te historie: także to, że nowe władze nakazały zostać na miejscu tym Niemcom, których zawód i umiejętności miały się przydać Polakom. Przez chwilę jego myśli znów krążyły wokół Reginy Remus. Zajdel chyba zauważył, że aspirant się zamyślił, i wykorzystał tę chwilę, żeby łyknąć herbaty.

- Wie pan, czasem zdarzają się takie egzemplarze jak Władeczek - kontynuował, odstawiając kubek na stół. - Niezniszczalni. Nie mają się ich choróbka, urazy, nawet głupie zapalenie wyrostka robaczkowego czy cokolwiek w tym stylu. Ten facet nigdy nie chorował, wie pan? Chodzą słuchy, że w życiu u lekarza nie był, no chyba że w związku z pracą, u zakładowego, a ma ponad osiemdziesiąt lat. I to sporo ponad osiemdziesiąt. I nawet nie nosi okularów, wyobraża pan to sobie?

- Do dentysty też chyba nie chodził?

- Możliwe - potwierdził z rozbawieniem Zajdel. - Raz, pamiętam, sam sobie wyrwał bolący ząb, reszta chyba wypadła już bez jego pomocy, że tak powiem - siłami natury. Ma gość parę, mimo wieku położyłby niejednego z tych chojraków, co to z piwem chodzą po ulicach i szukają zaczepki. Lepiej mu nie wchodzić w drogę.

- Jest agresywny?

- Hmm, agresywny to za dużo powiedziane. Kiedy nikt niczego od niego nie chce, to nie ma problemu. Ale chyba na starość pomerdało mu się we łbie, bo bywa niemiły, kiedy ktoś go zaczepi. Mówię o zagadaniu do niego, a ta agresja jest słowna, nigdy nie miałem skarg, że dopuścił się rękoczynów, pan zresztą chyba też nie, prawda?

- Prawda.

- No właśnie. Mruk i dziwak, i tyle. - Zajdel wzruszył ramionami i znów sięgnął po herbatę. - Co tu się dziwić, każdy ma coś za uszami, pan nie? - Upił łyk i znad krawędzi kubka mrugnął do Przeworskiego.

- A skąd, ja jestem idealny. - Przeworski podjął konwencję, co Zajdłowi wyraźnie się spodobało: uniósł kubek jak do toastu i uśmiechnął się szeroko.

- To zupełnie jak ja, czyli jednak nie każdy. - Odstawił herbatę na stół. - Jeśli pan chce, to kiedy tata wróci ze szpitala, poproszę go, żeby z panem pogadał. Może wie coś więcej o tym szynkarzu?

- Jeśli będzie pan tak miły... - mruknął Przeworski, podnosząc się z kanapy.

Dziewczyna w słomkowym kapeluszu prowadząca rower patrzyła na niego z okładki rozmarzonym wzrokiem zza bukietu lawendy.

- Nie ma sprawy. - Zajdel machnął ręką i też wstał z fotela. - Dziękuję za odwiedzinę i zapraszam częściej.

Kiedy aspirant wyszedł na zewnątrz, deszcz był już tylko wspomnieniem. Zostały po nim kałuże, jeszcze więcej żółtych liści na ulicy i wilgotne, przesycone zapachem wody z zalewu powietrze. Jesień wkraczała w beznadziejną, schyłkową fazę.

- Jesteś wreszcie - mruknęła Natalia, kiedy wrócił do domu.

- Ja jestem zawsze - odparł, przytulając się do niej od tyłu, odgarniając włosy i całując ją w kark.

Odwróciła się, odsunęła odrobinę i chwyciła go za uszy.

- Gdzieś ty był? Umieram z głodu.

- Tu i tam. Musiałem z kimś pilnie pogadać.

- To co, śniadanie? - zapytała, przyciągając go do siebie, i chwilę później Przeworski zapomniał o Izraelczykach i Helene von Zussow.

Zapomniał praktycznie o wszystkim.

Warszawa, 14 sierpnia 1944

Władzio Strapko nie pamiętał, jak dotarł do domu. Walił jak oszalały w drzwi swojego mieszkania, ale nikt nie otwierał, więc zaczął wrzeszczeć. Nagle otworzyły się drzwi obok i wyrzała zza nich sąsiadka, Gośniakowa. Chwilę wcześniej struchlała, usłyszawszy hałasy na klatce schodowej, ale rozpoznała głos syna sąsiadów. Uspokoiła oddech, sprawdziła przez judasza, czy to na pewno on, i dopiero wtedy otworzyła drzwi.

- Władziu... - szepnęła i łyzy zaszklily się jej w oczach.

Chłopak odwrócił głowę w jej stronę i Gośniakową zdjęło przerażenie. Był potargany, osmalony, zakurzony i pokrwawiony, a w jego spojrzeniu widniała pustka. Dzieciak miał oczy jak dorosły... albo szaleniec.

- Nie doniosłem meldunku... - wyszeptał Władziu spierzchniętymi wargami. - Nie dałem rady. Czołg. Wybuchł czołg. Tylu ludzi zginęło... Najpierw się cieszyli, że go zdobyliśmy, i nagle wybuchł... Pułapka. I nikogo już nie było. Tylko krew, ręce, nogi i głowy. Widziałem to... Kopnąłem czyjąś głowę, kiedy uciekałem... Pani Gośniakowa, ja kopnąłem czyjąś głowę... - Usta Władka wykrzywiły się w podkowę i chłopak zaniósł się płaczem.

To otrzeźwiło Gośniakową. Najgorsze, co mogła teraz zrobić, to rozplakać się z nim i świadomość tego pomogła jej się opanować.

- Nie przejmuj się. - Wyciągnęła ręce w jego stronę, ale on cofnął się o krok i objął własnymi ramionami, jak gdyby nie rozumiał, jak można się tym nie przejmować. - Nie szkodzi, chłopcze. Nie przejmuj się meldunkiem.

- Gdzie tata i mama? - Władek chlipnął i spojrzał na nią przytomniej. - Gdzie Jadźka? Gdzie wszyscy?

Gośniakowa poczuła, że za chwilę jednak wybuchnie płaczem. Ze wszystkich sił starała się przed tym powstrzymać i nie dopuścić, żeby łzy trysnęły z jej oczu.

- Władeczk... - zaczęła. - Posłuchaj... Stało się nieszczęście... Oni...

Nie dokończyła. W ostatniej chwili wyciągnęła ręce i złapała upadające dziecko. Władek był blady jak ściana, miał sine usta i podkrążone oczy. Czowała zapach jego włosów: pachniały potem, cementem i kurzem. Władek był wyrośniętym chłopakiem i czuła, że zaraz wypadnie jej z rąk.

- Gienek! - zawołała w stronę drzwi sąsiada. - Pomóż, Gienek!

Po długiej chwili usłyszała szmer pokrywki judasza, a potem chrobot klucza w zamku i Leśnicki w końcu wyszedł na klatkę schodową. Zanieśli chłopaka do pokoju i położyli na łóżku, na tym samym, na którym dwa tygodnie wcześniej leżał jego ojciec. Był blady, spocony, oddychał niespokojnie.

- Idź już, wracaj do Maryli, poradzę sobie - mruknęła do sąsiada.

Leśnicki spojrzał na nią bez wyrazu i wyszedł bez słowa.

- Dziękuję, Gienek - rzuciła jeszcze za nim, ale nie wiedziała, czy ją usłyszał.

Siedziała przy łóżku, patrząc na Władzia. Z zewnątrz dochodziły głuchoe odgłosy wybuchów, gdzieś daleko przeleciał samolot i rozległo się znieawidzone wycie nurkującego stukasa. Spojrzała w okno, na brudne szyby i nalepione na nie ukośne krzyże papierowych taśm zabezpieczających szkło przez pęknięciem i westchnęła głośno. Niedługo trzeba będzie zejść do piwnicy. Nagle usłyszała jęk i Władziu otworzył oczy. Przepęłniał je strach. Gośniakowa nie czekała, tylko od razu zaczęła mówić, jakby chciała zagadać wszystkie emocje targające chłopcem. To, co działo się teraz w jego głowie, musiało być straszne, więc chciała mu jak najszybciej przekazać choć tę jedną dobrą wieść.

- Ojciec żyje, musiał tylko uciekać, ale przedtem kazał ci zostać ze mną, słyszysz? Masz czekać tu na niego. On po ciebie wróci najszybciej, jak tylko się da, rozumiesz?

Chłopak przez chwilę trawił jej słowa.

- Dlaczego nie został? - zapytał, marszcząc brwi.

- Bo bał się, że gestapo po niego wróci. I po... Po tamtego też... Bo ukrywaliście kogoś, prawda?

Władek zagryzł wargi.

- Chcę wiedzieć, jak to się stało - powiedział nagle.

Gośniakowej zaczął drzeć podbródek. Wzięła głęboki oddech.

- Jezusie, Maryjo, wszystko słyszałam przez ścianę - zaczęła, załamując nagle ręce i zanosząc się płaczem. - Gestapo szukało u was Żydów. A potem usłyszałam krzyk Anielki i strzały.

- Chcę tam wejść...

- Nie idź tam, zaklinam cię na wszystkie świętości! Tam wciąż jest pełno krwi, smród straszny... Zastrzelili je na miejscu. A mieszkanie i tak wyszabrowane, pełno kanalii na świecie.

- Gdzie one leżą?

- Pochowaliśmy w podwórzu, póki trwa powstanie. Razem z dozorcą, jego też zastrzeliła ta kanalia. Dobrze, że nie chcieli rozstrzelać wszystkich mieszkańców. - Zamilkła na chwilę i spojrzała ostrzej na chłopaka. - Nie mieliście prawa tego robić. Nas też mogli zabić. Jak Janka. Nie wolno ratować komuś życia, ryzykując życie niewinnych.

Władek zgarbił się i napiął mięśnie ramion. Gośniakowa uświadomiła sobie, że jest bardzo rozwinięty jak na dwunastolatka, nie zauważyła tego wcześniej. Potem przypomniała sobie, jak ciężko jej było go nieść, kiedy zemdlał na klatce przed drzwiami swojego mieszkania.

- Pani to powie szkopom - warknął, a ona poczuła, jakby ktoś walnął ją obuchem. - Chcę iść na ich grób.

- Później, Władziu - zaczęła mu tłumaczyć. - Musisz odpocząć. Korzystajmy ze spokoju, póki nie musimy schodzić do piwnicy. Postaraj się zdrzemnąć, chłopcze. Musisz nabrać sił.

Dał się w końcu przekonać, musiał być straszliwie zmęczony. Położyła go do łóżka i czekała, aż zaśnie. Odwrócił się do niej plecami, co jakiś czas jego ręka albo noga drgała w jakimś skurczu, a potem przestał się ruszać, a jego oddech uspokoił się i wyrównał. Gośniakowa na palcach wyszła z pokoju.

A Władek śnił. Śnił największy koszmar swojego życia, w dodatku ten, który wydarzył się naprawdę. Szedł z meldunkiem. Dowódca oddziału wysyłał go na trasy, które wydawały się najbezpieczniejsze: nie było zgłoszeń o snajperach ani o większych grupach niemieckich wojsk. Władek wyglądał na zwykłego chłopaka, zabroniono mu noszenia powstańczej opaski, miał po prostu udawać przestraszone dziecko, który chce wrócić do domu. Kiedy dochodził już prawie do Kilińskiego, usłyszał śpiewy i wiwatowanie tłumu. Poczł się pewniej, bo to oznaczało, że rejon jest w rękach powstańców i w okolicy nie ma Niemców. I nagle rozległ się potężny huk, który poraził mu uszy. Zanim zdążył się przestraszyć, fala uderzeniowa wybuchu, skumulowana na wąskiej przestrzeni między pierzejami kamienic, przewróciła go na bruk. Niezdarnie pozbierał się z ziemi, czując, jak pięką go kolana i łokcie starte o kamień. Panowała głucha cisza, choć nie w uszach Władka. W jego głowie dzwoniły dzwonki, pod palcami chrzęściło szkło, drobne odłamki kaleczyły w palce. Nagle tuż przed sobą zobaczył ludzką nogę oderwaną w kolanie, była na niej jeszcze poszarpana nogawka spodni i but. Przez długą chwilę wpatrywał się bezrozumnie w zakrwawioną kończynę, a kiedy uświadomił sobie, co widzi, odsunął się gwałtownie i chwiejnym krokiem zaczął biec. W głowie tłukła mu się jedna myśl: meldunek. Donieść meldunek. Gorące powietrze czuć było pyłem, jakąś chemiczną wonią i słodkawym, mdlącym zapachem. Władek znał ten zapach, czuł go przez ostatnie parę dni dość często. Krew. Ludzka krew. W głuchej ciszy zaczęły rozlegać się wrzaski i jęki. Najpierw pojedyncze, potem dołączyły kolejne. Władek biegł przed siebie, starając się omijać wzrokiem coraz więcej ludzkich szczątków leżących na bruku i zwisających z balkonów. Usiłował utrzymać zawartość żołądka w środku. Nagle zobaczył coś przed sobą.

Ulicą biegł zakrwawiony człowiek. Potargany, z obłędem w oczach, czoło, nos i policzki znaczyły mu czerwone strużki układające się w misterną siatkę kontrastującą z bladą skórą przerażonej twarzy. Nie miał jednej dłoni, spod mankietu marynarki sterczał kikut, drugą ręką ścisnął sobie rozszarpany nadgarstek.

- Wybuchł czołg pułapka, wybuchł czołg pułapka! - wołał monotonnym, donośnym głosem, biegnąc przed siebie niezdarnie,

lekko powłócząc jedną nogą. – Wybuchł czołg pułapka, wybuchł czołg pułapka!

Minął Władka, wciąż wykrzykując te trzy słowa, jakby się zaciął, a przemożna chęć poinformowania świata o tragicznym zdarzeniu była silniejsza od bólu. Był w szoku, Władek to wiedział, bo widywał już ludzi w takim stanie w szpitalu polowym.

Przyśpieszył. Musiał przedostać się tamtędy, nie chciał zawracać i tracić czasu, więc biegł przed siebie. I wtedy ujrzał dymiący, osmalony wrak czołgu, ogromny lej i zrujnowane fasady otaczających plac kamienic. A potem zobaczył resztę i poczuł, jak ten widok odbiera mu dech i rozum. Przyśpieszył. Zapomniał o meldunku, zapomniał o wszystkim, chciał tylko uciec stamtąd jak najdalej. Wpatrując się w ziemię, parł przed siebie, ignorując wrzaski i wycia rannych. Krew tętniła mu w skroniach, pisk w uszach nieco zelżał, ale wciąż był dokuczliwy. Nagle but uderzył w coś i Władek prawie się wywrócił. Zobaczył, jak głowa jakiejś kobiety odbija się od czubka podeszwy i toczy się jak piłka szmacianka, podskakując na nierównościach bruku.

Z gardła wyrwał mu się dźwięk przypominający skrzek.

Gośniakowa się obudziła. Przez zakurzone szyby do pokoju wpadała luna jakiegoś nieodległego pożaru, który jeszcze nie dogasł. Usłyszała jęki chłopca, zerwała się z posłania i boso pobiegła do niego. Władek siedział na łóżku, widziała go w półmroku, niewyraźną postać majaczącą na tle ściany. Podeszła bliżej i spojrzała mu w twarz. Miał nieprzytomne spojrzenie, był mokry i zasikany, zlepione potem włosy sterczały na wszystkie strony.

– Władziu! – Gośniakowa przypadła do niego, objęła go i przytrzymała. – Władziu, jesteś u swoich! To tylko sen, zły sen, słyszysz?

– Nic nie pamiętam! – Oczy chłopaka rozszerzone były strachem. – Pani Gośniakowa, ja nic nie pamiętam! Tylko to, jak wyszedłem z domu i zabrałem Moryca, a potem nic! Nic! Nic nie pamiętam, nic nie pamiętam! – krzyczał.

Kobieta przytuliła go, ramiona chłopca uniosły się, ale po chwili opadły.

- Ćśśś - szeptała mu do ucha, kołysząc nim i czując, jak jego podbródek wbija się w zagłębienie między jej ramieniem i szyją. - Cichutko, Władeczku, wszystko będzie dobrze. Nie musisz pamiętać, nie musisz tego pamiętać, słyszysz?

Chłopak łkał i kiwał głową, Gośniakowa czuła jego gorące łyzy swojej szyi i szeptała mu wciąż „ćśśśśś”, aż Władek zwiotczał jej w ramionach. Położyła go na łóżku, przykryła kocem i wyszła z pokoju.

Wróciła kilka godzin później. Delikatnie obudziła chłopaka, lekko potrząsając go za ramię. Szarpnął się i złapał ją za rękę, więc szepnęła uspokajająco: „To ja, Władziu, to tylko ja”. Poznał ją i puścił jej dłoń. Leżąc na boku, milczał, patrzył tylko gdzieś w kąt pokoju, unikając jej spojrzenia.

- Musimy zejść do piwnicy, Władziu - powiedziała. - Zaraz mogą przylecieć stukasy. Od kilku dni zjawiają się o tej samej porze. Chodź, musisz się jeszcze przebrać, jesteś cały mokry.

Wstał niemrawo. Dała mu jakąś koszulę i spodnie po Tadeuszu, podwinęła rękawy i nogawki, chwyciła go za ramiona i odsunęła na wyciągnięcie swoich, patrząc na niego z lekkim uśmiechem i oceniając efekt.

- Chłop na schwał - mruknęła z zadowoleniem.

Władek milczał, miał obojętny wyraz twarzy, uśmiech Gośniakowej zgasł, zastąpiony smutkiem.

- Chodź, musimy już iść. - Popchnęła go lekko, a on, powłócząc nogami, ruszył w kierunku drzwi.

Wychodząc na klatkę, Gośniakowa popatrzyła na swoje mieszkanie, jakby nie była pewna, czy po nalocie będzie jeszcze do czego wracać. Przy schodach prowadzących do piwnicy natknęli się na Skibińską z synem. Józek wciąż miał posiniaczoną twarz i kulał, bo gestapowcy, bijąc go gumową pałką w podeszwy nagich stóp, połamali mu palce. Patrzył na Władka nieruchomym spojrzeniem. Zeszli na dół, prawie wszyscy sąsiedzi byli już na miejscu.

- Gdzie Lipińscy?! - zawołał ktoś.

- Schodzą! - odpowiedział ktoś inny.

Wszyscy patrzyli na puste miejsce na jednej z ławek, gdzie zwykle siedział Zdzisław Malec, mleczarz z oficyny. Nie wrócił wczoraj z miasta, gdzie próbował zorganizować jakąś żywność. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, ale praktycznie wszyscy czuli, że już nie wróci.

Władek siedział ze spuszczoną głową, czując na sobie spojrzenia niemal wszystkich sąsiadów. W jednych był wyrzut, w innych litość, w jeszcze innych tylko strach.

Kiedy gdzieś niedaleko wybuchła pierwsza bomba, ze stropu posypał się kurz. Jakieś dziecko pisnęło, komuś wyrwało się głośne westchnięcie.

- Jeszcze Polska nie zginęła. - Gośniakowa poczuła się w obowiązku tchnąć we wszystkich ducha nadziei.

Skibiński popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami, spękane usta wykrzywił sardoniczny uśmiech.

- Zginęła, pani Gośniakowa, albo właśnie ginie - wyszeptał, pochylając się w jej stronę. - To już nie ma sensu, naprawdę pani tego nie widzi? Nikt z was tego nie widzi?! - zawołał niespodziewanie i rozejrzał się po ludziach stłoczonych w ciasnej piwnicy.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy siedzieli w ciszy, rodziny obejmowały się, ktoś cicho nucił jakąś kościelną pieśń, a z zewnątrz co kilka minut dochodziło wycie junkersów i wybuchy bomb.

Nowe Warpno, styczeń 1946

Bernard Strapko stał przed drzwiami swojego nowego domu. Postawił walizkę na ziemi, wyciągnął przed siebie dłoń, żeby nacisnąć klamkę, i zobaczył, że drży. Był środek nocy, na ulicach głucho i pusto, mróz aż trzaskał, a on stał tak i zastanawiał się, czy wejść do własnego domu, którym od dziś miał być niewielki budynek przy wąskiej, brukowanej uliczce nieopodal jeziora w miasteczku na końcu świata. Zanim zorientował się, że ktoś za nim stoi, z tyłu dobiegł go cichy głos.

- Dzień dobry, panie Benek... Czekałem na pana.

Odwrócił się. Stał przed nim niewysoki mężczyzna, w srebrzystej poświacie księżyca Strapko widział jego twarz bardzo wyraźnie. Znał dobrze i tę twarz, i ten głos, to charczące „r” i charakterystyczne wydłużanie niektórych samogłosek.

- Moryc... - Głos uwiązał mu w gardle. Niewielki obłoczek pary, który uleciał z niego razem z tym słowem, umknął gdzieś w mrok.

Strapko zacisnął dłonie w pięści. Apfelbaum zauważył to i lekko się cofnął, a niewyraźny półuśmiech zszedł mu natychmiast z warg. Patrzyli sobie w oczy, a potem zaczęli się sobie przyglądać: swoim twarzom, ciałom i dłoniom. Zmienili się obaj, nie tylko fizycznie.

- Jak tu nie wierzyć w przeznaczenie, panie Benek. - Moryc westchnął.

Strapko milczał. Oczy Apfelbauma, czarne i wyraziste, wciąż skrzyły się tym samym blaskiem, który zobaczył w nich tego dnia, kiedy znalazł go na strychu. Przerażone zwierzę, brudne, zarośnięte i głodne, ukryte za deskami niedbale ułożonymi w kącie. Decyzja, którą wtedy podjął, była brzemienna w skutki, spowodowała śmierć jego bliskich i zrujnowała mu życie.

- Co tu robisz? - zapytał. - I skąd wiesz, gdzie mieszkam, chociaż nawet ja jestem tu pierwszy raz?

- Ja prowadzę szynk, panie Benek. A kto jest najlepiej poinformowaną osobą w mieście, jeśli nie szynkarz? Wiedziałem od kilku dni, że pan tu przyjedziesz. Trzeba wiedzieć, z kim pić. I trzeba trzymać rękę na pulsie. Takie czasy, panie Benek, takie czasy.

Moryc uśmiechał się. Studiował twarz Strapki jak malarz, który szykuje się do wstępnego szkicu portretu.

- Przeżyliśmy, panie Benek, tylko nam winszować. - Teraz Apfelbaum uśmiechnął się szeroko. - Przeżyliśmy piekło i spotykamy się tu. Bóg bywa miłosierny, a czasem dowcipny. Słyszałem, że przyjechał pan sam. Kiedy dojadą Aniela, Jadzia i Władziu?

Strapko oddychał ciężko. Nogi miał jak z ołowiu, a klatkę piersiową ścisnęła mu żelazna obręcz.

- Gestapo przyszło po ciebie pierwszego sierpnia - powiedział chrapliwie, bo wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia, wróciło z całą mocą, jaką niosą najboleśniejsze wspomnienia. - Ktoś doniósł. Wiedzieli, że jesteś u nas. Zastrzelili Anielkę i Jadzię, do mnie też strzelili... - Powolnym ruchem zdjął futrzaną czapkę, odsłonił kosmyk włosów i pokazał Apfelbaumowi bliznę: podłużny, łyśy i poczerwieniały placek skóry. - A ciebie nie było. Miałeś szczęście, Moryc, wielkie szczęście...

Twarz Apfelbauma stężała w grymasie przerażenia.

- Co z Władziem? - wyszeptał bez tchu.

- Nie było go wtedy w domu. Myślałem, że zabrałeś go ze sobą, do powstania.

- Żyje?

Strapko milczał, przyglądając się Apfelbaumowi.

- Żyje? - Moryc ledwo powstrzymał się od krzyku.

- Nie wiem. Nie widzieliśmy się więcej. Dostałem w nogę czwartego dnia powstania, wdało się zakażenie, lekarze dokonali cudu i ją uratowali. Potem poszedłem z Ruskimi na Berlin.

- Pan, panie Benek? Pan poszedł na wojnę?!

Strapko spuścił wzrok.

- Nie miałem po co żyć, Moryc - szepnął. - Ja chyba nawet nie wierzyłem, że Władek przetrwa powstanie, byłem niemal pewien, że zginął. Ale... Szukam go, Moryc, szukam go cały czas. Zostawiłem na

słupie koło gruzów kamienicy na Lesznie kartkę, żeby się ze mną skontaktował, że dostałem nakaz osiedlenia w Warpnie... Szukam go też przez Czerwony Krzyż.

Ramiona Apfelbauma zwiotczały. Przyłożył dłoń do twarzy i stał tak, płacząc bezgłośnie, a Strapko czekał.

- To Władziu mnie zabrał, a nie ja jego, panie Benek. - Dłoń odsunęła się od twarzy i Strapko zobaczył wilgotne ślady na policzkach. - Powiedział mi dzień wcześniej. Powiedział mi, że dostał rozkaz stawienia się na godzinę „W”. Był szczęśliwy, że wreszcie będą mogli coś zrobić, a potem Sowieni wejdą i dokończą. Chciałem iść z nim, chronić go, bo miał tylko dwanaście lat. Uratował mi życie, gdyby nie on...

Patrzyli na siebie, a w oczach Żyda było pytanie.

- Nie wydałem cię. - Strapko poczuł, że zaraz eksploduje mu głowa. - Nie wiedziałem, że cię nie ma. Po prostu poszli, nawet nie przeszukali potem mieszkania, rozumiesz? Zapytali o ciebie, potem zastrzelili je i poszli. Nawet mnie nie dobili.

- Ja... - Moryc zaczął się trząść. - Panie Benek, ja nie wiem, co ja mam teraz panu powiedzieć...

- Nic nie mów, Moryc. - Strapko pokręcił głową, nie patrząc już na niego. - Nic nie mów. Nic nie trzeba mówić. Albo lepiej powiedz, kiedy widziałeś go ostatni raz.

Apfelbaum głośno przełknął ślinę, wydatna grdyka pokryta ciemnym zarostem poruszyła się.

- Czternastego sierpnia. Widziałem go ostatni raz czternastego sierpnia. On poszedł z meldunkiem, ja na akcję i...

- I?

- Ja wróciłem, on nie... Miałem nadzieję, że po prostu poszedł do domu. Wiele razy próbowałem mu powiedzieć, żeby wracał, że to nie dla niego. Pan wie, pierwsze dni to była euforia, inaczej niż w getcie, gdzie była nas garstka. Ale szybko się okazało, że to na nic, że nas zniszczą. Żegnaliśmy się przed każdym rozstaniem, panie Benek, więc żyłem tą nadzieją, że on po prostu wrócił do pana. Poszedł do domu. Ale nie... - Spuścił głowę i wpatrywał się w skrzający się od lodu bruk.

- Nie wrócił - szepnął Strapko. - Z naszej kamienicy zostały tylko ruiny. Nawet nie miałem kogo zapytać...

Apfelbaum przełknął głośno ślinę i spojrzał ponad ramieniem Strapki na drzwi, a potem na walizkę.

- Pan się pójdzie rozpakować, panie Benek, pan jest pewnie zmęczony podróżą. - Westchnął. - Gdyby potrzebował pan pomocy, w czymkolwiek, ja panu załatwię, ja mogę naprawdę dużo załatwić, niech mnie pan wierzy.

- Dlaczego tu? - zapytał niespodziewanie Strapko.

- Co: dlaczego tu? - nie zrozumiał Moryc.

- Dlaczego przyjechałeś akurat tu?

Apfelbaum uśmiechnął się tajemniczo i zadrżał nagle. Objął się w pół i roztarł ramiona.

- Ja tu nie przyjechałem, panie Benek. Ja tu zostałem przysłany.

- Przez kogo?

- Nie mogę panu tego powiedzieć. - Moryc zdecydowanie pokręcił głową. - Kocham pana jak brata, jak ojca, ale nie mogę. Mnie nie wolno. Moja walka się jeszcze nie skończyła, pan wiesz?

Strapko obrzucił Żyda uważnym spojrzeniem, a ten uniósł ręce w uspokajającym geście.

- Pan będzie spokojny, panie Benek, przecież pan mnie zna, ja jestem dobry człowiek, ja nie zrobię nikomu nic złego. - Apfelbaum się uśmiechnął. - A pan? Czemu pan przyjechał akurat tutaj?

Strapko milczał. Oddychał miarowo przez nos, zimne powietrze mroziło wilgoć w jego wnętrzu. W końcu odetchnął głęboko przez usta i powiedział:

- Chciałem wyjechać jak najdalej, Moryc. Jak najdalej stamtąd. A dalej się już nie dało, więc jestem.

Żyd spojrzał gdzieś w bok.

- Życzę panu dobrej nocy, panie Benek. Knajpa jest na Żeromskiego, dawna Ostseestrasse. Zapraszam, zrobię panu kugel albo prawdziwy cymes. Tylko... - Zawiesił na chwilę głos. - Ja bym pana prosił o dyskrecję. Nie znamy się, dopiero się poznamy u mnie w szynku.

- Ja nie piję wódki, Moryc.

- Ale będzie pan do mnie wpadał, co? - Apfelbaum popatrzył na niego prosząco. - Raz na jakiś czas. Z wieściami. Ja po prostu muszę uważać, rozumie pan?

- Rozumiem - mruknął Strapko, schylając się po walizkę.

Żyd chuchnął w dłonie i schował je do kieszeni kożucha.

- Moja oferta pomocy jest poważna. Zrobię dla pana wszystko, panie Benek, pan mnie rozumie? Wszystko. I ja pana proszę, zaklinam, żebyś pan o tym pamiętał.

- Będę. - Strapko dźwignął walizkę z ziemi. - Jestem zmęczony, Moryc. Dobrej nocy.

- Spokojnej, panie Benek. Przede wszystkim spokojnej.

Odwrócił się i zniknął w mroku, w którym czuł się chyba jak ryba w wodzie. Strapko wszedł do domu. Wyciągnął zapałki, zapalił jedną i w migotliwym świetle płomienia rozejrzał się po pomieszczeniu. Na stole stała lampa naftowa, jakby ktoś przygotował ją dla niego. Zapalił ją, wyregulował płomień i ruszył na obchód swoich nowych włości. Wnętrze domu było całkowicie umeblowane, jak gdyby poprzedni mieszkańcy opuścili go w pośpiechu, zabierając ze sobą jedynie to, co dało się spakować do waliz czy pudeł. Meble, oprawione w ramy oleodruki na ścianach, zastawa stołowa, pościel, tylko szafy były puste, bez ubrań, które Niemcy zabrali w pierwszej kolejności jako najpotrzebniejsze.

Strapko wrócił do pokoju, w którym stało łóżko, zgasił lampę, walnął się na niezaścielony materac w ubraniu i natychmiast zasnął.

Przez następne miesiące Bernard Strapko codziennie po pracy chodził na pocztę i zadawał tam to samo pytanie: czy przyszedł do niego jakiś list. Rytm życia wyznaczała mu praca przy łodziach, na robotach stolarskich w straźnicy WOP-u, na posterunku milicji i w innych instytucjach, gdziekolwiek poproszono go o pomoc. Poznał kilku Niemców, szkodników, którzy musieli zostać w Warpnie, ale za każdym razem, kiedy ich widział, albo choćby słyszał, jak ze sobą rozmawiają, przed oczami stawała mu jedna i ta sama twarz okryta cieniem daszku czapki z trupią główką na otoku. Ta twarz, to obojętne spojrzenie śniły mu się niemal co noc i wtedy budził się zlany potem, a później długo nie mógł zasnąć. Nie śniło mu się forsowanie Odry,

kiedy kolega z plutonu leżący obok niego i prujący do szkopów przepływających się przez wodę oberwał w głowę i jego mózg ochlapał mu hełm i twarz. Nie śniły mu się walki uliczne na przedmieściach Berlina, kiedy Romek, młody chłopak, który przypominał mu Władka, umierał na jego oczach przygnieciony obsuniętą ścianą kamienicy, spod której wystawała mu tylko głowa, a on pod ostrzałem towarzyszył mu do ostatniej chwili, tak bardzo pragnąc, żeby nadeszła jak najszybciej. Nie to i nie inne straszne rzeczy, które przeżył na szlaku do Berlina, tylko ten przeklęty gestapowiec. Zawsze ten sam sen. To samo spojrzenie. Jeszcze gorsze niż to, którym patrzyła na niego Aniela leżąca na zachlapanej krwią podłodze.

I tak mijał czas, śnieg zniknął, drzewa zazieleniły się, trzciny znów zaczęły szumieć, potem skwar objął w posiadanie wodę i ląd, a kiedy minął, przyszyły wichry i ulewy, a po nich mróz, który ścinał wody lodem, i śnieg zakrywający strome dachy i wąskie uliczki białą koldrą. A potem znów nadeszła wiosna.

Pewnego dnia Strapko jak zwykle poszedł na pocztę. Kiedy zadał przy kontuarze zwyczajowe pytanie, tym razem nie dostał odpowiedzi. Pani Stanisława sięgnęła tylko bez słowa do przegródki i podała mu list.

- Od kogo? - zdołał wyszeptać.

- Czerwony Krzyż - odparła, a on poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

Bał się otworzyć. Bał się, że to, co przeczyta, złamie go do cna, pozbawi ostatnich skrawków nadziei, która trzymała go do tej pory przy życiu. Trzęsącymi się dłońmi rozrywał kopertę, wyjmował z niej list i rozkładał cienki papier. Krew tętniła w uszach, kiedy próbował skupić wzrok na maszynowym piśmie. Od razu zauważył najważniejsze słowo. Odnaleziony. Usiadł na podłodze pod ścianą i wpatrując się w treść listu, upewniał się, że nie śni. Litery rozmazywały mu się przed pełnymi łez oczami, przyciskał pięść do ust, żeby nie wyrwał się z nich szloch, a papier drżał mu w dłoni.

Jeszcze tego samego dnia późnym wieczorem Bernard Strapko poszedł do knajpy przy Żeromskiego. Ludzi już nie było, Moryc krzątał się jeszcze za kontuarem, chłopak do pomocy szykował się do

mycia podłogi. Kiedy Żyd zobaczył go w drzwiach, odstawił szklanę, którą pucował ścierką, i pomachał mu.

- Panie Benek, pan taki szczęśliwy dzisiaj... - zawołał. - A to przecież nie dzień wypłaty.

Strapko zacisnął usta i poczuł, jak z jego oczu spływają łzy.

- Co się... - Apfelbaum chwycił skraj blatu i zacisnął na nim palce.

- Nie mów pan, że...

- Napisał z Czerwonego Krzyża. Władziu się odnalazł.

Oczy Moryca rozszerzyły się, usta otworzyły jak do krzyku. Stał tak przez chwilę, potem mruknął do chłopaka:

- Idź na zaplecze, zacznij najpierw tam.

Chłopak przewrócił oczami, ale zrobił, co mu kazano, i zniknął na zasłonę, a Apfelbaum powoli wyszedł zza kontuaru, zbliżył się do Strapki i objął go.

- Bóg jest wielki, panie Benek - wyszeptał mu prosto do ucha. - Nigdy nie miałem wątpliwości, że Władziu da sobie radę.

Strapko stał przez chwilę w uścisku Apfelbauma, nie wiedząc, co zrobić, a potem też go objął i poklepał po plecach. Przed oczami stanęły mu żona i córka, leżące pod ścianą, zakrwawione i martwe. Nic nie zrobiłeś... Niespodziewanie ścisnął Moryca mocno, z całych sił, aż tamten zesztyniał, a potem puścił go, odsunął od siebie i spojrzał w twarz.

- Jadę po niego - powiedział. - Aż pod Lublin.

- Wróci pan tu? - zapytał Apfelbaum. - Wróćcie razem?

Strapko milczał. Znał odpowiedź, ale to pytanie znów wzbudziło w nim wątpliwości, które miał, zanim wreszcie podjął decyzję.

- Tak - odparł w końcu. - Tam nie mam już po co jechać. Przywiozę go tutaj.

Puścił ramiona Moryca i usiadł ciężko na krześle przy kontuarze, zwieszając głowę. Żyd stał nad nim, potem wrócił za kontuar i nalał do dwóch szklanek jakiegoś ciemnoczerwonego płynu, a potem podsunął jedną z nich Strapce.

- Nie piję. - Strapko odsunął szklanę od siebie. - Przecież wiesz.

Był tu kilkanaście razy w ciągu miesięcy i ani razu nie zamówił nic mocnego. Pił tylko lemoniadę z dzikiej róży, z której Moryc słynął

w Nowym Warpnie.

- To nalewka wiśniowa, przepis dziadka Abrama. Cymes, jak wy to mawiacie. Nie daję jej byle komu. Za zwycięstwo, panie Benek. Wypijmy za zwycięstwo.

Strapko uniósł głowę i popatrzył mu w oczy.

- Za zwycięstwo, powiadasz? - zapytał chrapliwie.

Moryc wziął szklanke i wetknął ją w bezwolną dłoń Strapki.

- Przeżyliśmy, panie Benek. Chociaż my trzej. A tamci przegrali. To chyba można na to powiedzieć zwycięstwo, nie?

Strapko wpatrywał się przez chwilę w zawartość szklanki. Moryc rozlał trochę, napelniając ją, odrobina spłynęła po ściance i poplamiła wytarty blat kontuaru. Niewielka czerwona smuga znów przypomniała Strapce ostatnie chwile w ich mieszkaniu na Lesznie.

Nic nie zrobiłeś...

Ścisnął kryształ, podniósł szklanke do ust i wychylił jednym haustem całą jej zawartość, czując, jak piekący płyn rozlewa się po gardle i ścieka do żołądka.

2018

Jeszcze tej samej soboty po południu Przeworski zadzwonił do Cehaka. Opowiedział mu o wizycie Izraelczyków i streścił przebieg rozmów z Owczarkiem i Zajdlem, wywodząc na koniec konkluzję, że to wszystko nie wygląda na przypadek.

- Tylko jak to poukładać? - zapytał Cehak.

Był właśnie ze swoim synem na placu zabaw i nie miał nic przeciwko rozmowie.

- No właśnie, to jest dobre pytanie - sarknął Przeworski. - Najbardziej zastanawia mnie wątek tego Władeczka. Zajdel twierdzi, że ojciec Strapki miał z tym Żydem, przyjmijmy na razie, że to faktycznie ten tajemniczy Apfelbaum, jakiś zatarg, a działka, która była w latach czterdziestych jego własnością, nagle stała się własnością Strapki. Tuż po tym Apfelbaum zniknął z Nowego Warpna.

- I nagle jego córka stara się o teren pod inwestycję?

- Dokładnie, choć niekoniecznie może mieć to związek; działka, na której miało stanąć spa, należy do miasta. I skoro wystawiają ją na przetarg, sytuacja prawna musi być uregulowana. I podobno gmina nie mogła sprzedać przez długi czas, a tu nagle klęska urodzaju, bo było dwóch oferentów. Ale nie ma co narzekać, bo cena będzie wyższa, tak zwykle bywa w takich wypadkach.

- Hmm... A jak potwierdzić tożsamość tego Apfelbauma?

- Owczarek, kojarzysz?

- Ten wasz miejscowy pasjonat historii?

- Ten sam. Ma wtyki w archiwum straży granicznej. - Przeworski wyjaśnił Cehakowi powód, z jakiego informacje miały być szukane akurat tam. - Poszpera, choć zastrzega, że to może nie przynieść efektów.

- Coś nam to da?

- Oby. - Aspirant westchnął. - A jak tam Vogel?

- Cisza. Barański twierdzi, że LKA stara się ustalić miejsce jego pobytu, ale wiesz, jak jest. A skoro jesteśmy już przy wątku niemieckim... Myślę trochę o tym jej byłym mężu. Gadałeś z nim, jakie wrażenia?

- Nie był jakoś specjalnie zrozpaczony, choć szczęściem też nie promieniał. Rozwiedli się piętnaście lat temu, dzieci nie mieli. Podziału majątku nie było, ale von Zussow dostała niezłą odprawę na otarcie łez.

- Z czyjej winy nastąpił rozwód? - zapytał prokurator.

- Z jego. W przeciwnym razie raczej nie dostałaby odprawy.

- No tak, oczywiście. - Cehak parsknął z przekąsem.

Dla Przeworskiego to nie było takie oczywiste. Nie znali się z prokuratorem tak dobrze, żeby tamten wiedział o jego osobistych przebojach z byłą żoną, a równocześnie nie zamierzał mu tego tłumaczyć. Przynajmniej nie teraz.

- Nakryła go z przyjaciółką w hotelu, zresztą należącym do niego. Przyznał to bez skrępowania. Podejrzewa również, że to Helene zrobiła ustawkę, ale twierdzi, że nigdy nie miał do niej żalu. I ogólnie wychodzi na to, że facet nie miał absolutnie żadnego interesu w sprzątnięciu byłej żony. Nie łączyło ich już nic, choć coś tam razem niedawno budowali.

- Odniosła spory sukces, inwestując tę, jak to nazwałeś, odprawę - zauważył Cehak.

- Tak, von Zussow tak twierdził. Sądziś, że mógł jej tego zazdrościć?

- Ludzie zabijają z o wiele błahszych powodów.

- Ale ty jesteś podejrzliwe bydło.

- Rozumiem, że to komplement?

- Bo ja wiem? - Przeworski wypuścił powietrze nosem. - Serio tak myślisz?

- To przypuszczenia, Dominik, przecież wiesz. Facet ma pewnie tyle hajsu, że mógłby kupić całe to twoje Nowe Warpno i to razem z przyległościami.

- No właśnie! Dlaczego więc sądzisz, że gotów byłby zaryzykować wszystko z powodu kilku nieruchomości wybudowanych przez jego byłą za kasę z rozwodu, którą w dodatku pomnożyła dzięki własnej pracy?

- Dobra, zostawmy na razie ten temat. - Cehak skapitulował. - Muszę wracać do młodego, rozkręcił karuzelę z jakimiś dziećmi tak mocno, że zaraz z niej powypadają albo zemdleją z przeciężenia. Na razie, do poniedziałku.

Po obiedzie Przeworski zabrał psy na spacer. Przy sklepiku na rogu Żeromskiego i Wojska Polskiego usłyszał przypadkiem, że stary Zajdel wrócił ze szpitala i podobno całkiem dobrze się czuje. Postanowił więc go odwiedzić w nadziei na uzyskanie jakichś nowych szczegółów, których nie znał jego syn. Odprowadził psy, powiedział Nacie, że zaraz wróci, i poszedł na Słoneczną. Drzwi otworzył mu były dzielnicowy.

- Coś jeszcze się urodziło? - zapytał z lekkim rozbawieniem, widząc Przeworskiego.

- Słyszałem, że tata wrócił.

- A wrócił, wrócił. - Zajdel pokiwał głową. - No tak, miałem panu dać znać, ale jakoś mi wyleciało z głowy. - Roześmiał się z lekkim zakłopotaniem. - Już nie używam jej tak często jak kiedyś. Chce pan z nim pogadać o Władeczku?

- Też - potwierdził Przeworski. - Mogę na chwilę?

- Jasne, zapraszam. - Zajdel wpuścił go do środka. - Jest w dużym pokoju, zostawię was, bo obiad robię. Przeglądźli go w tym szpitalu. Właśnie kombinuję, jak połączyć lekkostrawność ze smakiem, i słabo mi wychodzi.

Przeworski uśmiechnął się półgębkiem i wszedł do pokoju, w którym stary Zajdel drzemał w fotelu przed włączonym telewizorem. Głos był wyciszony, ekran migał kolorowymi plamami reklam.

- Dzień dobry. - Głos Przeworskiego był czymś pomiędzy szeptem i wołaniem, bo nie chciał starszego pana wystraszyć.

Zajdel drgnął, zamrugał, wbił wzrok w aspiranta i znów zamrugał, a potem przetarł oczy.

- Dzień dobry, może wpadnę później? - zapytał aspirant.

- Nie! - Zajdel poprawił się w fotelu i pomachał ręką z wyciągniętym palcem wskazującym, jakby mu groził. - W życiu, wchodź pan, wchodź.

Przeworski zrobił parę kroków i zajął fotel naprzeciwko Zajdla.

- Jak zdrowie, panie Edmundzie? - zapytał, uśmiechając się.

- Jakoś. We flakach jeszcze trochę mnie drze, ale ponoć to normalne. Muszą się na nowo ułożyć. Dziękuję za odwiedziny. Nie pozwolę panu wyjść tak prędko, o nie.

Aspirant znów się uśmiechnął, tym razem z lekkim zakłopotaniem.

- Właściwie przychodzę z interesem... - bąknął cicho.

- Nie szkodzi, ważne, że pan wpadł. - Stary Zajdel machnął ręką. - Nudno mi okropnie, sam pan rozumie, a w telewizorni gówno straszne, no nie ma co oglądać.

Aspirant odruchowo zerknął na stolik, na którym wciąż leżała powieść obyczajowa młodszego Zajdla i jego okulary, ale niczego nie zasugerował.

- Rozmawiałem już z pana synem o Strapce i o Żydzie z knajpy przy Żeromskiego... - zaczął.

- Taak, mówił mi.

- A ja chciałem podpytać jeszcze pana, pewnie pamięta pan coś więcej niż syn, no i być może nie o wszystkim pan mu powiedział.

W oczach starszego pana coś zamigotało, a może Przeworskiemu tylko się wydawało. Zajdel jednak lekko zapadł się w fotelu i założył ręce na piersi w odruchowym geście zamknięcia.

- Nie lubię Żydów - mruknął z niechęcią.

- Z jakiegoś szczególnego powodu? - zapytał niewinnie Przeworski.

- A kto ich lubi? Pan?

- Nie znam żadnego... Dobra, znam dwóch, ale widzieliśmy się raz i nie mam do nich wyrobionego żadnego stosunku.

Twarz Zajdla była jak maska bez wyrazu, a oczy ciemne jak wody zalewu przed burzą i Przeworski pomyślał, że albo zaraz usłyszy tyradę na temat światowego spisku żydostwa, albo po prostu znajdzie się na ulicy.

- Mam pewne wspomnienie związane z tym knajpiarzem - wycodził Zajdel z jakimś zastanawiającym namysłem. - Jest pan pierwszą osobą, której o tym opowiem...

- Słucham - powiedział Przeworski poważnie.

- Miałem wtedy jakieś osiem... Nie, dziewięć lat. To był czterdziesty siódmy rok. Byłem wtedy w lesie na grzybach. Pojechałem sobie rowerem...

- Sam? - przerwał mu zdziwiony aspirant.

- Sam, a co? - Zajdel łypnął na niego.

- Nie, nic... Tak tylko pytam.

- Eee, to były inne czasy, chociaż niezbyt bezpieczne. - Starszy pan machnął ręką i na krótką chwilę poweselał, ale po ułamku sekundy spowaźniał. - Dzieciaki same sobą się zajmowały, bo starzy w robocie, na polu albo na zalewie. W każdym razie trochę pobłądziłem, zrobiło się późno. Wracalem już rowerem do domu, wieczór się zbliżał. I niedaleko pałacu zobaczyłem ciężarówkę, w szoferce siedziało kilka osób. Jechała powoli, nie widzieli mnie, bo byłem za drzewami. Domyśliłem się, że jadą do domku niedaleko Karszna, tam kiedyś był taki niewielki dom, obecnie nieistniejący, stał pusty, bo nikt tam nie chciał mieszkać - za blisko granicy i w lesie. Dawna leśniczówka. Już nawet wtedy była zrujnowana. Podjechałem za nimi z ciekawości, młody, to i głupi, wiedziałem, że to muszą być przemytnicy, ale mnie korciło, żeby zobaczyć, co kombinują. No i dograłem się.

- Zobaczyli pana?

- A jak - prychnął. - Nie wiem, jak ten Żyd mnie wypatrzył, ani jak mnie zaszedł od tyłu. Ciekawość pierwszy stopień do piekła, jak to mówią. Gapiłem się na ten dom i zapomniałem o ostrożności. Kiedy nadepnął na suchą gałąź, usłyszałem go, ale był już za blisko, żebym mógł uciekać czy zrobić cokolwiek. Zresztą co ja mogłem zrobić? Skamieniałem ze strachu, kiedy podszedł do mnie z pistoletem w dłoni, i prawie narobiłem w spodnie. Pamiętam ten strach do dziś, w życiu tak się nie bałem. I o siebie, i że mi gwizdnie rower. Kiedy Żyd zobaczył, jaki zestrachany jestem, schował pistolet za siebie i uśmiechnął się. Kucnął, złapał mnie za ramię i powiedział z tym swoim śmiesznym akcentem: Co ty tu robisz, synek? Rodzice wiedzą,

że tu jesteś? Powiedziałem, że tak, wiadomo, tak było bezpieczniej powiedzieć. Rozejrzał się wtedy dookoła, a ja myślałem, że wybiera drzewo, pod którym chce mnie zakopać. Ale dalej się uśmiechał. Co widziałeś? – zapytał, a ja na to, że nic, że tylko w ziemię się gapiłem, bo grzybów szukam. Roześmiał się i stwierdził, że to bardzo dobrze i że byłoby lepiej, gdyby to spotkanie zostało między nami. Kiedy już odchodziłem, pewny, że zaraz dostanę kulkę w tył głowy, powiedział jeszcze coś.

- Co?

- Że jest z nimi zły człowiek i muszą z nim porozmawiać. Niczego więcej nie tłumaczył, a kiedy się obejrzałem chwilę później, już go nie było. Zobaczyłem go nazajutrz w knajpie, kiedy mnie matka wysłała po ojca, bo zabalował. Nalewał komuś wódki, patrzył na mnie z takim samym uśmiechem jak wtedy. A kilka dni później zniknął z Nowego Warpna i nikt go tu więcej nie widział.

- Nie powiedział pan nikomu?

- Nigdy. Pan jest pierwszy.

- Dlaczego?

- Najpierw to ze strachu. A potem, jak zniknął, to bałem się jeszcze bardziej, że jak komuś powiem, to wróci i mnie zabije. Wie pan, jak dzieciaki potrafią się nakręcić. Zresztą widziałem przecież, że trzymał się z milicjantami, wódkę im podobno stawiał, to komu miałem powiedzieć? A tych milicjantów to też kiedyś wopiści złapali na przemyście smalcu, afera była, bo ludzi do tej roboty nie było, a czasy niespokojne. Po co miałem sobie kłopotów narobić? O Żydzie z knajpy w końcu zapomniano, ja podrosłem i też zapomniałem, choć ten ból kiszek to pamiętam do dzisiaj. – Roześmiał się z lekkim zakłopotaniem i pogładził po brzuchu. – Wie pan, jak wyszła ta sprawa ze szkieletami w Podgrodziu, a później z tymi szczątkami więźniów z obozu odkrytymi koło cmentarza... – Zmarszczył brwi. – To za każdym razem myślałem, że to ten zły człowiek, o którym wspomniał. I inni, których też być może załatwił.

Przeworski milczał przez chwilę.

- Czemu pan mi nie powiedział? Przynajmniej za drugim razem, kiedy rozmawialiśmy o Reginie Remus? Mnie albo chociaż synowi.

- A po co? Przecież okazało się, że to zupełnie nie ma związku z tamtymi sprawami. A synowi? Wie pan, w każdym rodzicu jest taki jakby bohater, którego udaje przed własnym dzieckiem. Tak jak dla mnie bohaterem był mój ojciec. Tylko widzi pan, każdy chciałby być bohaterem, za to niewielu potrafi. Miałem mu powiedzieć, że prawie narobiłem ze strachu w spodnie?

- Chyba każdy boi się śmierci?

- Niby tak. Ale czasem takie skrajne przeżycia odciskają na nas piętno. Milczenie jest taką formą ucieczki. Nie da się pewnych rzeczy zapomnieć, ale da się o nich milczeć. Tak jest łatwiej. Opowiadałem synowi o tym naszym Żydzie, oczywiście, ale nie wszystko. Rozumie mnie pan?

Przeworski nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozumiał i jednocześnie nie rozumiał.

- Pan jeszcze jest młody - stwierdził Zajdel nie bez racji, ale i z lekko denerwującą aspiranta wyższością. - Zobacz pan, jak to jest, kiedy pan będzie w moim wieku. Nie każdy będzie bohaterem w obliczu śmierci. Ja nie byłem i nawet nie wiem, czy tylko dlatego, że miałem raptem dziewięć lat. Wie pan, że nawet nie pamiętam, jak wyglądał? Pamiętam, ile grzybów wtedy zebrałem, a potem zgubiłem, kiedy jak szalony pędziłem do domu. Pamiętam wyjątkowo dużego prawdziwka, takiego skurwysyna... - pokazał rękami - którego znalazłem dosłownie przy samej drodze, a nie pamiętam, jak wyglądał ten Żyd. I nie wiem, co się z nim stało, ale to panu już mówił syn. Pewnie go zabili. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

Przeworski zastanawiał się, czy powiedzieć Zajdłowi prawdę, ale uznał, że tego nie robi i wolał się nie zastanawiać, z jakiej przyczyny. Po prostu nie.

- Jak dobrze zna pan Strapkę?

- Władeczka? - Zajdel podrapał się za uchem. - Na tyle, na ile można znać kogoś, kto mieszka w tym samym maleńkim miasteczku. Ot, przystanąć, chwilę pogadać, ponarzekać. Choć przez ostatnie kilka lat praktycznie nie mieliśmy kontaktu. Zdziwniało strasznie, zdiagnozował. No ale w końcu jest starym dziadem, nie? - Roześmiał się nagle. - Dorostaliśmy tu razem, ale on jest parę lat starszy ode mnie, więc nie było wspólnych zabaw na ulicy czy czegoś w tym stylu.

Zawsze był samotny, nigdy nie miał kobiety, pił umiarkowanie, w pracy podobno był sumienny i to tyle, ile mogę tak naprawdę o nim powiedzieć.

- A stary Strapko? Pamięta go pan?

- Pamiętam. Stolarzem był w spółdzielni... - I Zajdel opowiedział aspirantowi w zasadzie wszystko to, co ten już wiedział od jego syna.

Kiedy Przeworski zyskał już pewność, że niczego więcej od starszego pana się nie dowie, wstał i wyciągnął do niego rękę.

- No nic, dziękuję za rozmowę - powiedział.

- Nie ma sprawy, ja i tak z nudów usycham, jeszcze jakiś czas muszę się oszczędzać, a potem chociaż do ogrodu wyjdę, liście popalę.

Przeworski zerknął w okno, za którym nad miasteczkiem zwieszały się bure chmury, i ruszył w kierunku drzwi.

- Życzę dużo zdrowia, panie Edmundzie. - Obejrzał się jeszcze. - No i szybkiego powrotu do formy.

- A wie pan co? - Głos Zajdla zatrzymał Przeworskiego przy drzwiach. - Pamiętam z tego dnia coś jeszcze. To nie jest jakaś ważna rzecz, ale błysnęło mi, kiedy zapytał pan o Władeczka.

- Tak?

- Kiedy po wszystkich dojeżdżałem z tym cholernym, pustym koszykiem do domu, było już prawie ciemno, a ja odrobinę ochłonałem. I już w miasteczku minąłem się z nim, choć wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim jest. Szedł drugą stroną ulicy, w przeciwnym kierunku, z jakimś tobołem na plecach. Ledwo go zauważyłem, on mnie nie. To było nasze pierwsze spotkanie.

Przeworski stał przez chwilę bez ruchu z ręką na klamce.

- Jasne - odparł w końcu, bo faktycznie nie była to jakaś istotna informacja. - Jeszcze raz zdrówka życzę.

Wyszedł, pożegnał się z byłym dzielnicowym, który wciąż tkwił w kuchni, i wrócił do domu z przekonaniem, że to, co zdarzyło się w leśniczówce, było w jakiś sposób powiązane z tym wszystkim, co działo się wokół zabójstwa Helene von Zussow. Zastanawiał się tylko, w jaki sposób.

Nowe Warpno, 1947

Pałac von Enckevortów w Dworach nosił jeszcze ślady dawnej świetności, choć widać było, że brak środków niemal na wszystko mocno go nadwerężył. Podobnie zresztą jak czerwonoarmiści, którzy ogołocili budynek praktycznie ze wszystkiego, co dało się wynieść. Mieszcząca się w pałacu czternasta komenda WOP w Warpnie Nowym miała pod sobą kilka strażnic rozlokowanych wzdłuż wybrzeża Zalewu Szczecińskiego i Jeziora Nowowarpieńskiego. Strażnica w Dworach strzegła granicy na odcinku od Rieth do Warnołęki i obejmowała części zarówno lądową, jak i wodną.

Kapitan Bolesław Drywa, dowódca strażnicy, siedział w swoim gabinecie i głowa mu pękała z dwóch powodów. Pierwszym była wódka, z którą wczorajszego wieczoru zdecydowanie przesadził, a drugim to wszystko, co wiązało się z pełnioną funkcją. Do dyspozycji miał ledwie kilkunastu ludzi, którymi musiał obsadzić służby wartowniczą, graniczną, stały posterunek przy szlabanie, nie wspominając o patrolach, sekretach, czyli podsłuchach, oraz zasadzkach, a w dodatku obowiązywało jeszcze wzmocnienie służby granicznej zarządzone przez dowództwo szczecińskie. Wczoraj w związku z brakiem łączności przyszedł ze strażnicy w Brzózkach goniec wopista. Przerwana łączność między strażnicami mogła oznaczać dywersję i próbę napaści, co mogło się potwierdzić, bo chłopak natknął się w lesie na trzech osobników z mauzerami, przez których zawrócił do lasu, i miał szczęście, że tę przygodę przeżył. W szopie obok pałacu spoczywały ciała dwóch Niemców, zabitych przez strzelca Żaka podczas patrolu na zalewie. Żak, pełniący wczoraj funkcję starszego patrolu, zauważył na polskich wodach terytorialnych dwie jednostki pływające. Wopiści pełnili służbę, korzystając z prywatnej łodzi miejscowego rybaka, który był wtedy

również motorniczym. Na sygnał do zatrzymania łódzie rozdzieliły się, obierając kierunek na niemieckie wybrzeże, a Żak podjął pościg za jedną z nich, oddawszy strzały ostrzegawcze. Kiedy to nie poskutkowało, zaczął strzelać, mierząc w silnik, ale efekt był tego taki, że obaj Niemcy zginęli na miejscu. Drywa był wściekły. Czekala ich przeprawa, najpierw z dowództwem z trzeciego oddziału, potem z „radzieckimi”, bo było pewne, że szwaby łowili ryby na potrzeby garnizonu krasnoarmiejców. Trupy zaczynały śmierdzieć, dosłownie i w przenośni.

W drzwiach stanął podoficer. Trzasnął obcasami i zasalutował, meldując:

- Obywatelu kapitanie, ktoś do was.
- Kto? - Drywa spojrział na niego z niechęcią znad biurka.
- Apfelbaum.

Kapitan zaklął w myślach. Jeszcze tego mu brakowało.

- Dawać go tu. - Odłożył kopiowy ołówek, którym sporządzał na odwrocie jakiegoś niemieckiego druku szkic meldunku dziennego do komendy, skąd potem wychodził do oddziału w Szczecinie zbiorczy meldunek opisujący wszystkie zdarzenia z podlegającego jej odcinka granicy.

Zwykle robił to oficer ze sztabu na poniemieckiej maszynie do pisania, ale ten fragment dotyczący zdarzenia z Niemcami Drywa chciał napisać sam. Dyplomatycznie. Właśnie zastanawiał się, jak ubrać to w słowa, i powoli dochodził do wniosku, że bez względu na to, jak to napisze, i tak będzie źle. To była jatka, a jatka zawsze pozostanie jatką.

Chwilę później do pokoju wszedł Moryc Apfelbaum. Mizernej postury czarniawy człowieczek, z delikatnymi wąsami, które zapewne miały mu przydawać powagi, bo chłopak nie miał nawet trzydziestu lat, a wyglądał jeszcze młodziej.

- Witam szanownego pana kapitana. - Apfelbaum uklonił się i zdjął czapkę.

Drywa spojrział na niego ciężkim wzrokiem.

- Czy wy myślicie, Apfelbaum, że ja tu bąki zbijam? - zapytał opryskliwie. - A wy mi dupę zawracacie... I tak przy okazji: macie nad

tym w ogóle jakąś kontrolę? Miesiąc temu Trzebież zatrzymała na zalewie siedemdziesięciu waszych. Siedemdziesięciu, Apfelbaum! I Rus... I Rosjan.

- Zapali pan, kapitanie?

Apfelbaum wiedział, że Drywa musi się wygadać.

- Amerykańskie? - zdziwił się oficer, wyciągając rękę i sięgając do podsuniętej mu przez Żyda paczki chesterfieldów.

- Ano, prosto z Berlina. - Moryc patrzył, jak Drywa wkłada papierosa do ust, sięga do szuflady po zapalniczkę zrobioną z łuski po jakimś naboju do rkm-u i zapala. - Ktoś się nie dogadał chyba z tym statkiem. I przy okazji... Jest w Szczecinie taki jeden, nazywa się Joel Tabach. Jest nasz, ale to szmugler. On wozi naszych przez granicę, ale jako przykrywkę, rozumie pan? On robi przemyt, bierze Żydów, nawet bez pieniędzy, ale sadza ich na towarze. Nawet na świni, pan to rozumie? Pan to sobie wyobraża!? Pobożny Żyd na świni, toż to obraza boska. Więc gdyby kiedyś wpadł wam w ręce gdzieś tutaj... Pan da mi znać, panie kapitanie. Zabiorę tych nieszczęśników, a z nim pan już robi, co pan będzie chciał. To się panu opłaci, panie kapitanie.

- Opłaci, opłaci... - burknął Drywa, odkładając zapalniczkę, metal brzęknął głucho.

- Chyba nie ma pan na co narzekać?

Kapitan spojrzał na Żyda spode łba.

- Dobra. - Wydmuchnął gęstą chmurę dymu i poczuł drapanie w gardle. - Co tam znowu?

- Będziemy mieli dziś w nocy małe spotkanie towarzyskie.

- W knajpie? - Drywa zmarszczył brwi.

- Nie, w leśniczówce.

- To co się wygłupiacie? - Zrozumiał Apfelbauma nieco opacznie, może dlatego, że go suszyło.

Luisenruh było przysiółkiem niedaleko Dworów, zabudowania dawnej leśniczówki na skraju wsi były zrujnowane i tam znajdował się punkt, do którego trafiali ziomkowie Moryca tuż przed przerzutem przez zieloną granicę.

- Ilu? - zapytał obojętnie, podsuwając sobie popielniczkę zrobioną z kolei z dna łuski po naboju do działa czołgowego.

Skoro Moryc przychodził tu osobiście, transport musiał być duży, a to przekładało się na profity. Drobnicę załatwiali zwykle w knajpie na Żeromskiego.

- Dziś naprawdę będzie spotkanie, panie kapitanie. - Apfelbaum założył ręce na piersi i patrzył na oficera nieruchomym wzrokiem. - Ważne spotkanie. Moi goście przyjadą ciężarówką. Potrzebujemy spokoju. Niczego więcej.

Drywa zdjął z dolnej wargi drobinę tytoniu, pstryknął palcami i posłał ją na podłogę.

- Dziś rzucamy siły głównie na Myślibórz Wielki - powiedział. - I jak zwykle obstawiony będzie szlaban. Uważajcie tylko na Niemców. I na Ruskich - dodał po namyśle.

- Wszystko jasne, panie kapitanie, pan mnie nie musi mówić nic więcej. - Apfelbaum uśmiechnął się szeroko. - Nie zawracam dłużej głowy panu kapitanowi i odmeldowuję się.

Drywa patrzył, jak Żyd odwraca się i wychodzi. Był bezczelny, ale miał w sobie jakiś urok chłopaka, którym kapitan dawno temu też był, a za którego przynajmniej kiedyś się uważał. Czasy były ciężkie, interesy z Apfelbaumem się opłacały. Były też o wiele bezpieczniejsze, bo szmugiel Żydów był nieformalnie sankcjonowany przez władzę, co dawało mu właśnie to poczucie bezpieczeństwa. Wiedział, że to się niedługo skończy, i korzystał z tego ile wlezie, mając świadomość, że zapewne nie on jeden.

Wstał zza biurka i jego wzrok padł na blat. Na skraju leżała ledwo napoczęta paczka chesterfieldów, której Apfelbaum zapomniał, choć kapitan zdał sobie sprawę, że to mało prawdopodobne. Mały upominek, tak to traktował. Schował paczkę do kieszeni munduru, zapiął guzik i podszedł do okna, popatrzył na taflę jeziora, a potem westchnął ciężko, wrócił za biurko, usiadł na krześle, poślinił ołówek i znów zaczął męczyć się z tym cholernym meldunkiem.

2018

- Jest pan na miejscu? - zapytał Owczarek, kiedy Przeworski odebrał telefon.

Było już pod wieczór, aspirant niedawno wrócił w domu i szykował się na spacer z Natą, Nangą i Parbatem.

- Jestem. Idziemy zaraz z psami. Coś pilnego?

- Pilnego nie, ale na pewno ciekawego. Zahaczy pan o mnie? Szybka sprawa. Mam coś dla pana - powiedział zagadkowo.

Kilka minut później aspirant był już na miejscu, Nata z psami została na ulicy. Owczarek zaprowadził Przeworskiego do swojego gabinetu i położył przed nim wydruk skanu jakiegoś dokumentu. Był niewielki, nie zajmował nawet połowy strony formatu A4. Druk uzupełniono danymi wypisanymi piórem, uwagę zwracała charakterystyczna, trójkątna pieczęć.

- To jest wystawiona przez oddział numer trzy WOP-u wiza zezwalająca na zamieszkanie w zabronionej strefie pogranicznej - powiedział Owczarek. - Jak sam pan widzi, dla Moryca Apfelbauma. Adres taki sam jak knajpy prowadzonej przez naszego Żyda. Żeromskiego pięć. Nie jest to zdjęcie twarzy, ale mamy chyba dość mocny dowód, że Moryc Apfelbaum i Żyd z knajpy to ta sama osoba, co?

- Raczej tak. Czyli nie zmienił nazwiska.

- Nie miał się już czego bać.

- Słyszałem, że w tamtych czasach tu wszyscy raczej powinni się bać. - Przeworski uśmiechnął się kąśliwie.

- Ale już innych rzeczy, choć faktycznie: strach to strach. A Żydzi wciąż mieli powody do obaw, taka prawda. - Owczarek westchnął.

- Mogę zabrać? - Przeworski wskazał oczami na papier.

- Jasne, to dla pana. Drugi mam dla siebie, do prywatnego archiwum. Jeszcze jedna zagadka wyjaśniona. - Oczy błysnęły z zadowoleniem.

Przeworski pożegnał się i wyszedł z domu Owczarka. Psy, kiedy go zobaczyły, zaczęły ciągnąć w jego stronę.

- Co tam masz? - zapytała Natalia, ściągając smycze.

- Klocek - odparł Przeworski.

- Jakiś taki płaski - stwierdziła z rozbawieniem.

- Nieważne, że płaski, ważne, że pasuje. Chodźcie. - Złożył kartkę na cztery i schował do kieszeni softshellu.

Następnego dnia, jadąc do roboty, Przeworski zahaczył o prokuraturę. Cehak był na miejscu, właśnie jadł kanapkę i popijał ją kawą z kubka z napisem „najlepszy tata na świecie”.

- Przyszły wyniki porównania próbek z szalika z tymi pobranymi od Vogla - powiedział, odkładając kanapkę na pognieciony skrawek folii aluminiowej.

Miał nieszczególną minę i Przeworski już wiedział, że przecucie go nie myliło i że miał rację.

- No i? - zapytał.

- Negatywne. - Cehak zaczął trzeć oczy, jakby był niewyspany. - Nie pasują.

- Za to mnie coś pasuje. - Przeworski przysiadł na krawędzi biurka.

- No? - Cehak spojrzał na niego ze zniechęceniem.

- Mam potwierdzenie, że Żyd z Nowego Warpna i Apfelbaum to ta sama osoba. - Wyciągnął z za pazuchy skan od Owczarka, rozłożył go i podał prokuratorowi.

Cehak zerknął na papier i odłożył na blat.

- Skoro zniknął, ale ma córkę, która urodziła się kilkanaście lat później, to znaczy, że go tam nie zabił ten Strapko, jak gadają ludzie - stwierdził. - Po prostu wyjechał. Czy raczej uciekł.

- No właśnie, tylko dlaczego tak nagle?

- Powodów mogło być kilka. Nie widział przyszłości, naraził się komuś miejscowemu albo władzom, wymyślił sobie coś jeszcze.

- Fakt, tego się pewnie nigdy nie dowiemy. - Aspirant schował papier do kieszeni. - Ale zwróć uwagę na jedną rzecz. Ciągłe przewija się nam gdzieś w tym wszystkim Strapko. Władeczek. Mówię w kontekście Apfelbauma. Mamy ojca kobiety, która chciała tu robić interesy. I syna człowieka, który był z nim podobno skonfliktowany.

- No?

- Ciekawe, czy się znali? Urodziła się w Niemczech w pięćdziesiątym siódmym, między nimi jest ćwierć wieku różnicy.

- Całe pokolenie.

- To nieistotne. - Przeworski pokręcił głową. - Tak sobie myślę... Technik mówił na miejscu, że jest sporo materiału biologicznego na szaliku. Naskórek i włosy, prawdopodobnie zarost. Siwy.

- Noo... - W głosie Cehaka brzmiało uprzejme zainteresowanie i zwątpienie jednocześnie.

- Nie masz praktycznie żadnego podejrzanego.

- To zarzut?

- Nie. Stwierdzam fakt.

- Tak się składa, że doskonale znam ten fakt. Do czegoś zmierzasz?

- Owszem.

- Rozumiem, że kogoś proponujesz? - Cehak zmarszczył jasne brwi.

Przeworski spojrzał na niego jak nauczyciel na dziecko oznajmiające, że pies zjadł mu pracę domową.

- Tak, domyślasz się przecież kogo. Mój typ to Strapko. Stary człowiek, siwy, bardzo silny.

Cehak westchnął, odrobinę zbyt teatralnie jak na gust aspiranta.

- Rozumiem, że starasz się mi pomóc, ale to wygląda trochę na akt desperacji.

- To samo mógłbym powiedzieć o twoim stosunku do Vogla.

- To już nieaktualne, nie drąż.

- Strapko mimo wieku jest silny jak tur. Wspięcie się na trzecie piętro po rusztowaniach nie jest wbrew pozorom nadludzkim wysiłkiem, tam są normalne drabiny i nikt nie mówi, że zrobił to w trzydzieści sekund, bo w końcu miał czas, nie musiał się nigdzie spieszyć. Duszenie czy zadzierzgnięcie szalika przy takiej parze

w łapach też nie jest problemem, prawda? To po pierwsze. Po drugie, bezsprzecznie istnieje jakiś związek między ofiarą a nim. Mam na myśli ich ojców. Zresztą Strapko musiał znać Apfelbauma osobiście, ich pobyt w Nowym Warpnie zazębiał się czasowo.

- Był wtedy dzieckiem.

- To coś zmienia? - zdziwił się aspirant.

Cehak skrzywił się lekko, nie odpowiadając i wbił spojrzenie w podłogę gdzieś przed stopami Przeworskiego.

- No właśnie. - Przeworski zrobił to za niego. - To jedyny trop, jaki w tej chwili mamy. Czy trudno pobrać próbki i porównać je z materiałem zebrany na miejscu zbrodni?

- Bo facet jest silny i siwy?

- I znał ojca ofiary, Mariusz. Przede wszystkim to. Nie rozumiem twojej niechęci, przecież to cię nic nie kosztuje, a może przynieść efekty. Choćby wykluczenie jednej osoby. To mało, kiedy nie masz nic?

Cehak popatrzył na aspiranta, lekko cofając głowę, jakby chciał objąć wzrokiem jeszcze więcej.

- Dobrze, pobierzemy próbki do porównania i sprawdzimy to - powiedział w końcu z lekką niechęcią. - A ty sprawdź u operatora jego telefon. Chociaż nie jestem pewien, czy ma telefon.

- Dziś każdy ma.

- On jest podobno wyjątkowy?

- Ale ma. Dzwonił raz do mnie, kiedy byłem tam dzielnicowym, że ktoś rzuca butelkami w jego dom.

- Okej, to działaj. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Pobranie wymazu od Strapki było problematyczne; należało zrobić to dyskretnie. Pomni sytuacji z Voglem śledczy nie mogli pozwolić sobie na jej powtórkę z podejrzanym, więc próbki materiału pobrano po szybkiej akcji w Nowym Warpnie. Kryminalni z Polic ustalili, że Strapko stołuje się w barze „U Magdy” przy miejskiej plaży, praktycznie codziennie o tej samej porze. Po jego wyjściu z baru zabezpieczono plastikowe sztućce, których użył, oraz butelkę po oranżadzie, a następnie przekazano wszystko do laboratorium kryminalistycznego. Wszystko stało się jasne, kiedy Przeworski z Cehakiem spotkali się w prokuraturze kilka dni później.

Prokurator powitał aspiranta z zagadkowym uśmiechem na twarzy.

- Strzał w dziesiątkę? - zapytał Przeworski.

- Taki pewny siebie jesteś? - skwitował to z rozbawieniem Cehak.

Aspirant pomachał mu wydrukiem od operatora telefonii komórkowej.

- Nie wykonywał żadnych połączeń, ale jego telefon logował się w noc morderstwa do BTS-u w pobliżu apartotelu, a wcześniej, po południu, wzdłuż trasy z Nowego Warpna do Szczecina. Na chwilę stracił zasięg, pewnie złapał niemiecką sieć w pobliżu granicy w okolicach Dobieszczyzna, ale tego już nie sprawdzałem, bo i po co. Nad ranem sygnał zniknął i już się więcej nie pojawił. Tak, jestem, kurwa, pewien.

Usta Cehaka rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Wiesz, co to jest „robin hood” w łucznictwie sportowym? - zapytał.

- W życiu nie trzymałem łuku w rękę.

Cehak nie wyglądał, jakby się tym wyznaniem zraził. Oparł się pośladkami o swoje biurko, założył ręce na piersi i popatrzył z satysfakcją na Przeworskiego.

- Kiedy łucznik trafi w cel, a kolejną strzałą trafia dokładnie w końcówkę poprzedniej, rozszczepiając ją na pół. To jest właśnie „robin hood”. Rzadki numer, ale się zdarza. Nam też się zdarzył, tak więc wisienka na twoim torcie: faktycznie porównanie profilu DNA z próbek znalezionych na szaliku z materiałem pobranym od Strapki jednoznacznie wykazało stuprocentową zgodność. Brawo panie aspirancie, zwracam honor. - Cehak zacisnął pięść i uderzył nią w drugą dłoń. - Zwijamy typa - wycedził. - Zatrzymujemy i składam wnioszek o areszt.

Władysław Strapko milczał. Odmówił jakiegokolwiek rozmowy. Kiedy podczas zatrzymania w jego domu poinformowano go o zarzutach, zeszytywniał i zgasł jeszcze bardziej. Milczał, kiedy przewożono go do aresztu, milczał podczas prób wyciągnięcia z niego jakichkolwiek szczegółów dotyczących zbrodni. Odezwał się tylko raz. Spojrzał na Cehaka nieustępliwym wzrokiem i z zaciętym wyrazem twarzy wycedził trzy słowa: nikogo nie zabiłem. W kolejnej próbie podjętej przez prokuratora uczestniczyć miał aspirant Przeworski. Razem z Cehakiem doszli do wniosku, że znajoma twarz może pomóc otworzyć się Strapce. Przeworski musiał w jakiś sposób zdobyć jego zaufanie, sprawić, żeby w twardej, spoistej skale utworzyła się choć mała szczelina.

Siedział teraz przy małym stoliku w pomieszczeniu aresztu służącym rozmowom z aresztantami. Cehak zajął krzeselko pod ścianą i usiłował być niewidoczny. Adwokat Strapce nie był do niczego potrzebny, tak oświadczył, kiedy informowano go o spotkaniu z prokuratorem. Przeworski, czekając na Strapkę, próbował przypomnieć sobie wszystko, co opowiedzieli mu o nim Zajdlowie. Jego plan był prosty: rozpocząć spotkanie niezobowiązującą pogawędką, najlepiej na jakiś wspólny temat, od której płynnie przejdzie do interesujących go szczegółów. I nagle uświadomił sobie, że być może jest taki temat.

- Podobno brał pan udział w powstaniu warszawskim? - zadał pierwsze pytanie, kiedy Strapko usiadł przed nim, a strażnik zdjął mu kajdanki.

- Skąd pan wie? - zapytał starzec, rozmasowując nadgarstki, a aspirant przyznał sobie punkt, bo Strapko coś jednak powiedział.

I to trzy słowa.

- Ludzie gadali - odparł.

- Co z tego, że brałem? Gówniarzem byłem. I tak prawie nic nie pamiętam.

- Tak tylko pytam. Wie pan, mój dziadek był w AK, walczył w pułku „Baszta”, potem siedział w stalagu, po jego wyzwoleniu trafił do Włoch, do armii Andersa.

Strapko spojrział na aspiranta z lekkim zainteresowaniem w oczach, Cehak natomiast ze zdziwieniem, ale Przeworski, mimo że to zauważył, nie zareagował.

- Dzisiejsze dzieciaki nie interesują się historią swoich przodków - stwierdził po chwili milczenia starzec.

- Ja zawsze byłem niedzisiejszy. - Przeworski postarał się, żeby jego twarz promieniała łagodnością.

- Miałem wtedy dwanaście lat. - Starzec odkaszlnął, flegma zabułgotała w gardle, ale Przeworski zniósł to w milczeniu. - Byłem łącznikiem, jednym z najmłodszych w całym powstaniu.

- Rodzice wiedzieli? - Aspirant zaczął powoli zmierzać do celu, ale chwilę później okazało się, że to na nic.

Strapko jakby stracił zainteresowanie aspirantem.

- Nie chcę o tym gadać - burknął. - Co to ma w ogóle wspólnego z... Tym? - Drgnął, rozejrzał się po ścianach jak obudzony ze snu.

Przeworski patrzył na niego w milczeniu.

- Rozumiem - rzekł w końcu łagodnie, ale mimo to wciąż drążył, wychodząc z założenia, że skoro już nawiązał z podejrzanym jakąś nić porozumienia, to nie ma wyjścia bez względu na to, jak cienka jest ta nić. - A gdzie pan mieszkał? Moi dziadkowie na Woli, przy Obozowej. Może byli sąsiadami?

- Nie byli - odburknął Strapko: widać było, że zainteresowanie mija, blask w oczach gaśnie, a głowa znów znika między ramionami i starzec ponownie się zamyka. - Mieszkałem przy ulicy Leszno.

Przeworski nie za bardzo wiedział, gdzie w Warszawie jest ta ulica, więc musiało mu wystarczyć to, co powiedział Strapko. Gorączkowo szukał kolejnej wspólnej płaszczyzny, kiedy nagle w pełni dotarło do niego to, co przed chwilą usłyszał. Zastygł z otwartymi ustami, a potem niespodziewanie wstał, dyskretnym spojrzeniem dając znak Cehakowi, by zrobił to samo.

- No nic - stwierdził. - Nadal nam pan nie pomaga. Niech pan jeszcze przemyśli sprawę, wrócimy do rozmowy za jakiś czas.

Strapko tylko pokiwał siwą głową i dalej siedział w bezruchu, jakby pogodził się z tym bez żadnej dyskusji.

Przeworski, nie patrząc na Cehaka, podszedł do drzwi, i zapukał w nie. Strażnik więzienny otworzył drzwi i aspirant wyszedł na korytarz, a zaraz za nim zrobił to prokurator.

- Można odprowadzić aresztanta - rzucił do klawisza i ruszył za Przeworskim, który zdążył się już oddalić o parę kroków.

- Co cię tak nagle użądliło? - zapytał, kiedy się z nim zrównał.

Przeworski miał zamyśloną minę.

- Kiedy byli u mnie ci Izraelczycy... - zaczął powoli. - Powiedzieli mi jedną rzecz o Apfelbaumie. Po ucieczce z getta, po aryjskiej stronie ukrywała go polska rodzina.

- No?

- Wspomnieli pod jakim adresem. Niedokładnym, bo bez numeru, ale podali ulicę.

- Nnooo? - W głosie Cehaka pojawił się entuzjazm.

- Leszno - powiedział krótko Przeworski i spojrział na prokuratora.

- Ulica Leszno w Warszawie.

- Kurwa... - Cehak zrobił wielkie oczy. - Myślisz, że to przypadek?

- Nie sądzę.

Prokurator wyraźnie się zapalił.

- Słuchaj, w IPN-ie pracuje moja koleżanka ze studiów. Może podrażmy ten temat, jeśli to faktycznie jakiś ślad? Prokuratorzy i tak mają pierwszeństwo, ale mam nadzieję, że załatwi mi to ekspresem.

- Jestem jak najbardziej za. I mam nadzieję, że to będzie ekspres, bo nie mamy dużo czasu.

- Czy ja wiem? - Cehak skrzywił się lekceważąco. - On w końcu pęknie, Dominik, tak czy siak. Wszyscy pękają.

- Na razie na to się nie zanosi.

- Ja mam czas. To on siedzi w celi, a nie ja.

- Ty może masz czas, ale on nie. Ma osiemdziesiąt sześć lat i został wyrwany ze swojego życia. Myślisz, że takie rzeczy pomagają? Znasz to powiedzenie, że nie przesadza się starych drzew? Nie wzięło się

znikąd. Zmiana nawyków, stres... Tylko patrzeć, jak znajdą go któregoś ranka w celi zimnego, bo mu wysiądzie pikawa, albo po prostu się wyłączy. On musiał mieć jakiś kontakt z tą von Zussow, a nie tylko z jej ojcem.

- Hmm, może jest coś w tym, co mówisz. Co prawda więzienny psycholog twierdzi, że zaadaptował się do warunków aresztu. Nie znaczy to oczywiście, że akceptuje sytuację, ale jest skory do współpracy, bezkonfliktowy. Dużo je, ma tylko lekki kłopot z higieną. Z racji wieku nie wchodzi w interakcje z innymi aresztantami, mam na myśli, że dają mu spokój. Jest absolutnie poza więzienną subkulturą. Wegetuje. Po prostu. Jakby czekał, aż wszystko się skończy. Jakby czekał na śmierć...

- Bo czeka, nie rozumiesz? Więc nie masz wcale czasu, jak twierdzisz. No, chyba że ty czekasz, aż w ten sposób sprawa zamknie się sama. A miałem cię za bezproblemowego faceta.

- To nie było miłe.

Przeworski się zreflektował.

- Przepraszam, przesadziłem. Wiem, że to nie twój styl pracy, ale wiem też, że masz na głowie dziesiątki innych postępowań. Masz sprawcę, choć nie znasz motywu. Ale ja chcę go poznać. I ty też przecież musisz.

- Czemu ci na tym aż tak zależy? Ty już swoje zrobiłeś. Dałeś mi sprawcę.

- Bo... - Przeworski się zawahał. - Lubię wiedzieć. Lubię sięgać dna, chociaż w innym sensie, rozumiesz? A wiesz dlaczego? Bo często jest drugie dno, i do niego lubię się dogrzebywać.

- To sublimacja czegoś? - zapytał Cehak niewinnie.

- Nie, po prostu taki ciekawski już jestem. To zwykła, ludzka chęć dowiedzenia się wszystkiego, naprawdę wszystkiego.

Prokurator podrapał się w głowę i westchnął lekko.

- Dobra, coś jeszcze mi przyszło do głowy. Musimy spróbować jeszcze jednej rzeczy: ustalić, która działka należy do Strapki. Załatwię to w geodezji i przejrysz w sądzie księgę wieczystą, co?

- W sądzie? Nie możesz sprawdzić online?

- Nie. - Cehak zdecydowanie pokręcił głową. - Chciałbym zobaczyć papiery. Chodzi o ten czterdziesty siódmy. Powinna być jeszcze księga materialna, skoro założoną ją tak dawno temu.

- Czego konkretnie chcesz się dowiedzieć?

- Opowiadałeś mi o rozmowie z tym dziadkiem, który znał jeszcze ojca Strapki. Kwestia tej ziemi, którą podobno dostał, a nikt nie wie, jak było naprawdę. To były straszne czasy, ale prawo obowiązywało i nie wierzę, że to załatwiono jakimś tam papierkiem.

- Ja też nie.

- No właśnie. Zobaczmy więc, w jaki sposób tak naprawdę ta działka przeszła w ręce starego Strapki, bo może wcale nie przeszła. - Prokurator popatrzył na aspiranta z porozumiewawczym uśmiechem. - W końcu ten facet sam przyznał, że to jakieś plotki.

Numer geodezyjny działki Przeworski dostał od Cehaka jeszcze tego samego dnia po południu. Prokurator zadzwonił do niego i krótko zreferował zakres sprawy.

- Pojedziesz do sądu wieczystoksięgowego w Policach, na Korczaka. Mam już zgodę referendarza na wgląd w księgi, wysłałem im też pismo, że zlecam tę czynność policji. Zerkniesz, zrobisz fotki i w zależności od wyników ustalimy, co dalej, okej? A ja załatwiam ten IPN. Cześć.

Przeworski podskoczył do Polic następnego dnia, jadąc z Nowego Warpna do roboty. Księga wieczysta działki będącej własnością Strapki już na niego czekała, a pani w sekretariacie sądu wieczystoksięgowego była bardzo uprzejma.

- Czy mógłbym prosić o pomoc? - zapytał Przeworski, kiedy usiadł już przy stoliku w niewielkim pomieszczeniu obok sekretariatu, a urzędniczka położyła przed nim skoroszyt z wypłowiałą okładką.

- W czym konkretnie? - zapytała.

- Nie mam dużego doświadczenia z księgami wieczystymi, wie pani, to nie moja bajka... - Przeworski czuł się lekko skrępowany.

- A czego konkretnie pan szuka?

- Zdaje się, że w czterdziestym siódmym roku zmienił się status działki, nie mamy praktycznie żadnych informacji, w jaki sposób to się stało i czy w ogóle. To musimy dopiero ustalić i mam nadzieję, że te

dokumenty nam w tym pomogą. - Aspirant położył dłoń na podniszczonej okładce teczki i otworzył ją.

- Proszę bardzo. - Urzędniczka uśmiechnęła się lekko, stanęła z boku Przeworskiego i chwyciła róg pierwszego dokumentu wpiętego między okładki. - Może po prostu zacznijemy od początku.

- Hm, tak chyba byłoby najlepiej - bąknął aspirant.

- Prawda? A więc: akt nadania działki, nie gospodarstwa, tylko działki dla Moryca Apfelbauma, urodzonego szesnastego kwietnia dwudziestego roku w Tarnopolu.

- Tak, to by się zgadzało... - mruknął Przeworski.

- Następne jest wydane przez Powiatową Radę Narodową orzeczenie o wykonaniu nadania i... - Kobieta zmarszczyła brwi i poprawiła okulary. - O, tylko orzeczenie obejmuje kogoś innego. Bernarda Strapkę, urodzonego trzynastego lipca tysiąc dziewięćset szóstego roku w Warszawie...

- Jak to możliwe? - Przeworski zmarszczył brwi.

Kobieta wyprostowała się i spojrzała na chwilę w okno.

- Sytuacja jest nietypowa, może raz czy dwa widziałam w starych księgach wieczystych dokument aktu nadania. Wie pan, w zasadzie istotniejsze jest orzeczenie o jego wykonaniu, które przypieczętowywało sprawę. Ale cóż, był dokument, to pewnie ktoś go wpiął do księgi, i tyle.

- Ale właścicielem działki został Bernard Strapko? - upewnił się aspirant.

- Tak, to potwierdzają zapisy orzeczenia.

- Czyli coś się zmieniło w trakcie tego całego procesu nadawania, czy jak to zwał?

- Z tego, co pamiętam, w świetle przepisów dekretu o ustroju rolnym i osadnictwie na Ziemiach Odzyskanych i byłego Wolnego Miasta Gdańska, bo tak to się nazywało, istniała możliwość zrzeczenia się nadanego gospodarstwa czy działki, zanim wydane zostało orzeczenie. Być może nastąpiła tu taka sytuacja.

- Można było ją jakoś przekazać komuś innemu?

- Nie, wracała do zasobów państwa i nadawano ją komuś innemu.

- Dziwne... - Przeworski spojrział z namysłem na urzędniczkę. - Taki szacher-macher.

- Czy ja wiem? - Kobieta uśmiechnęła się smutno. - W tamtych czasach wszystko było możliwe. Mój dziadek też był osadnikiem, dlatego trochę o tym wiem. - Poglądziła poźółką stronę księgi.

- Pani pozwoli, że zrobię prokuratorowi fotki tych dwóch stron.

- Proszę uprzejmie.

Aspirant cyknął telefonem dwa zdjęcia i odłożył go na biurko.

- Rozumiem, że stan faktyczny od tamtej pory się nie zmienił? - zapytał, przerzucając kilka pozostałych dokumentów

- Tu niczego więcej istotnego pan nie znajdzie, może jeszcze adnotację o nowym właścicielu, który został nim w drodze dziedziczenia, mówię o synu, Władysławie. Ale jest jeszcze jedna wzmianka, o której powinien pan wiedzieć.

- Tak?

- Kiedy sprawdzałam w naszym systemie obsługi ksiąg wieczystych status tej księgi, żeby ją znaleźć w archiwum, zauważyłam, że ostatnio została zgłoszona taka wzmianka, choć nie ma jej tu jeszcze.

- Wskazała dokument. - Wie pan, wszystko trochę trwa.

- Kiedy? - Przeworski poczuł, że lekko przyspiesza mu puls.

- Około miesiąca temu.

- Czego dotyczy?

- Kancelaria notarialna zgłosiła darowiznę tej działki przez obecnego właściciela, czyli Władysława Strapkę.

Przeworski zrobił wielkie oczy.

- Poważnie? Kto jest obdarowanym?

- Obywatelka niemiecka, Helene von Zussow...

Nowe Warpno, wrzesień 1947

Władziu Strapko podjął decyzję i swoje postanowienie chciał wcielić w życie od razu, nie czekając na lepszą okazję niż ta, która właśnie się pojawiła.

- Idę wieczorem na spotkanie - powiedział ojciec przy obiedzie, dodając po chwili niepewnie: - Może będę miał nową robotę.

Władek pokiwał głową. Przyjechali wczoraj wieczorem, dziś rano ojciec pokazał mu miasteczko i Władek był już pewny, że nie chce tu zostać za żadne skarby świata. Ponure ulice obstawione niewielkimi domkami, nocą strzały i ten bezmiar wody, który sprawiał, że czuł się jak wystawiony na atak bez możliwości ukrycia się gdziekolwiek. Chciał wracać do domu, do prawdziwego domu, choć ten już nie istniał, ale istniało miasto i ludzie, których znał, którzy ocaleli z pogromu i wracali tam, gdzie i on chciał wrócić. Czuł się zdradzony i samotny. Powiedział to ojcu przy skromnym śniadaniu.

- Tu jest nasz nowy dom - odparł ojciec, patrząc na niego znad talerza. - I bez dyskusji. Nie mamy tam do czego wracać, synu.

- Mamy - odszepnął mu, czerwieniejąc, ale ojciec nie usłyszał albo nie chciał usłyszeć.

Władek wiedział, że jeśli ojciec tak powiedział, to faktycznie nie ma o czym dyskutować. W przyływie złości i żalu podjął więc tę decyzję, a spacer po miasteczku tylko go w niej utwierdził. Niewielki budynek z małym ogródkiem z tyłu, który ojciec nazwał domem, był jak wiejska chata, podobna do tej, w której Władek spędził ostatnie dwa lata. Różnił się od tamtej tylko tym, że był otynkowany, dach zamiast blachy kryła dachówka, a prowadzącą do niego uliczkę wybrukowano. Stukot uderzających w granit podkutych kopyt wojskowych koni, które mijali podczas spaceru, przypominał mu kanonady z wojny.

Słyszał, że Warszawa się odbudowuje, a on miał tkwić tutaj. Brakowało mu kolegów, radia, którego lubił słuchać przed okupacją, kina, targów, na które chodził z matką i siostrą, zaułków i placów, podwórka, na którym mógł grać z chłopakami w piłkę. To wszystko minęło, a tutaj nie miał najmniejszych szans tego odzyskać.

Kiedy trzasnęły drzwi za ojcem, odczekał jeszcze jakiś czas, gdyby przyszło mu do głowy po coś wrócić. Musiał się spieszyć, nie miał dużo czasu. Zaczął od listu. Znalazł ołówek i na jakimś skrawku papieru skreślił do ojca kilka słów wyjaśnienia.

Tato drogi!

Przywiozłeś mnie tu chociaż niebardzo chciałem. Niepodoba mi się tutaj wogóle. Jak mam żyć w miejscu gdzie nie ma niczego, tylko woda las i w dodatku Niemcy. Nie chcę tutaj być. Wszystko jest takie obce. Wracam do Warszawy do domu mimo że go nie ma. Nie martw się o mnie, poradzę sobie tak jak radziłem przez ostatni czas. Nie chce żebyś mnie zatrzymywał ale martwił o mnie też nie, więc kiedy dotrę tam i znajdę miejsce do zamieszkania wtedy wyślę list, żebyś był spokojny.

Twój syn Władek

klucz jest przy rogu, pod płótem i zabieram latarkę

Władziu przeczytał swój list jeszcze raz i po namyśle skreślił „Władek”, dopisując obok „Władysław”. Tak brzmiało dużo lepiej. Położył świstek na stole, przygniół go talerzem, żeby przeciąg nie zmiótł go gdzieś w kąt. Myślał o wszystkim i to sprawiało, że czuł się pewniej. Wiedział, że czeka go długa droga, zwłaszcza pierwszy odcinek do Ziegenort, czyli Trzebieży, mógł sprawić mu dużą trudność, bo tam musiał dojść piechotą. Może złapie jakiś transport: furmankę albo samochód ze spółdzielni. A potem wsiądzie w pociąg i dalej już z górki.

Dojadł na chybciaka kaszę z kolacji, potem wzięły buty, które ojciec kupił mu po drodze, w Poznaniu. Były nowiuteńkie, skórzane. Szybko, ale starannie wtarł w skórę sadzę z pieca i wyszczotkował je, a potem

zawinał w papier i schował do przygotowanego jeszcze za dnia tobołka. Ubrał się, włożył stare buty i stanął przed zaśniedziałym lustrem, przeglądając się w nim. Wyglądał jak mężczyzna. Pod nosem miał już zaczątek wąsów, ciemne i gęste włosy falowały, zrobił się szerszy w ramionach i sporo urósł. Wzruszył ramionami, przecesał włosy i poszedł po tobołek. Zarzucił go sobie na plecy, na głowę wcisnął czapkę i wyszedł, potem zamknął drzwi na klucz, przeszedł do końca domu, rozejrzał się, schylił i włożył go pod parkan, a następnie ruszył przed siebie. Szedł chodnikiem wyludnioną ulicą. Było spokojnie, ale ludzie i tak podobno woleli nie wychodzić po zmroku na zewnątrz bez wyraźnej potrzeby. Szedł blisko skraju chodnika, przy ścianach domu. Kątem oka zobaczył jakiegoś chłopaka prowadzącego rower i niosącego pusty koszyk, ale nie przyglądał mu się, tylko szedł dalej. Kiedy skończyła się zwarta zabudowa, skręcił ostrożnie w chaszcze, a gdy wzrok przyzwyczał mu się do ciemności, przyspieszył. Szedł z wyciągniętą przed siebie ręką, odgarniając gałęzie. Wiedział, że gdzieś niedaleko jest posterunek MO, więc wolał ominąć go dużym łukiem. Do granicy było jeszcze daleko, więc nie obawiał się wopistów, o których opowiadał mu ojciec. Po jakichś trzydziestu minutach poczuł, że obcierają go buty. Zrobiło mu się zimno i gorąco jednocześnie: wysiłek i zdenerwowanie rozgrzewało go od środka, ale spoconą skórę ochładzało wieczorne powietrze. Poczuł kwaśny zapach własnego potu i zatrzymał się. Zdjął but i roztarł stopę, potem to samo zrobił z drugą, klnąc w myślach. Po kolejnym kwadransie zorientował się, że zablądził. Czuł zapach jeziora, więc wiedział, że znajduje się ono gdzieś niedaleko, ale nie zmieniało to faktu, że nie wiedział, gdzie sam jest. Zaczynał żałować. Przecież mógł uciec jutro, w dzień, kiedy ojciec pójdzie do roboty. Uznał jednak, że jest za późno. Nie miał wyjścia: mógł albo spróbować wrócić po własnych śladach, albo iść w stronę jeziora, czyli pod wiatr, skoro on przynosił jego zapach. „Głupio zrobiłem” – szepnął do siebie, westchnął ciężko, godząc się z porażką, i ruszył w drogę, przeklinając ciasne buty. Nie chciał wkładać tych eleganckich, bo było mu ich szkoda, i teraz musiał odcierpieć swoje. Trafił na jakąś przesiekę prowadzącą mniej więcej w kierunku, który obrał, i szedł nią zniechęcony, przekładając tobołek z ręki do ręki na

zmianę z latarką, bo zaczął mu ciążyć. Przypomnił sobie chłopaka z rowerem i pomyślał, że szkoda, że nie ma własnego, a ojciec pojechał na spotkanie swoim.

Nagle pomiędzy drzewami mignął mu jakiś jasny punkcik. Przypadł do ziemi, tobołek gruchnął na nią obok niego. Oddech mu przyspieszył, a krew uderzyła do głowy. Teraz z całą przeraźliwą jasnością zdał sobie sprawę, jaką głupotę zrobił. Obserwował światełko, ale po chwili z ulgą stwierdził, że jest nieruchome, a więc gdzieś tam musiał po prostu znajdować się jakiś dom. Panowała niczym niezmacona cisza i to go nieco uspokoiło. Pozbierał się z ziemi, podniósł tobołek i ruszył w tamtym kierunku. Szedł ostrożnie, dbając, żeby pod stopami nie trzasnęła żadna gałązka. Zanim zrobił kolejny krok, najpierw delikatnie wyczuwał teren czubkiem buta. Dotarł w końcu do budynku. Wyglądał na opuszczony, tylko w jednym z okien widać było wąski, pionowy pasek światła, które padało na trawę cienkim, ostrym klinem o rozmytych krawędziach. Władziu ominął go, kierując się w stronę narożnika budynku, a potem skulony przeszedł wzdłuż ściany. Już przy oknie zaczął się powoli prostować, wystawiając nos ponad parapet. Ciekawość zwyciężyła, zapomniał o strachu. Delikatnie przesunął głowę, żeby szczelina między dwiema ciemnymi zasłonami znalazła się na linii jego wzroku.

I wtedy przeżył szok.

Zobaczył Moryca. Nie miał wątpliwości, że to on. Serce znów zabiło mu szybciej, stał tak, trzymając się kurczowo blachy parapetu nieświadomy, że ma otwarte z zaskoczenia usta. W wąskim prześwicie materiału zobaczył kogoś jeszcze, ale widział tylko jego ramię, bo ów ktoś stał bokiem do niego. Znów lekko się przesunął i teraz zobaczył go całego. Oraz kogoś, kto przed nim klęczał.

Znał również ich obu. I tego, który stał, i tego klęczącego na podłodze. Nie miał tylko pojęcia, skąd się tu wszyscy wzięli i co robią.

Kiedy dotarło do niego, że ojciec mierzy z pistoletu w głowę człowieka, zamknął mocno oczy, a potem odepchnął się od parapetu, instynktownie złapał tobołek i rzucił się przed siebie, czekając na odgłos wystrzału. Cisza była nieznośna, gorsza niż huk, który wciąż nie następował. Słyszał tylko własny oddech i szelest liści pod nogami. Kiedy kopnął niewidoczną gałąź albo korzeń, serce ścisnęło

mu się ze strachu. Gdzieś w głowie błysnęła mroczna myśl, której nie potrafił odczytać, ale i tak nie miał na to czasu. Strach sprawiał, że gnał przed siebie jak opętany, nie wiedząc, dokąd biegnie, i w ogóle się nad tym nie zastanawiając. Chciał tylko uciec jak najdalej. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, kiedy zorientował się, że las się przerzedził, potem zupełnie zniknął i zamiast koron drzew widzi ciemne niebo i nieliczne gwiazdy. Zwolnił, bo brakowało mu tchu, i nagle pod stopami wyczuł coś twardego. Zatrzymał się więc, zapalił latarkę, która już prawie nie świeciła i w bladej, słabej poświacie ledwo dychającej żarówki ujrzał wyslizgany bruk. Jakimś cudem znalazł się znów na drodze prowadzącej do miasteczka.

Ruszył w jego stronę, połykając łzy. Teraz mógł się domyślić, dlaczego ojciec tak bardzo nie chce wracać do Warszawy i dlaczego zdecydował się na zamieszkanie na samiuteńkim końcu świata. Zdecydował, że domysł pozostanie domysłem, że nie chce znać prawdy, bo boi się, że będzie straszna. Jego ojciec, dobry i prawy człowiek, który nigdy nie skrzywdziłby nawet muchy, zabił innego człowieka. I widział to Moryc, patrzył na to, więc godził się z tym, co miał zrobić ojciec. Moryc, jego przyjaciel, serdeczny druh... Czemu ojciec nie powiedział mu, że Moryc tu jest? Dlaczego trafili tu razem? Być może uciekali przed czymś lub przed kimś i ten ktoś ich odnalazł? Więc co zrobił jego ojciec i co zrobił Moryc, że musieli posunąć się do ostateczności?

Wpadł do domu, ledwo odnalazłszy klucz schowany pod płotem. Drżącymi dłońmi zapalił knot lampy, nałożył klosz, omal go nie tłukąc, i rozpakował tobołek, porwał list na drobne strzępki, wrzucił je na kupkę do pieca kaflowego i spalił, a potem położył się na łóżku z bijącym sercem i czekał na powrót ojca. Kiedy ten wrócił, udał, że śpi. Słuchał, jak ojciec krząta się po domu, potem odważył się lekko uchylić powieki i patrzył, jak się rozbiera, składa starannie ubranie i odwiesza je na oparcie krzesła, a później podchodzi do stołu, siada przy nim, opierając łokcie o blat, i chowa głowę w dłoniach. Zobaczył, że trzęsą mu się ramiona i plecy i dobiegło go ciche łkanie. Pierwszy raz widział ojca płaczącego, nie płakał nawet wtedy, kiedy spotkali się pierwszy raz po wojnie, po prawie trzech latach rozłąki. Nagle ojciec

westchnął, otarł twarz wierzchem dłoni, sięgnął do lampy i skręcił płomień.

W domu zapadła ciemność.

2018

Cehak z Przeworskim zaparkowali pod budynkiem IPN-u na Janickiego, jednym z kilkunastu obiektów stanowiących kiedyś kompleks wojskowy pułku artylerii. Trzypiętrowe prostopadłościany o ceglanych ścianach pozbawionych jakichkolwiek detali i kryte stromymi, namiotowymi dachami stały się siedzibami sądu, komisariatu policji, wydziałów uczelni wyższych, a nawet budynkami mieszkalnymi.

- To jest właśnie Magda Semczyszyn, o której ci opowiadałem. - Cehak przedstawił Przeworskiemu ładną kobietę około czterdziestki, czekającą na nich na korytarzu. - Ma coś dla nas.

Powiedział to z wyraźnym zadowoleniem, a jej uśmiech tylko potwierdzał, że prokurator się nie myli. Nie wyglądała jak stereotypowa przedstawicielka świata nauki: zagrzebana w zakurzonych papierach szara mysz z gładko zaczesanymi włosami i w okularach o wielkich oprawkach, ubrana w wełnianą spódnicę i rozciągnięty sweter albo bluzkę po babci, jak wyobrażał to sobie Przeworski, zanim ją zobaczył. Atrakcyjna, uśmiechnięta i otwarta, takie wrażenie zrobiła na nim przy pierwszym kontakcie.

- Chodźcie - powiedziała i zaprowadziła ich do jakiegoś pomieszczenia w głębi budynku.

Po drodze minęli kilkoro przeszklonych drzwi, otwieranych identyfikatorem, wszystko przypominało tajny, strzeżony ośrodek naukowy, a nie siedzibę placówki zajmującej się badaniem historii. Na ścianach wisiały plansze przypominające najczarniejsze momenty najnowszych dziejów Polski, choć jak dla Przeworskiego robiły to zbyt nachalnie, jakby oglądające je osoby nie potrafiły wyciągnąć z nich własnych wniosków.

Dokumenty odnalezione przez historyczkę już na nich czekały. Białe światło jarzeniówek padało na cienkie skoroszyty leżące na stole.

- Nawet nie zajęło mi to dużo czasu - stwierdziła Semczyszyn, siadając za stołem i przysuwając sobie teczek. - Jest sporo materiału, choć zostało również kilka pytań bez odpowiedzi, a nie wiem dokładnie, o co wam chodzi.

- To powiedz nam w skrócie to, co najważniejsze - poprosił Cehak, kładąc łokcie na blacie, jakby szykował się na dłuższy wykład.

Przeworski oparł się wygodniej i skrzyżował ramiona, przyglądając się historyczce z ciekawością.

- Faktycznie, sprawa jest bardzo przykra, wręcz tragiczna - zaczęła, kładąc dłonie na teczkach i delikatnie przesuwając nimi po okładkach. - Najprawdopodobniej w wyniku denuncjacji w mieszkaniu Bernarda Strapki przy ulicy Leszno pięć przez jedenaście w Warszawie zjawilo się gestapo. Poszukiwali ukrywającej się tam osoby lub osób narodowości żydowskiej. Podczas nalotu zastrzelone zostały żona i córka Bernarda Strapki, Aniela i Jadwiga, oraz dozorca domu, Jan Czajka. Syna Strapków, Władysława, nie było w tym czasie w domu. Sam Strapko został lekko ranny, pocisk otarł się o jego głowę i pozbawił go przytomności, dzięki czemu przeżył.

- Skąd te informacje? - zapytał Cehak.

- Świadkiem zbrodni była sąsiadka Strapków, która przebywała tamtego dnia w swoim mieszkaniu. Słyszała wszystko przez ścianę, widziała trochę przez judasza. Strapkowie wypytywani byli przez gestapowca o Żyda lub Żydów, których mieli podobno u siebie ukrywać, o czym, jak twierdziła, nie miała pojęcia. Po odjeździe gestapo widziała tę skrytkę, bo weszła w końcu do mieszkania Strapków, a Strapko, który był tylko lekko ranny, sprawdzał, czy jest pusta.

- I co?

- Twierdziła, że nikogo tam nie było. A Strapko był zrozpaczony.

- Nic dziwnego. Kiedy to się stało?

- Czas zdarzenia kobieta podała bardzo precyzyjnie, bo to było dosłownie w momencie wybuchu powstania warszawskiego. Nigdy

nie zidentyfikowano funkcjonariusza gestapo, ustalono tylko formację i stopień, bo świadek zapamiętała oznaczenia z munduru. W śledztwie nie udało się ustalić danych oficera Sicherheitdienst w stopniu Obersturmführera, który popełnił tę zbrodnię. Przed ewakuacją z Warszawy hitlerowcy niszczyli wszystkie dokumenty umożliwiające identyfikację funkcjonariuszy aparatu terroru i świadczące o ich zbrodniach. Akta szefa policji dystryktu warszawskiego przewieziono do Poznania, do tamtejszej siedziby Namiestnika Rzeszy, gdzie uległy zalaniu wodą i zniszczeniu. Trochę akt przejęli też po wojnie Rosjanie. Tak więc sprawa jest utrudniona.

- No i minęło tyle lat... - Przeworski westchnął.

- To też, ale upływ czasu nie oznacza, że można o tym zapomnieć. Jeszcze kilka lat temu w szczecińskim IPN-ie prowadzono śledztwo w sprawie masowych egzekucji przeprowadzanych w tak zwanym pierścieniu warszawskim.

- A jak pani dotarła do Strapki? - Aspirant wskazał oczami teczki.

- Sprawą, zresztą jedną z tysięcy, zajmowała się Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, obecnie nieistniejąca, której zasoby archiwalne przejął IPN. Kwestia ratowania Żydów przez Polaków od dziesięcioleci budzi emocje, a dziś, mam wrażenie, dysputa zamiast argumentami naukowymi posługuje się wyłącznie medialnymi. Ale to temat rzeka. W latach sześćdziesiątych, zwłaszcza w trakcie antysemitkiej nagonki po wydarzeniach marca sześćdziesiątego ósmego, komuniści uznali, że pojawiła się potrzeba pokazania ludzkiej twarzy systemu. A po prawdzie to „mocarowcy” ze ZBOWiD-u chcieli dorzucić do żydowskich przewin także niewdzięczność za pomoc udzielaną im przez Polaków ponoć na szeroką skalę. Przeprowadzono akcję informowania o przypadkach pomocy Żydom w czasie okupacji, przedstawiano Polaków uhonorowanych tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Potem wszystko ucichło, aż do osiemdziesiątego czwartego, kiedy komisja wdrożyła projekt, który miał ujawnić nieznanne do tej pory przypadki pomocy obywatelom żydowskim podczas wojny. Zamieszczono ogłoszenia w prasie codziennej, ogólnopolskiej i regionalnej, i odzew był ogromny. Od nazwiska prokuratora prowadzącego postępowanie dziś określa się to mianem śledztwa

Bielawskiego. Oczywiście wiele ze zgłoszeń nie zawierało na tyle szczegółowych informacji, by dało się je potwierdzić, były przypadki konfabulacji, bo niektórzy liczyli na profity i polepszenie warunków bytowych, a końcowym celem projektu było przygotowanie wniosków do Yad Vashem o uhonorowanie pomagających tytułem „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”. Za każdym razem wszczynano postępowanie. Zgłosiło się ponad tysiąc osób, jedną z nich była Anna Gośniak, właśnie ta sąsiadka Bernarda Strapki. Opowiedziała wysłannikom komisji o tragedii z pierwszego sierpnia czterdziestego czwartego, w protokole jest też uzupełnienie, że w czterdziestym siódmym byli u niej w tej sprawie jacyś ludzie, wypytywali o Strapków i dawnych mieszkańców kamienicy na Lesznie, w której ukrywali się Żydzi. W osiemdziesiątym czwartym Bernard już co prawda nie żył, ale jego syn, Władysław, z zawodu rybak w spółdzielni połowowej, został odnaleziony w Nowym Warpnie. Początkowo potwierdził zeznania Gośniak, jednak odmówił przesłuchania przez przedstawicieli komisji i podania dalszych szczegółów, co odnotowano w aktach postępowania. Twierdził, że niczego nie pamięta, miał wtedy tylko dwanaście lat. Kategorycznie zakazał również występowania z wnioskiem do instytutu Yad Vashem o uhonorowanie go tytułem Sprawiedliwego. Śledztwo zamknięto. I tyle. – Semczyszyn rozłożyła ramiona i uśmiechnęła się, trochę smutno. – Nie ma w aktach nawet nazwisk ani liczby ukrywanych Żydów. Nie wiemy, kto ich wydał ani kto zabił. Znamy tylko ofiary.

Prokurator pokiwał smętnie głową.

– Najprawdopodobniej była to jedna osoba, mężczyzna.

– Skąd to wiesz? – Semczyszyn zmarszczyła brwi.

Cehak spojrział na Przeworskiego, więc ten zabrał głos.

– Odwiedził mnie niedawno historyk z Izraela. Twierdził, że jest w posiadaniu informacji świadczących o tym, że pewien Żyd, członek ruchu oporu i powstaniec z getta, mieszkał przez pewien czas w Nowym Warpnie, tuż po wojnie. Nazywał się Moryc Apfelbaum. Można powiedzieć, że to się w zasadzie potwierdziło. Ten historyk wiedział tylko tyle, że po upadku powstania w getcie był ukrywany przez polską rodzinę na Lesznie. Jak trafił na ten koniec świata, nie

wiadomo, choć facet twierdził, że najprawdopodobniej został tam wysłany przez Bricheę.

- O! - Semczyszyn wyraźnie się podekscytowała, a Cehak tylko się uśmiechnął.

- Mówiłem ci, że też coś mamy dla ciebie - mruknął i zerknął na Przeworskiego. - Mów dalej.

- Strapko razem z synem również tam trafili po wojnie, tak twierdzą starzy mieszkańcy - kontynuował Przeworski. - Apfelbaum zniknął w czterdziestym siódmym, plotki głosiły, że Strapko ma z tym coś wspólnego.

- To znaczy co? - Semczyszyn zmarszczyła brwi.

- Nie wiadomo. - Przeworski wzruszył ramionami. - W każdym razie koniec końców wyszło na to, że to faktycznie były plotki, bo niedawno pojawiła się tam również córka Apfelbauma, mieszkająca od urodzenia w Berlinie. Została jednak zamordowana w Szczecinie i wszystko wskazuje na to, że przez Strapkę.

- Nie do wiary! - Semczyszyn, wyraźnie zszokowana, nieświadomie poprawiła włosy. - Przecież on musi mieć z...

- Osiemdziesiąt sześć lat - odpowiedział Cehak. - Ale nie wygląda. Wyjątkowy egzemplarz, uwierz mi.

- Dlaczego to zrobił?

- Nie wiadomo. - Prokurator otwartą dłonią zgarnął z blatu niewidzialny pyłek. - Właśnie dlatego grzebiemy tak głęboko. To muszą być jakieś zaszłości, ponoć był jakiś konflikt między starym Strapką a Apfelbaumem.

- Konflikt? Jakim cudem, skoro go ukrywali? Co mówi Strapko? To znaczy syn?

- Właśnie nic nie mówi i to jest nasz główny problem. - Prokuratora to najwyraźniej lekko bawiło. - Konsekwentnie milczy. Uparciuszek.

Semczyszyn siedziała przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w leżące przed nią teczki.

- Widzicie, od lat zajmuję się badaniem relacji polsko-żydowskich w dwudziestym wieku, ale wciąż nie potrafię zrozumieć, o co naprawdę chodzi. Antysemityzm wysysa się z mlekiem matki? Czy jest

nabyty? Wojna i Zagłada zmieniła wszystko, to oczywiste i wielokrotnie zastanawiałam się, na ile możliwe było nowe otwarcie w tych relacjach, zwłaszcza na ziemiach zachodnich. Bo tu sytuacja jest inna. Tu wszyscy są napływowci, ewentualne konflikty między ludźmi mają krótkie rodowody. Nie ma wspólnej historii, nie ma wieków współistnienia w jednej przestrzeni jak w innych regionach Polski, tej przedwojennej. Tu antysemityzm ma inny wymiar, jest tak jakby przeniesiony, a nie organiczny. Jestem w stanie jakoś pojąć, że jeśli dzieciak z biednej rodziny w latach dwudziestych zeszłego wieku albo jeszcze wcześniej widział bogatego kupca żydowskiego, a rodzice mówili mu, że to, że są biedni, jest między innymi winą tego kupca, to jako dorosły będzie wmawiał to samo swoim dzieciom. I nieważne, że chodziło o życiową niezaradność albo po prostu tak wyszło. Ale to tylko wierzchołek góry lodowej, a dziś przecież świat wygląda zupełnie inaczej niż sto lat temu. Historia jest sumą pojedynczych zdarzeń. Jedne mają wpływ na drugie, te na kolejne, ale mimo wszystko to są klocki. Konkretnie.

Przeworski pokiwał w zamyśleniu głową i przypomniał sobie starego Zajdla. Jak było w jego wypadku? Czy jedno zdarzenie z dzieciństwa zdeterminowało stosunek do całego narodu, czy po prostu przesiąkał niechęcią do Żydów w młodości i jako dorosły? Koniec końców aspirant uznał, że najprawdopodobniej to pierwsze. Kiedy dziecko zostanie ugryzione przez psa, boi się psów do końca życia. Niektóre przełamią strach, wezmą jakiegoś do domu i będą z nim żyć latami, potem, kiedy zdechnie, wezmą następnego. Tylko żeby wziąć tego pierwszego, trzeba oswoić i ten strach, i tego psa. Trzeba go poznać i zobaczyć, że jest w gruncie rzeczy przemiłym towarzyszem i dopiero wtedy dowiadujesz się, że są psy, które gryzą, i te, które kochają. Tylko że i agresji, i miłości psy uczą się od ludzi. A ludzi trudno nauczyć czegokolwiek, zwłaszcza czegoś o nich samych.

- Wiecie, co jest najgorsze? - Semczyszyn spojrzała na nich smutno. - Najgorsze jest to, że najbardziej nienawidzą Żydów i nie tylko Żydów, ale po prostu innych ludzi, ci, którzy nigdy nosa nie wystawili poza swój grajdoł, i nieważne, czy to jest duże miasto, czy mała wioska. Nie wiedzą nic o świecie, o historii, bo nie mają

potrzeby tego wiedzieć, nie mają nawet okruchów elementarnej ciekawości, a wydają takie sądy, jakby byli najmądrzejsi na świecie. Opierają je wyłącznie na tym, co im powie pan z telewizora albo ktoś napisze w gazecie. I tak naprawdę opcja polityczna nie ma chyba znaczenia, chodzi o zasadę. I to mnie boli. Lenistwo i wygodność. To takie proste, nie? – Popatrzyła po ich twarzach.

Pożegnali się i wyszli zaopatrzeni w kopie dokumentów dotyczących tragedii rodziny Strapków.

– Czemu nie chciał o tym rozmawiać z komisją? – zapytał Cehak, uruchamiając silnik.

– Chciał coś ukryć? – Pytanie Przeworskiego było retoryczne.

– Może, nie mam pojęcia. – Prokurator westchnął i włączył się do ruchu. – Ale to faktycznie dziwne.

Opony głucho zagrzechotały na bruku, przez całą drogę już praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Cehak odwiózł Przeworskiego do komendy i pojechał do siebie.

Wieczorem Natalia musiała pojechać do Podgrodzia, bo w domu opieki, w którym pełniła funkcję menedżera, zmarł pensjonariusz. Przeworski wziął więc na spacer Nangę i Parbata i poszedł z nimi nad jezioro. Stojąc na końcowym odcinku pomostu promenady, patrzył, jak psy buszują w trzcinach, rozchlapując wodę i płosząc nieliczne już o tej porze roku ptactwo. Słońce powoli zachodziło, rozpoczynał się spektakl natury. Aspirant wpatrywał się w taflę jeziora mieniącą się w świetle i myślał o sprawie Helene von Zussow, a właściwie o Strapce. Dziwił go trochę jego upór. Stary człowiek miał przed sobą co najwyżej parę lat życia, bez szans na wyjście z więzienia tak czy siak. Co powodowało, że nie chciał niczego wyjaśnić? Był prostym człowiekiem, ale nie głupim. Usposobienie mruka też niczego nie tłumaczyło. Poddał się? Nie widział sensu w podzieleniu się swoją historią ze śledczymi, choć musiał zdawać sobie sprawę, że to ani nie pogorszy jego sytuacji, ani jej nie poprawi? Przeworski wciąż też się zastanawiał, co naprawdę wydarzyło się pierwszego sierpnia czterdziestego czwartego roku w mieszkaniu przy ulicy Leszno. Tragiczna historia musiała mieć drugie dno i swój dalszy ciąg już tutaj, w Nowym Warpnie. Skutkiem tych zdarzeń była śmierć Helene von Zussow, ale aspirant nie potrafił znaleźć powiązania, a Strapko

mu w tym nie pomagał. Krył kogoś? Siedemdziesiąt lat dzielące te zdarzenia przydawało wszystkiemu abstrakcji, choć jak Przeworski wiedział z doświadczenia, przeszłość potrafiła kłaść się na teraźniejszości naprawdę długim cieniem. Wystarczyło przypomnieć sobie sprawę Reginy Remus sprzed dosłownie kilku miesięcy. Myślał tak i myślał, aż uznał, że robi się chłodno i czas do domu. Zagwizdał na psy, które wybiegły zziąjane spomiędzy trzciny, i ruszył w kierunku Kilińskiego.

W sieni budynku czekała już szmata, którą Przeworski wycierał psom łapy. Teraz musiał wytrzeć je całe. Kiedy wycierał jednego, ten drugi starał się pomagać, co kończyło się zabawnym podgryzaniem, a gdy wreszcie aspirant skończył, uznając stan sierści za zadowolający, wpuścił je na górę. Budynek był pusty, nowy dzielnicowy wciąż jeszcze się nie pojawił, a nawet jeśli w końcu nastąpi ten moment, że następca aspiranta obejmie stanowisko, to Przeworski nie sądził, żeby miał mieszkać w Nowym Warpnie, tak jak on kiedyś. Pomieszczenia na pierwszym piętrze zajmowane przez Urząd Morski też świeciły pustkami. Nanga i Parbat pobiegły na górę, stukając pazurami o drewniane stopnie, wpuścił je do domu, nalał im świeżej wody do misek, a potem zaległ na kanapie z książką, przypominając sobie z rozbawieniem, co czytał Zajdel. Po jakimś czasie ogarnęło go lekkie, niewytłumaczalne uczucie niepokoju. Kiedy podniósł wzrok znad książki, zorientował się, że ktoś go obserwuje. Nanga i Parbat siedziały przed nim i błagalnie wpatrywały się w jego twarz, zerkając co chwila na kanapę.

- O nie. - Roześmiał się. - Nie ma mowy!

Zasłonił twarz książką, ale psy nie dawały za wygraną. Cichy pisk wybił go z lektury i w końcu skapitulował. Wziął koc, rozłożył na kanapie i klapnął w nią, dając psom jasny sygnał. Wskoczyły natychmiast, Nanga polizała go po dłoni, a potem oba ułożyły się na siedzisku, kotłując przy okazji koc. Przeworski patrzył, jak nasiąka wodą, a materiał ciemnieje wokół przytulonych do siebie zwierzaków. Położył książkę na kolanach i zapatrzył się w okno przed sobą.

I tak znalazła go Natalia.

- Starzejesz się, chłopie. - Roześmiała się, potrząsając go za ramię.

- Myślisz? - Przetarł oczy, za oknem było już ciemno.

Zrobili sobie kolację i jedząc, oglądali jakiś film na Netflixie, ale jak dla Przeworskiego, nie było szału. Częściej niż w monitor laptopa zerkał na Natę. Bawiło go to, z jaką zachłannością wpatruje się w ekran oczami dziecka, które pierwszy raz poszło do cyrku. Ponieważ film go nudził, myślami i tak był w Warszawie czterdziestego czwartego roku i znowu zastanawiał się, czy tamte zdarzenia miały wpływ na to, co wydarzyło się w małym apartotelu ponad siedemdziesiąt lat później. Miał wrażenie, że rok czterdziesty siódmy, w którym Apfelbaum zniknął z Nowego Warpna, by odnaleźć się później w Berlinie, był łącznikiem między tymi dwoma zdarzeniami. Musiało się wtedy coś wydarzyć, coś niedobrego. Strapko był małym chłopakiem, choć wojna sprawiała, że dzieciaki dojrzewały wtedy szybciej, o czym wiedział choćby z relacji swoich dziadków.

Przeworski z Cehakiem czekali w sali aresztu śledczego na Strapkę.

Aspirant dużo sobie obiecywał po tym spotkaniu w przeciwieństwie do prokuratora, który z trudem dał się namówić na jego zorganizowanie, nie widząc w tym najmniejszego sensu.

- Zemsta, Mariusz - tłumaczył mu Przeworski. - Mógł sobie uroić, że Apfelbaum odpowiada w jakiś sposób za śmierć jego matki i siostry. I kiedy Helene von Zussow przyjechała do niego, nagle dowiedział się, że sprawca jego nieszczęścia ma córkę. Więc postanowił ją zabić z zemsty.

- Apfelbaum nie żyje od, przypomnij mi, kiedy? - Prokurator patrzył w zabezpieczone siatką okno.

- Nie szkodzi, że nie mógł się zemścić na nim. - Przeworski zdecydowanie pokręcił głową. - Była jego córką. Krew z krwi. Od kiedy pragnienie zemsty jest uczuciem racjonalnym? Naturalnym: tak, ale racjonalnym? Pamiętaj, ile ma lat, w tym wieku nie tak trudno odkleić się od rzeczywistości.

- A jak się ma do tego ta darowizna ziemi? - zapytał Cehak.

- Uśpienie naszej czujności? Odsunięcie od siebie podejrzeń? Odruchowe odrzucenie czegoś, co związane było z człowiekiem odpowiadającym za śmierć matki i siostry? Jeszcze coś innego? Możesz sobie wybrać, ale w zasadzie to nie jest pytanie do mnie, Mariusz, tylko do Strapki, i będzie okazja, żeby mu je zadać. A teraz... Teraz mamy nowe argumenty, prawda? I to chyba mocne?

Przerwał im odgłos otwieranych drzwi.

Władysława Strapkę wprowadził do sali funkcjonariusz służby więziennej. Kiedy posadził go przy stole, Cehaka i Przeworskiego owionął nieprzyjemny zapach potu i tanich środków czystości. Strapko zgarbił się jak zwykle i czekał, wpatrzony w swoje ręce. Przebierał palcami i skubał paznokciami skórki.

- Dzień dobry - powiedział Cehak, chcąc wybadać, w jakim Strapko jest nastroju.

- Dla kogo dobry, dla tego dobry - odburknął starzec i prokurator już wszystko wiedział.

- Przyjechaliśmy do pana w związku z nowymi faktami, które udało nam się ustalić... - Prokurator zawiesił znacząco głos.

Strapko nie zareagował.

- To może zacznę ja, panie Strapko - wtrącił się Przeworski, ustalili to wcześniej z Cehakiem, bo prawdopodobieństwo nawiązania kontaktu z kimś, kogo starzec choćby kojarzył z Nowym Warpniem, było dużo większe niż z obcym. - Czterdziesty czwarty rok. Do pewnego mieszkania w Warszawie wchodzi gestapo. Szukają ukrywającego się w nim Żyda. Nie znajdują go, ale zabijają mieszkającą tam kobietę i jej córkę, a ranią mężczyznę: męża i ojca. Jeszcze jednego dziecka nie było wtedy w domu. Mieszkanie znajdowało się na ulicy Leszno, ofiary miały na nazwisko Strapko. Jedna była pańską matką, druga młodszą siostrą, mężczyzna był pana ojcem. Nieobecnym dzieckiem był pan. Co pan na to?

- Po co w tym grzebiecie? - Strapko podniósł głowę i potoczył po nich nieprzyjaznym spojrzeniem. - Po co grzebiecie w moim życiu?

- Bo szukamy prawdy.

- Jakiej prawdy?

- W latach osiemdziesiątych byli u pana przedstawiciele komisji badającej zbrodnie hitlerowskie z okresu okupacji. Pana dawna sąsiadka zgłosiła do niej przypadek waszej rodziny. Nie chciał pan z nimi rozmawiać o szczegółach. Dlaczego?

- To moja sprawa.

- Możliwe. Ale nasza już też. Uważamy, że ma to jakiś związek z morderstwem, które pan popełnił.

- Nie popełniłem żadnego morderstwa. - Głos Strapki był zmęczony, zniknął nawet ten upór, z jakim za każdym razem zaprzeczał zarzutowi.

- Żyd, którego ukrywaliście u siebie, nazywał się Moryc Apfelbaum. Mieszkał w Nowym Warpniu przez parę lat tuż po wojnie.

Tak się składa, że był ojcem ofiary, ojcem Helene von Zussow. Przypadek?

- Jasne.

- A ja myślę, że jednak nie. On był winny śmierci pana matki i siostry, więc pan zabił jego córkę.

- Geniusz! - Władeczek pokręcił głową z udawanym rozbawieniem.

- Sam pan na to wpadłeś?

- Owszem, ale myślę, że to nieźle jak na okoliczności, panie Strapko, co? - Przeworski prawie się roześmiał. - Nikt nie znał tajemnicy Apfelbauma i waszej. Gdyby nie jego córka, a w zasadzie jej śmierć, dalej nikt by o tym nie wiedział.

- Może i nieźle, ale głupoty wygadujesz, synek. Przecież on nie żył, więc jak miałem się na nim mścić? Czemu winna miałyby być jego córka, do cholery?

- Zemsta rzadko kiedy jest racjonalna, panie Strapko. - Przeworski zerknął na Cehaka. - Za racjonalną uznają ją wyłącznie mściciele. To po pierwsze. Po drugie: pana telefon logował się w miejscu zbrodni w czasie jej dokonania. Po trzecie, to pana szalikiem ofiara została uduszona i niech pan nie zaprzecza, bo jest dosyć charakterystyczny, rozpoznali go pańscy sąsiedzi, no i było na nim sporo materiału biologicznego zgodnego z pańskim DNA. To nie są poszlaki, to są twarde i niepodważalne dowody. A pan milczy i milczy...

- Bo nie wiem, o co chodzi. Tłumaczyłem już wam jak krowie na rowie, że telefon mi ukradli albo go zgubiłem po pijanemu, może nawet tego dnia, nie pamiętam. Nie wiem, skąd się tam wziął mój szalik. - Zawahał się przez chwilę. - Nie znałem tej kobiety, nie miałem pojęcia, że jest córką Moryca, a nawet gdybym wiedział, co by to zmieniło?

- Nie znał pan... Hmm... - Przeworski uśmiechnął się przyjaźnie i wytoczył działo. - Ale na akcie notarialnym się widzieliście, co?

Strapko spuścił głowę.

- Sam pan widzi: złapaliśmy pana na kłamstwie. Skoro skłamał pan w tej kwestii, to czemu nie w innych? Darował jej pan działkę. Działkę, którą odziedziczył pan po ojcu, a on jakimś cudem dostał od władz zamiast Apfelbauma. Mamy na to potwierdzenie z księgi

wieczyste. Liczymy, że nam pan to wszystko wyjaśni. Więc jak to było z tą ziemią od Żyda, panie Strapko? Może od tego zaczniemy? Po prostu zaczniemy od początku?

- Od Żyda, powiadasz pan... Miał na imię Moryc i był przyzwoitym człowiekiem, taki jest początek. - Strapko spojrzął na Przeworskiego spoode łba, ale w tym spojrzeniu aspirant widział, że w starym człowieku coś pękło. - Za okupacji ukrywaliśmy go w naszym mieszkaniu, to już wiecie. Zaprzyjaźniłem się z nim, tak jak dzieciak może się zaprzyjaźnić z dorosłym, któremu ufa. Należał do żydowskiej organizacji w getcie i był jednym z niewielu ocalałych z tej masakry. Kiedy powstanie upadło, przedostał się na aryjską stronę tunelem pod ulicą do kamienicy, gdzie w jednym z mieszkań Żydzi mieli swoją kwaterę, ale ona też była spalona, więc musiał się ukrywać. Ojciec robił tam remont dachu i znalazł go na strychu. Moryc nie miał dobrego wyglądu, jak wtedy się mówiło, bo niektórzy z nich byli z urody jak Polacy czy Niemcy, więc im było łatwiej się ukrywać. A on był czarniawy, miał wielki nos i te czarne oczy, widać było z daleka, że innego wyznania. To on mnie przekonał do walki. Rwałem się, żeby bić Niemców: gówniarz, co ledwo od podłogi odrósł. Ale to były inne czasy, wojna sprawia, że dzieci dorastają o wiele szybciej, ale wy tego nie możecie wiedzieć, na szczęście. Gadaliśmy często w nocy. Właziłem do tej szafy, za którą była kryjówka, i spędzaliśmy godziny na rozmowach. Imponował mi. Młody mężczyzna, odważny i silny, dużo wiedział o świecie, a ja lubiłem tego słuchać. Nie myślałem nigdy o ojcu jako o tchórze, ale byłem na niego zły za tę jego beczynność i za to, że nie chciał wkiłać się w konspirację. Ja się uwikłałem za niego. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest bohaterem, takim samym jak ci, co zabijali Niemców i konfidentów czy szli na czołgi. A nawet większym. Ryzykował nie tylko swoje życie, jak tamci, ale i życie rodziny. Matka również. - Pokręcił głową ze smutkiem. - Ledwo ją pamiętam, Jadźki też już prawie nie. Zburzyli kamienicę, nic nie ocalało, nawet zdjęcia, a ja nawet nie wiem, gdzie teraz leżą. Pochowali je w podwórzu, tak się grzebało powstańców i ofiary cywilne, bo nie było normalnych pogrzebów na cmentarzach. Później, kiedy Niemcy weszli z artylerią i bombardowali miasto z samolotów, a kamienice waliły się jedna po drugiej, trupom wkładano pod pachy

butelki z kartkami z imieniem i nazwiskiem. One miały tylko tabliczki. A potem zostało już tylko morze ruin. Ich kości są gdzieś pod nowymi budynkami albo w bezimiennych grobach, do których po wyzwoleniu zwozili szczątki i prochy... - W oczach Władeczka błysnęły łzy, co Przeworskiego lekko zdziwiło.

Wszystkiego mógł się spodziewać po Strapce, tylko nie łez.

- Pan wie, kto was wydał? - zapytał cicho.

Strapko milczał, wpatrując się w blat, i mimo że to spojrzenie było niewidzące, aspirantowi wydawało się, że ten stół jest jak ekran, na którym starzec ogląda właśnie film z dalekiej przeszłości. Pozwolił mu to robić jeszcze przez chwilę, a potem ponowił pytanie.

- Wie pan?

Strapko ocknął się z zamyślenia i pokiwał kilka razy siwą głową.

- Wiem.

- Kto? - zapytał z kolei Cehak i Przeworski widział, że prokurator nie może doczekać się odpowiedzi.

Podobnie jak on. Ale Strapko miał trzymać ich jeszcze trochę w niepewności.

- Ojciec mnie w końcu odnalazł - kontynuował, jakby pytania nie było, ale Przeworski i Cehak nie przerywali mu w obawie o zepsucie nastroju, w dodatku wiedzieli, że najprawdopodobniej ta historia zmierza jednak do finału, którym miało być nazwisko zdrajcy. - W powstaniu, praktycznie na samym początku, dostał kulkę w nogę, ewakuowali go ze szpitala do Kampinosu; kiedy weszła Armia Czerwona z berlingowcami, poszedł z nimi na Berlin, walczył też pod Szczecinem. Przysłali go do Warpna jako osiedleńca, ale szukał mnie przez Czerwony Krzyż, aż znalazł. Ja po wysiedleniu Warszawy po upadku powstania trafiłem do obozu przejściowego w Pułtusku, potem na wieś, na Lubelszczyznę. Przyjechał po mnie i zabrał do Nowego Warpna, miałem wtedy piętnaście lat. Nie chciałem tu przyjeżdżać, chciałem żyć w dużym mieście, a nie na takim zadupiu, w końcu wychowałem się w Warszawie. Pokłóciłem się o to z ojcem, ale on obstawał przy swoim, mówił, że tamto życie się skończyło, a tamtego miasta już nie ma i dlatego zaczniemy w nowym miejscu. A ja... - Strapko prychnął, a całe jego nieruchome i jakby stężałe ciało

zwiotczało przy tym i poruszyło się. – Pierwszej nocy tutaj uciekłem z domu. Chciałem wracać do Warszawy. Wykorzystałem, że wieczorem poszedł z kimś gadać o nowej pracy, przygotowałem zapas jedzenia, spakowałem swoje jedyne wyjściowe ubranie, zostawiłem mu list i ruszyłem przed siebie lasem. Gówniarz byłem. Okazało się, że w nocy jest zimno, stare buty, które miałem na nogach, obtarły mnie już po półgodzinie szybkiego marszu, a nowych wkładać nie chciałem, bo przecież miały być potrzebne w nowym życiu. Trochę zabłądziłem i tak dotarłem do tego domu za Dworami, niedaleko granicy, to były zabudowania starej leśniczówki. Z ciekawości zajrzałem przez okno, bo widziałem, że w środku świeci się lampa. Okna były zasłonięte, ale niestaranie i przez szparę zobaczyłem to światło. I jakichś ludzi, wszyscy stali przy stole. Trzech z nich znałem, reszty nie. Jeden był moim ojcem. Wcale nie poszedł gadać o robocie. Poszedł do Moryca i to Moryc był tym drugim. A trzeci... – Strapko uniósł głowę i spojrzał ciężko na Przeworskiego. – Trzeci był moim dawnym sąsiadem z Warszawy.

– Kiedy to było? – zapytał szybko aspirant. – Jesienią?

– Tak, ja przyjechałem tu jesienią. A co?

– Nie, nic, niech pan mówi dalej.

– Zobaczyłem, jak mój ojciec trzyma w ręku pistolet, sąsiad klęczy przed nim, a wszyscy się temu przyglądają.

– Co pan zrobił?

Strapko wbił w Przeworskiego wzrok.

– Uciekłem.

– Nie widział pan, co było dalej?

– Nie.

– Czyli nie wie pan, jak to się skończyło?

– Wiem.

Przeworski wymienił z Cehakiem szybkie, porozumiewawcze spojrzenie.

– Skąd pan to wie, skoro tego nie widział? – zapytał cierpliwie, mimo wszystko.

Strapko otworzył usta, język przesunął się po resztkach zębów i dziąsłach. Aspirant i prokurator wpatrywali się w niego w napięciu,

nie zwracając uwagi na nieapetyczny widok.

- Ojciec powiedział mi tuż przed śmiercią - wyrzucił z siebie Strapko i była w tym jakaś ulga. - Czekał z tym ponad trzydzieści lat... Trzydzieści lat milczenia... A ja nigdy wcześniej nie zapytałem go o to i też milczałem. Nigdy nie przyznałem się do tego, co widziałem. Zrobiłem to dopiero tego dnia, kiedy umarł.

- Dlaczego pan go o to nie zapytał?

- Bo zwątpiłem. Zwątpiłem we własnego ojca. Bałem się, że prawda mnie zniszczy, a okazało się, że jest zupełnie inaczej. Gdybym zapytał... Gdybym zapytał, nasze życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

I Strapko rozplakał się rzewnymi łzami.

Nowe Warpno, wrzesień 1947

- Jest pan, panie Benek... - Twarz Moryca Apfelbauma jaśniała od uśmiechu. - Pan przyszedł.

Stał w drzwiach leśniczówki. Żółte, migotliwe światło niewielkiej lampy naftowej, którą trzymał w ręku, wyłuskiwało z mroku jego drobną postać.

- Jestem - burknął Strapko, otrzepując buty z błota. - I lepiej, żeby to było coś ważnego. Władziu został sam w domu.

- Już nie jest bachorem, panie Benek. Chłopak jest dorosły...

- Nie jest dorosły - przerwał Morycowi. - Ma dopiero piętnaście lat. A tu nie jest bezpiecznie.

- Jest dorosły. - W głosie Apfelbauma był jakiś upór, uśmiech lekko zgasł. - Pan wejdzie. To jest coś ważnego. Bardzo ważnego. Dla pana, dla mnie...

Żyd odsunął się od drzwi, a Strapko po chwili namysłu wszedł do środka.

W pomieszczeniu o ścianach pomalowanych na zielono znajdowało się kilku mężczyzn. Wyglądali jak członkowie jakiejś bandy. Ciemny zarost znaczył ich policzki i podbródki, głębokie cienie wyostrzały rysy ich twarzy. Na głowach mieli czapki oprychówki, spod których wysmykiwały się kosmyki ciemnych włosów. Wełniane marynarki i bryczesy z wpuszczonymi w cholewy nogawkami dopełniały obrazu. Skupili się wokół stołu, na którym leżał pistolet i stały porcelanowe talerze z resztkami posiłku oraz dwie lampy naftowe kopcące nieprzyciętymi knotami. Cienie mężczyzn kładły się na ścianach i na suficie, jak gdyby nad wszystkim górowały ogromne zjawy pochylające się ponad ich głowami, żeby przyjrzeć się, kto leży obok stołu.

Strapko zatrzymał się w pół kroku, widząc kolejnego mężczyznę skulonego na podłodze.

- Co tu się dzieje? - zapytał nieswoim głosem, odwracając się do Apfelbauma.

- Mamy go, panie Benek.

- Kogo?

- To on nas wydał. Pana i mnie.

Strapko poczuł, że blednie.

- S... Skąd...

Nagle leżący na podłodze u jego stóp mężczyzna odwrócił twarz w jego stronę i Bernard poczuł, że serce niemal stanęło mu w piersi.

- Józek... - wyszeptał bez tchu.

Skibiński, jego dawny sąsiad, jęknął błagalnie i zaczął niezdarne podnosić się z desek.

- Zostań, gdzie jesteś. - Warknięcie jednego z mężczyzn sprawiło, że skulił się znowu, tym razem już na siedząco. Objął kolana i oparł na nich czoło.

Strapko wpatrywał się w Skibińskiego przez chwilę, a potem spojrział na Apfelbauma, czując, że ten drobny ruch głową kosztuje go mnóstwo sił.

- Nie prosiłem cię o to, Moryc - wycharczał.

- Ja wiem, ja wszystko wiem. - Apfelbaum uniósł ręce. - Ale to kwestia honorowa, panie Benek. Pan mnie uratował życie, pan jesteś mój dobroczyńca i ja uważałem za swój obowiązek odnaleźć zdrajcę. I zrobiłem to, z pomocą dobrych ludzi. To dzięki nim. Kosztowało to trochę trudu i pieniędzy, ale uda...

- Nie prosiłem o to! - Głos Strapki był mocniejszy i Moryc stał przez chwilę skonsternowany.

- Tu nie chodzi o pieniądze, panie Benek, pan mnie źle zrozumiał. Ja tylko panu opisuję, co zrobiliśmy. To było prawie pewne, że doniósł ktoś z domu. Pan nie wie, ale my jesteśmy bardzo operatywni i odnaleźliśmy z połowę dawnych mieszkańców pana kamienicy, rozmawialiśmy z nimi. Znaleźliśmy też jego. - Wskazał podbródkiem na Skibińskiego. - Rzykowaliśmy, przywożąc go tu, do pana. Ale pan teraz może osobiście wykonać wyrok na zdrajcy. Pan ma prawo

i obowiązek to zrobić. On odpowiada za śmierć Jadzi i Anieli. I tego dozorczy.

- Biliście go - stwierdził gorzko Strapko.

- Nie. Tylko przesłuchiwaaliśmy. Nie było potrzeby... - Apfelbaum urwał w pół zdania i po chwili wahania, widząc wzrok Strapki, dokończył: - Nie było bicia.

- A gdyby to nie był on? Skąd możesz mieć pewność?

Moryc spojrział na Strapkę z ukosa.

- Przyznał się szybko. Wystarczyło pierwsze pytanie i już wiedzieliśmy.

Strapko poczuł, jak wysycha mu w ustach.

- To prawda? - zwrócił się do Skibińskiego.

Chłopak spuścił głowę, a on tylko zacisnął pięści.

- Dlaczego, Józek? - wydusił z siebie. - Chryste, dlaczego?

Skibiński milczał ze zwieszoną głową, wciąż opartą o kolana.

- Dlaczego?! - krzyknął Strapko.

- Bo bolało! - wrzasnął nagle chłopak. - Bo chciałem żyć! Musiałem im coś dać! Musiałem ratować siebie!

Patrzył na dawnego sąsiada szeroko otwartymi oczami, drobinki śliny zebrały się w kącikach otwartych ust, przez które oddychał spazmatycznie, targany strachem.

- Nie wiecie, jak to jest tak cierpieć! - krzyknął rozpaczliwie i ten krzyk wyzwolił w nim jakąś śmiałość, która pozwoliła spojrzeć w oczy wszystkim zebranym, po kolei, jednemu po drugim. - Nie wiecie, jak to jest siedzieć w celi śmierci, wiedzieć, że za dzień, za dwa, za tydzień pójdziecie na rozwałkę, patrzeć, jak innych zabierają, a potem słuchać strzałów na dziedzińcu, po których nie wracali! Nie wiecie, jak to jest czuć ten ból, kiedy depczą wam buciorami po palcach, biją w nerki, żołądek i wątrobę! Przypalają papierosami! Leją pałkami jak w worek! Strzelają w głowę na sucho! Nic o tym nie wiecie! Jakim prawem mnie oceniacie?

Jeden z mężczyzn podszedł do niego. Stał nad nim i w milczeniu podwinął rękaw koszuli. Na skórze przedramienia ukazał się niezdarny, bladoniebieski tatuaż: pięć cyfr. Potem zaczął rozpinać spodnie. Chłopak patrzył z otwartymi ustami, jak Żyd opuszcza je do

kolan, potem to samo robi z bielizną i odwraca się do niego bokiem. Na udzie, pośladku i w pachwinie widać było straszliwą bliznę obejmującą praktycznie całą połąć skóry od pasa po kolano. Była biała, poznaczona różowymi smugami i plamami.

- Auschwitz - powiedział mężczyzna. - Todesengel. Ty nie mów mi nic o bólu.

- Wy... Wy i tak nie mieliście szansy... - Skibiński spuścił wzrok. - Rozumiesz? Żadnej szansy. Stamtąd nie było powrotu. Ja miałem szansę. Ostatnią... I ocalałem.

- Ja też jednak ocalałem - odparł cicho Żyd. - Ale nikogo nie wydałem jak ty...

Skibiński zgarbił się i znów spuścił głowę.

- Nawet nie byłem w konspiracji - wyszeptał. - Po prostu wracałem do domu z pracy i trafiłem na łapankę. Zamknęli mnie na Pawiaku. Pierwsze przesłuchanie było tylko rozmową. Pytali, czy znam jakichś bandytów z podziemnej armii. Jesteś młody, mówili, na pewno twoi koledzy działają w podziemiu, powiedz którzy, to przepuścimy paczkę żywnościową od matki, a potem wyjdiesz. Mówiłem, że nic nie wiem, bo ja naprawdę nikogo nie znałem i nawet nie wikałem się w nic, rozumiecie? Ja chciałem tylko mieć spokój, zawsze byłem samotny i nie jestem odważny, nigdy nie byłem. Pewnego dnia źle się zameldowałem wachmanowi i pobili mnie pierwszy raz... A potem... Potem pokazali mi zdjęcie zrobione przez gestapo, na którym był jakiś chłopak na ulicy. Powiedzieli, że to jestem ja na czujce przed zamachem na jednego z wachmajstrów, takiego, co to chodził po celach z psem i mordował więźniów. AK go zastrzeliło. Ten chłopak był podobny do mnie, ale to nie byłem ja... Nie chcieli wierzyć, uparli się. Zawieźli mnie na Szucha i torturowali. Trzy dni leżałem potem w gorączce, myślałem, że umrę. A później znowu, kolejne przesłuchanie... I tak ciągle... Tygodniami, rozumiecie? Musiałem coś powiedzieć! Musiałem, zrozumcie!!!

Skibiński klęczał przed otaczającymi go kręgiem mężczyznami, głowę miał opartą o podłogę, nakrytą rękami i szlochał. Płomienie lamp naftowych rzucały na ściany migotliwe cienie stojących, ciemne sylwetki jak z koszmarnego teatru cieni drgały na brudnych tynkach jak chorzy trzęsący się w febrze. Apfelbaum położył nagle rękę na

ramieniu Strapki i wcisnął mu coś w dłoń. Strapko bezwiednie chwycił podany przedmiot i spojrzał na niego. Pistolet. Przeniósł wzrok na twarz Apfelbauma. Była poważna, zacięta, ciemne oczy skrzyły się żarem.

- Oko za oko, ząb za ząb, śmierć za śmierć, panie Benek - powiedział. - Tak rzekł Bóg.

Strapko zacisnął palce na kolbie mauzera i przez chwilę delikatnie ruszał dłonią, jakby sprawdzał jego wagę. Oddychał ciężko przez nos. Panowała absolutna cisza, kiedy nagle od strony okna dobiegł ich jakiś stuk.

- Mieliśmy mieć spokój? - ni to zapytał, ni stwierdził jeden z mężczyzn.

- Jaakow, ty sprawdź - polecił Apfelbaum, wskazując podbródkiem w tamtą stronę. - To pewnie zwierzyna, ale zerknij na wszelki wypadek.

Jeden z Żydów wziął ze stołu latarkę, drugą ręką uchwycił kolbę zatkniętego za pasek pistoletu, nie wyciągnął go jednak, podszedł powoli do okna i odsunął zasłonę. Nie odkładając latarki, otworzył jedno skrzydło i poświecił w ciemność na zewnątrz, omiatając nią otoczenie domu.

- Nikogo - oznajmił, zamykając po chwili okno.

Bernarda Strapkę to drobne zdarzenie jakby wyrwało z transu. Drgnął i oddał broń Apfelbaumowi.

- Nie będzie więcej zabijania, Moryc - powiedział. - To koniec.

Żyd wziął mauzera od Strapki i ułożył go sobie w dłoni.

- Jeśli pan nie dasz rady, to ja...

- Powiedziałem: nie będzie więcej zabijania.

Apfelbaum zgarbił się lekko, ręka z bronią opadła.

- To co teraz mamy z nim zrobić, panie Benek? - zapytał zaskoczony.

Ciemne oczy wyrażały zdziwienie, na twarzach pozostałych mężczyzn widać było konsternację.

- Puścić. Puścić wolno. Niech wraca do domu, do matki.

Żydzi spojrzeli po sobie bezradnie. Jeden wzruszył ramionami, drugi z zakłopotaniem podrapał się w grzbiet nosa i powiedział coś

w jidysz. Apfelbaum, wskazując na Strapkę, odpowiedział mu tonem nieznoszącym sprzeciwu. Odłożył mauzera na stół z głuchym stukiem, podszedł znów do Strapki i objął go na chwilę.

- Pan mu darowałeś życie i chociaż ja tego nie rozumiem, to ja to szanuję, panie Benek. My wszyscy szanujemy, chociaż się z tym nie zgadzamy. Ale to jest pana prawo.

- Dokładnie, to moje prawo - odparł Strapko i odważył się spojrzeć Skibińskiemu w oczy.

Patrzyli tak na siebie długą chwilę i nagle Apfelbaum zrobił krok naprzód, pochylił się, chwycił Skibińskiego na kołnierz marynarki, poderwał go z podłogi i nie wypuszczając z garści materiału, zaprowadził w kierunku drzwi. Potem otworzył je na oścież i nie zdejmując dłoni z klamki, puścił marynarkę Skibińskiego, spojrzął na niego i warknął:

- Won, gnido.

Ten patrzył na niego, jakby nie zrozumiał.

- Won, powiedziałem - powtórzył głośniej Moryc.

- Ale... Dokąd mam iść?

- Do miasta.

- Jak mam się tam dostać? - Głos chłopaka drżał.

- Idź ścieżką do głównej drogi i skręć w nią w lewo. - Żyd odsunął się lekko.

- Ja jestem miastowy, zgubię się w lesie... - Skibiński odwrócił się i popatrzył bezradnie na wszystkich po kolei, jakby miał nadzieję, że któryś z nich się zlituje, ale w pokoju panowała złowroga cisza. - Dajcie mi chociaż latarkę, ciemnica przecie... - Rozłożył szeroko ramiona w geście bezsilności, a jego cień na ścianie w tej samej chwili powtórzył ruch.

Wygłądał, jak wielki, czarny ptak zrywający się do lotu.

Apfelbaum spojrzął na Strapkę, a ten skinął powoli głową.

- Jaakow - rzucił krótko Moryc.

Mężczyzna podszedł do nich i z zaciętym wyrazem twarzy podał swoją latarkę Skibińskiemu.

Ten wziął ją do ręki, włączył i wyłączył, a potem chlipnął i nie oglądając się za siebie, poszedł w las. Wszyscy odprowadzili go

w milczeniu wzrokiem, patrząc, jak znika w ciemności, jeden z mężczyzn splunął na podłogę. Po chwili w czarnym prostokącie ościeży zajaśniała żółta plamka światełka latarki, a potem Apfelbaum pochylił głowę, chwycił skrzydło drzwi za krawędź i pchnął je silnie. Huknęły, aż zatrzęsała się futryna, a Strapce wydało się, że słyszy strzał, ten pierwszy, który pozbawił życia jego córkę. Zamknął oczy, mocno, jakby chciał, żeby już nigdy się nie otworzyły i nie widziały tego wszystkiego. Odetchnął głęboko, głośno wypuszczając z płuc powietrze.

- To koniec - powiedział do siebie i otworzył oczy.

Żydzi wpatrywali się w niego w milczeniu.

- Odwieź mnie do domu, Moryc - poprosił Apfelbauma.

- Jasna sprawa, panie Benek, ale jest jeszcze jedna rzecz. Załatwmy to od razu, bo potem nie będzie już na to czasu. Ja mam coś dla pana. Chodźmy tu obok. - Pokazał drzwi prowadzące do jakiegoś pomieszczenia.

- Moryc... Ja nic od ciebie nie chcę. Nie jesteś mi nic winien, rozumiesz?

- Ja wszystko rozumiem. - Apfelbaum uniósł ręce, spuścił skromnie wzrok i uśmiechnął się. - Ja pana znam na tyle, żeby wiedzieć, że pan pieniędzy ode mnie nie weźmiesz. Choć mógłbym dać ich panu sporo, pan mnie powie jedno słowo...

- Moryc, ja chcę tylko do domu, słyszysz?

- Panie Benek, ja panu powtarzam, że ja wszystko rozumiem! Chwila, dosłownie chwila. - Moryc niemal siłą wepchnął Strapkę do sąsiedniego pokoju, zamknął drzwi, sięgnął za połę marynarki i wyciągnął z kieszeni jakiś papier. - To dla pana.

- Co to jest? - zapytał zdziwiony Strapko.

- To jest, można by rzec, darowizna, panie Benek. Załatwiona urzędowo.

- Jaka darowizna?

- Ziemi. Mojej ziemi, którą nadali mi czerwoni, jak wszystkim, co tutaj przyjechali. Przy samym dworcu. Ani tam nic zasiać ani pobudować. Taki mi prezent zrobili, pewnie po złości, albo Żydowi zostawili ochłapy, bo Polakom trzeba było dać najpierw. Ale głupi są. -

Moryc pokręcił z rozbawieniem głową. – Nie patrzą daleko, tylko pod nogi, jak świnie. Żadnej perspektywy. Ja panu tę ziemię chcę dać.

– Nie – powiedział twardo Strapko.

Apfelbaum znów spowaźniał.

– Panie Benek, mnie tu za chwilę nie będzie, a to jest takie piękne miejsce, pan zobaczy, tu będzie kiedyś raj, tu ludzie będą przyjeżdżać wypoczywać jak za Niemca do Ziegenortu, kiedy czerwoni sobie już pójdą, bo ta komuna to kolos na glinianych nogach i to wszystko w końcu kiedyś runie, a Stalin spotka się z Hitlerem w otchłani Szeolu.

– Skąd ty to możesz wiedzieć, człowieku? – Strapce aż zachciało się śmiać, napięcie powoli z niego schodziło.

– Z historii, panie Benek, ja to wiem z historii. Bo to jest najlepsza nauczycielka, choć ludzie jej nie cierpią, jak to zwykle nauczycieli. Pan sobie wyobrażał w trzydziestym dziewiątym, że ten knypek w ząbek chesany doprowadzi świat na skraj zagłady, wyrznie miliony ludzi i całe narody, a potem skończy z kulką w głowie i w ognisku? A jednak. I z Sowietami będzie tak samo, bo kto się zamierza na świat, w końcu pada. Szaleństwo władców uderza w końcu we własny naród. Rzym, Aleksander Wielki, Dżyngis-chan, Napoleon, panie Benek. Byli wielcy, ale stracili wszystko, a to, że historia o nich pamięta, to nie ma żadnego znaczenia. A kto się ostał? Szwajcaria. San Marino. Liechtenstein.

– Jestem tylko stolarzem, Moryc.

– Nie szkodzi, panie Benek. – Apfelbaum uśmiechnął się wyrozumiale. – To ja panu mówię: te kraje istnieją setki lat i nie zanosi się, żeby przestały istnieć. Nawet Hitler nie odważył się ich tknąć. Pan wie dlaczego? Bo one szanują pieniądze, dbają o swoich i nie wikłają się w konflikty, jak nie przymierzając szmondaki w bójki na podwórku. Każde imperium kiedyś padnie. I sowieckie też. Dlatego bierz pan tę ziemię, panie Benek, i trzymaj, jeszcze pan pieniądze na niej zarobisz, jak już nie chcesz pan ich brać ode mnie.

– Ziemi też nie chcę, Moryc. Nie moja ona.

– To przepadnie. Wróci do państwa i dadzą komuś innemu.

– To niech dadzą, mnie nic do tego.

- Panie Benek... - Moryc cmoknął. - Ale pan uparty. O Władziu niech pan pomyśli. To mądry chłopak i odważny. Kiedyś ta ziemia dostanie się jemu, może on będzie miał pomysł? Ja pana szanuję jak własnego ojca. Pan mnie uratował życie i zapłacił za to wysoką cenę. Ja wiem, pieniądz życia nie zwróci, ale może je chociaż kiedyś Władziowi osłodzi?

Strapko milczał, skubiąc paznokciem skraj papieru, który Apfelbaum wcisnął mu w spoconą dłoń.

- To jest pismo od starosty, panie Benek. Orzeczenie. Mnie tę ziemię nadali aktem, ale nie wydali jeszcze orzeczenia dla mnie. Więc ja się jej zrzekłem, bo tak pozwala prawo, i załatwiłem w starostwie, żeby nadali ją panu. Pan jesteś osadnik wojskowy, co prawda nie rolnik, więc panu nie przyznali, ale ta ziemia taka rolna, jak nie przymierzając Sahara, więc nie ma problemu. - Moryc wyszczerzył zęby. - My się z dawnym starostą weleckim dobrze poznaliśmy, panie Benek, bo on tu urzędował do zeszłego roku i ja mu parę rzeczy zorganizowałem, i on mnie jest szalenie wdzięczny i załatwił co trzeba w Szczecinie. Wszystko jest zapłacone i przyklepane. To już jest pańska ziemia, pan jesteś jej właściciel. Pan nawet nie musisz nic uprawiać. Ona jest cierpliwa i poczeka. Będzie czekać, aż przyjdą lepsze czasy. Może pan ich już doczekasz, a może dopiero Władziu, ale one nadejdą, a ja tylko tak mogę się wam odwdziżyć. - Apfelbaum patrzył Strapce w oczy, pojawił się w nich jakiś smutek. - Niech go pan serdecznie ode mnie pozdrowi - poprosił. - To najdzielniejszy chłopak, jakiego znam. Odważny. Mądry. Sporo przeżył w powstaniu, ale nigdy nie okazał słabości. Niech mu pan powie, że kocham go jak brata. Powiesz mu pan?

- Powiem. - Strapko obliznął wyschnięte usta.

Apfelbaum przyglądał mu się długo i uważnie.

- Pora już wracać do siebie, panie Benek - powiedział w końcu cicho. - Widzimy się ostatni raz. Już po mnie przyjechali.

- Kto? - Strapko stężał.

- Moi - uspokoił go Żyd, wskazując drzwi, za którymi byli pozostali. - Bo ja już swoje zrobiłem. Prawie tysiąc Żydów będzie żyć w nowym świecie, swoim nowym świecie. Zrobiłem, co mogłem, i nie mam tu już czego szukać ani po co tu być. To już nie jest mój kraj i nie

moje miejsce. Ale pana tak. Pan tu będzie żył. Z Ruskimi, Niemcami i Polakami. Życzę panu i Władziowi świętego spokoju.

Bernard Strapko pomyślał, że takie rady dają zwykle starsi młodszym. Patrzył na tego młodego mężczyznę i myślał, co przeżył. Obaj przeżyli swoje i licytowanie się, który z nich miał gorzej, nie miało najmniejszego sensu, ale Moryc był jeszcze młody, a on miał czterdziestkę na karku. A potem uświadomił sobie, że to też nie ma znaczenia.

- Odwieźcie mnie tylko do rogatek, dalej pojedę sam - wychrypiał, bo wyschnięte gardło odmawiało posłuszeństwa i machinalnie schował papier za pazuchę. - Nie warto ryzykować.

- Jak pan sobie życzysz, panie Benek! - Moryc uśmiechnął się szeroko.

Otworzył drzwi pokoju, przeszli do pomieszczenia, w którym byli wcześniej, i Apfelbaum machnął na Jaakowa.

- Będziem jechać - powiedział.

Pojechali we trzech. Słabe światła opla blitz ledwo wyłuskiwały z ciemności wstęgę brukowanej drogi, podskakiwali na siedzeniu na każdym kocim łbie, Jaakow mocno trzymał kierownicę, a przy każdej zmianie biegu skrzynia rzęziła, jakby miała zaraz się rozpaść. Zatrzymali się kilkaset metrów przed posterunkiem milicji. Uścisnęli sobie tylko dłonie i rozstali się w milczeniu, bo wszystko już zostało wyjaśnione i powiedziane. Moryc pomógł mu tylko zdjąć rower z paki i ciężarówka odjechała, rżąc przekładniami skrzyni biegów.

Strapko wracał po ciemku do domu, przyświecając sobie od czasu do czasu latarką. Dokumenty miał w pogotowiu, w rękę, bo chłopaki z WOP-u i milicjanci potrafili być w gorącej wodzie kąpani i strzelić szybciej, niż pomyśleć, zwłaszcza gdy ktoś wkładał rękę za pazuchę. Trzymał niezdarnie kierownicę roweru pozostałymi palcami i jechał przed siebie w ciszy nocy. Pedaly i łańcuch cichutko skrzypiały, a ostatnia prośba Moryca rezonowała Bernardowi w głowie bolesnym echem.

„Powie mu pan?”

Nie powiedział, bo nie chciał więcej do tego wracać. Spotkanie z Morycem potraktował jak radykalne odcięcie się od przeszłości.

Koniec, o którym mówił, patrząc w oczy człowiekowi odpowiedzialnemu za śmierć jego córki i żony, potraktował dosłownie.

Powiedział dopiero na łożu śmierci, kiedy wszystko to, co wydarzyło się tu, na ziemi, właśnie przestawało mieć znaczenie, a on szykował się na spotkanie z kimś, w kogo przestał wierzyć tamtego letniego dnia czterdziestego czwartego roku.

Tuż przedtem, zanim wydał ostatnie tchnienie, syn zdradził mu, co widział tamtej nocy przez okno leśniczówki. Chciał wiedzieć, co wtedy zrobił, więc mu opowiedział. Walcząc o oddech, resztkami świadomości przypominał sobie każdy szczegół tamtej nocy i wyjawiał, że darował Skibińskiemu życie i kazał puścić go wolno. Opowiedział Władkowi wszystko.

A potem, gdy Bernard Strapko nie miał już siły, by mówić cokolwiek, patrzyli sobie z synem w oczy. Kiedy je zamknął, jeszcze przez jakiś czas jego pierś unosiła się w rytm ciężkiego, chrapliwego oddechu, aż wreszcie Władek poczuł, że dłoń ojca, którą kurczowo ścisnął w swojej, zwiotczała.

T A J N E

Egz. Nr 2

WOJSKO POLSKIE

14. Komenda Odcinka

Wojsk Ochrony Pogranicza

Nr 0279

01 październik 47

DOWÓDCA 3-go ODDZIAŁU W.O.P. W SZCZECINIE

Meldunek sytuacyjny nr. 297.

Sztab 14. Komendy Odcinka

Warpno Nowe, 01.10.47 r. Mapa 1:1000 (N-33-89)

1./ Ogólna charakterystyka przebiegu służby w Komendzie.

a) Strażnica Nr. 66 w Myśluborzu Wielkim /Gr. Mutzelburg/ współrzędne 46-54D pełni nadal służbę wzmocnioną we własnym zakresie w związku z najczęstszym naruszaniem granicy w kierunku niemieckiej strefy okupacyjnej.

2./ Żadnych wydarzeń, któreby miały jakiegokolwiek wpływy na tok służby W.O.P. ze strefy nadgranicznej okupacyjnej nie zanotowano.

3./ Organizacja Komendy Odcinka i strażnic przechodzi bez zmian.

W Komendzie odbywa się dzisiaj kąpiel i dezynfekcja bielizny. Połów ryb i patrolowanie, z powodu olbrzymiego sztormu na zalewie zostały wstrzymane. Dotychczas złowiona ryba została wydana na strażnice dla żołnierzy oraz częściowo przekazana do wędzenia. Sprawa z mięsem została częściowo uregulowana.

4./ Wydarzenia:

W dniu wczorajszym 30.09.47 r. patrol strażnicy Nr. 68 w Brzózkach /Althagen/ zauważył 4 uzbrojone osoby przechodzące przez leśną duktę. Natychmiast zarządzono alarm Strażnicy, gdzie było obecnych 1. oficer, 4. podoficerów i 24 szeregowych, którzy tyralierą przeszli las w kierunku spostrzeżonych. Przy zbliżaniu się do środka lasu padło trzy strzały w kierunku żołnierzy, na co odwetowano ogniem karabinowym. Po przyjsciu w srodek lasu napotkano 4. załadowane drewnem furmanki, przy

których nie było żadnego człowieka. Furmanki były parokonne i przy strzelaniu jeden z koni został lekko ranny. Po jakimś czasie do furmanek przybyli żołnierze Armii Czerwonej stacjonujący w m. Ziegenort i na miejscu wyjaśniono sprawę. Jednak strzelających nie schwytano i niewiadomo kto strzelał. Podejrzaniem jest, że w tym rejonie lasu stacjonuje jakaś banda. Celem schwytania ich wystawiono dwa podsłuchy. Przy strzelaniu zużyto 54. szt. naboju kar. i 98. szt. naboju do P.P.Sz.

Dnia 30.09.47 o godz. 12.30 Komendant Strażnicy Nr. 67 w Albrechtsdorf zatrzymał przy szlabanie Strażnicy 2. furmanki z osadnikami, którzy jechali z m. Łęgi Duże do Warpna Nowego. Osadnicy mieli dokumenty osobiste w porządku, posiadali natomiast 6. karabinów bez zezwolenia na prawo noszenia broni. Osadników zwolniono, broń natomiast zatrzymano w 14. Komendzie W.O.P. Zatrzymane: Kb „Mauzer” Nr. 40.2o3, 4670, 7670, Kbk Mosin Nr. 333 i 3119, Kbk Bertkier 46.775.

W nocy 01.10.47 r. o godz. 2.45 podsłuch Strażnicy nr 66 w Myśliborzu Wielkim wykrył próbę nielegalnego przekroczenia granicy z Polski w stronę niemieckiej strefy okupacyjnej. Zatrzymany przez patrol bez stawiania oporu został ob. Skibiński Józef, l. 26. narodowości polskiej i odprowadzony do Strażnicy celem czasowego zatrzymania, wstępnego przesłuchania, a następnie odesłania do I Wydz. Śledczego w Szczecinie. Przy zatrzymanym nie znaleziono rzeczy, dokumentów nie posiadał. Zatrzymany twierdził, że udaje się do najbliższego miasta, ale zabił się w lesie. Nie udzielił wyjaśnień dotyczących sposobu, w jaki dostał się do Warpna Nowego. W chwili zamykania w pomieszczeniu dla zatrzymanych zaczął zachowywać się agresywnie i krzyczeć. W dniu dzisiejszym w godzinach rannych podczas obchodu stwierdzono, że ob. Skibiński popełnił samobójstwo poprzez powieszenie się na kłamce drzwi.

5./ Zajęcia: Przed południem:

Służba graniczna - ćwiczenie w sprawianiu gotowości bojowej. Zamykanie przejść na granicy. Pościg, zatrzymanie, rewizja, odprowadzanie - 2 godz.

Służba wewnętrzna - porządek koszarowy, obowiązki strzelca służbowego - 1. godz.

Reg. służby wewn. cz. 7. Obowiązki i prawa wartownika na posterunku. Po południu: Gry i zabawy, czyszczenie broni.

Obecnych na zajęciach: 55% stanu osobowego, służba i inne 45%

6./ Stan łączności Komendy Odcinka jest bardzo dobry. Naprawy uszkodzonych linii pomiędzy strażnicami dokonywane są na bieżąco i natychmiastowo przy pomocy własnych środków.

7./ Według mego zdania wyszkolenie żołnierzy Komendy stoi obecnie na dobrym poziomie. Oficerowie zwiadowczy (zastępcy d-ców strażnic do spraw zwiadu) nie znają dokładnie swego zadania.

Szef Sztabu

Dowódca 14. Komendy Odcinka

/-/ G r z e s i k por,
/-/ Bogdziejewicz mjr.

Odbite w 2 egzem.

Egz. nr 1 Adresat

Egz. nr 2 a/a

Wykonał: G.K. por.

Druk JG

Nowe Warpno, 2018, wcześniej

Władysław Strapko usłyszał pukanie do drzwi. Nie wstał nawet z łóżka, ale pukanie powtórzyło się i było bardziej natarczywe. Z niechęcią zwlókł się z niezbyt czystego pością i poczłapał do wyjścia. Kiedy uchylił drzwi, ujrzał za nimi parę nieznaną mu ludzi. Szykowna babka i facet w garniaku. Kto chodzi w garniaku w taki upał? - pomyślał.

- Czego? - burknął, wyglądając nieufnie przez szparę w drzwiach.

Kobieta i mężczyzna zerknęli na siebie z zaskoczeniem. Ona zrobiła minę, jakby coś ją zabolalo, a on nabrał powietrza i odezwał się.

- Dzień dobry, czy pan Władysław Strapko?

- Taa - odburknął. - Bo co?

Mężczyzna powiedział coś po niemiecku do kobiety.

- Ta pani nazywa się Helene von Zussow - oznajmił po chwili.

- No i co z tego?

- Jej panieńskie nazwisko brzmi Apfelbaum. Moryc Apfelbaum to jej ojciec.

Strapko znieruchomiał. Poczuł, jak zaczynają drżeć mu nogi. Cofnął się od drzwi w głąb sieni i otworzył je szeroko.

- Wejdźcie.

Był lekko zawstydzony. Zdawał sobie sprawę, że w jego domu panuje nieporządek i zaduch, ale nie dbał o to, i tak nie mógł już z tym nic zrobić. Wpuścił parę do środka i obserwował, jak rozglądają się po zaniedbanym wnętrzu.

- Nie mam nic do picia, mogę wam zrobić herbaty - wymruczał.

- Nie trzeba. - Kobieta odwróciła się do niego z uśmiechem. - A wie pan, że przejeżdżaliśmy z Heinim koło pana domu, kiedy byłam

w Nowym Warpnie pierwszy raz? Zimą, była straszna zawierucha. Pan odśnieżał ulicę, ale wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, kim pan jest.

- Możliwe. - Strapko wykrzywił lekko usta i podrapał się w zarost.

Wciąż był skrępowany i lekko zdenerwowany. Podszedł do starego fotela, zdjął z niego koc, którym się okrywał, kiedy drzemał przy radiu, i zaczął go niezdarnie składać, a potem wskazał puste miejsce kobiecie.

- Jakie to życie jest czasem nieprzewidywalne, co? - zapytała wesoło, siadając na brzeжку fotela.

Jej towarzysz stał z złożonymi rękami i patrzył w okno. Strapko spojrział Helene w twarz i odważył się zapytać.

- Opowie mi pani o nim? O Morycu? Co się z nim działo?

Von Zussow otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej coś, a potem podała Strapce. Zdjęcie. Był na nim starszy mężczyzna siedzący przy stole. Z tyłu, z dłońmi opartymi na jego ramionach stała wysoka, przystojna brunetka, a na jego kolanach siedziało dziecko. Od razu rozpoznał Apfelbauma, mimo że bardzo się zmienił. Przytył, wyłysiał, ale oczy się nie zmieniły. Te same: czarne, błyszczące życiem i ciekawością świata, którą próbował wzbudzić w małym Władziu, i którą we Władysławie zabiła wojna i przyjazd tutaj.

- To Moryc? - upewnił się.

- Tak, i ja z mamą. W naszym mieszkaniu na Schönebergu, w sześćdziesiątym dziewiątym roku. Zmienił imię, czy raczej zmienczył pisownię na „Moritz”. Prowadził małą knajpkę w Berlinie, niedaleko lotniska, nazywała się „Koniec świata”, chociaż to był środek miasta. Praktycznie odkąd przyjechał do Berlina, aż do śmierci. Miał dużo przyjaciół, w naszym mieszkaniu zawsze bywało wielu gości, chyba z całego świata. Poznał mamę w Holandii, przywiózł ją do Niemiec, pobrali się, potem urodziłam się ja. Mama zmarła, kiedy miałam szesnaście lat, a on nigdy więcej się nie ożenił. Zmarł w osiemdziesiątym trzecim na raka wątroby. Jakiś czas po jego śmierci znalazłam w papierach wspomnienia, które spisywał w tajemnicy pod koniec życia. Miałam wtedy inne rzeczy na głowie i szczerze mówiąc, nie przykładałam do nich większej wagi. A potem, niedawno, coś mnie tknęło, może to ten wiek, kiedy chcemy spojrzeć

wstecz na nasze życie i dowiedzieć się, skąd jesteśmy... Ze wspomnień taty wynikało, że był tu przez jakiś czas po wojnie, więc przyjechałam zobaczyć, gdzie mój ojciec spędził kilka lat życia. A potem wpadłam na pomysł, żeby tu coś zbudować.

Strapko wpatrywał się w zdjęcie, żując nieświadomie dolną wargę.

- A o zdrajcy? - zapytał nagle. - Było tam coś o zdrajcy?

- O jakim zdrajcy?

- O człowieku, który go wydał? Jego i mojego ojca?

- Nie. - Helene zmarszczyła lekko brwi. - Nie pamiętam niczego takiego, ale też nie wszystko zdążyłam przeczytać.

Strapko oblizał usta.

- Będę mógł to zobaczyć? - Oddał jej zdjęcie.

- Te zapiski są po niemiecku. - Kobieta schowała je do torebki, wsuwając w znajdujący się tam niewielki terminarz.

- Aha... - mruknął niepewnie.

- Mogę zlecić tłumaczenie, to nie problem. Zależy panu na tym?

- Tak. - Strapko zgarbił się lekko.

- Rozumiem... - Von Zussow pokiwała głową. - Postaram się zrobić to jak najszybciej - obiecała.

Strapko podrapał się w głowę.

- Czemu pani przyjechała do mnie akurat teraz? - zapytał nagle.

- Robię tu interesy. - Niemka uśmiechnęła się i Strapko pomyślał, że mruży przy tym oczy tak samo jak Moryc.

- To wiem, już pani mówiła. Ale czemu teraz?

- Niedawno przypadkiem dowiedziałam się od kogoś, że pan żyje i ma się całkiem dobrze. Więc przyjechałam podziękować. - Patrząla Strapce śmiało w oczy. - Chciałam pana zobaczyć, poznać. Może obdarować czymś.

- Nie - odpowiedź była szybka i zdecydowana.

- Nie?

- Nie, niczego nie chcę. I to ja mam coś dla pani.

- Dla mnie?

- Tak, należało do niego, ale to nie jest przedmiot. I ja chciałbym to pani dać.

- Co to jest?

- Ziemia. Jego ziemia.

- Nie rozumiem? - Spojrzała lekko zdziwiona na Heiniego, jakby myślała, że coś źle przetłumaczył.

- Działka nad wodą. Tu, niedaleko. Moryc załatwił przepisanie jej na mojego ojca tuż przed swoim wyjazdem stąd.

Von Zussow wpatrywała się w Strapkę, potem z zaskoczeniem spojrzała na Heiniego.

- Dlaczego?

- Bo wyjeżdżał.

- Ale dlaczego pan mi chce ją dać?

- Bo nie była nasza. Przechowaliśmy ją dla niego. Tak po prostu będzie w porządku.

- Panie Strapko, ja ją od pana kupię, to nie jest dla mnie problem...

- Ale ja jej nie sprzedam. Ja ją pani oddam, bo to pani ziemia. Odziedziczona po ojcu. Myślę, że tak będzie w porządku i wreszcie wszystko zakończymy jak należy. Przecież jak umrę, to i tak nie mam nikogo, komu mógłbym to zostawić. A pani zrobi z nią coś dobrego.

Heini patrzył, jak Helene von Zussow podchodzi powoli do starego człowieka i obejmuje go. Widział, jak lekko marszczy nos ponad jego ramieniem, ale jej uścisk był mocny i długi.

- Czy miał dobre życie? - zapytał Strapko Heiniego, kiedy go już wypuściła z objęć, a ten przetłumaczył.

- Tak. - Von Zussow otarła łzy skrajem dłoni. - Był samotny po śmierci mamy, ale żył pięknie. Spokojnie. Uczył mnie świata i rozkochał w książkach.

Strapko uśmiechnął się lekko. Jego goście nie wiedzieli, że mają okazję widzieć coś bardzo rzadkiego: uśmiech Władeczka Strapki.

- Tak mi raz powiedział, któregoś wieczoru w szafie: żyj pięknie, Władziu.

- A żył pan? Kiedyś i teraz?

Strapko spuścił głowę.

- Nigdy nie czytałem zbyt dużo. Jakoś się nie składało. Odkąd tu jestem, nigdy nie wyjechałem dalej niż do Szczecina. Ale nigdy też nikogo nie skrzywdziłem, niczego nikomu nie ukradłem, zarabiałem

uczciwie na życie ciężką pracą. Więc tak, myślę, że tak. Nie sądzę, żeby miało mnie spotkać w życiu jeszcze coś niespodziewanego, więc teraz czekam tylko na śmierć, bo w końcu przyjdzie.

- Jest pan bardzo dobrym człowiekiem, wie pan? - Heini przetłumaczył słowa Helene von Zussow.

Strapko spojrział na nią zamyślony.

- Dobrym człowiekiem? - Pokręcił powoli głową. - Po prostu człowiekiem...

Kiedy Strapko skończył opowiadać, Przeworski z Cehakiem siedzieli jeszcze przez chwilę w ciszy. Stary człowiek bez ruchu wpatrywał się w blat, jakby ta opowieść go wyczerpała.

- Panie Strapko, o tym Żydzie w Nowym Warpnie krążyły różne plotki - powiedział Przeworski. - Również takie, które w niezbyt dobrym świetle stawiały pana ojca. Nie korciło pana, żeby wszystko wszystkim wyjaśnić?

- Zawsze miałem w życiu jedną zasadę, której trzymałem się od dziecka. Pilnować własnego nosa i nie gadać z ludźmi o rzeczach, które ich nie dotyczą. Gównu ich obchodzi ta ziemia, tak jak gównu ich obchodził jakiś Żyd. Tak o nim mówili. Żyd, po prostu Żyd. Nikt nawet nie pamiętał, jak się nazywał, a tacy ciekawi byli. Paplanie kończy się źle, skądś się gestapo dowiedziało, prawda? - Wzrok Strapki zmętniał, Przeworski zdawał sobie sprawę, gdzie starzec jest teraz myślami, i zastanawiał się, czy ma jakieś znaczenie to, że od tamtych wydarzeń, których Strapko nie był nawet świadkiem, minęło ponad siedemdziesiąt lat.

- Nie było panu z tym źle? - zapytał go aspirant. - Z tymi plotkami?

- Mnie? - Starzec spojrział na niego zdumiony. - To im ta ziemia siedziała zadrą w duszy, nie mnie, chociaż gównu mieli do tego. Życzyłem Morycowi dobrze, przez te lata zastanawiałem się, jak mu się wiedzie. Czy dotarł do Palestyny? Czy żył w kibucu, czy w mieście, czy może walczył w tych wszystkich izraelskich wojnach? A może tam zginął? Zawsze był pierwszy do walki, to, że poszedł do naszego powstania, o czymś świadczy, nie?

- Czyli to nie tak, że ona chciała odzyskać ziemię, którą jej ojciec dał panu ojcu? - zapytał Cehak, wracając do meritum.

- Nie wspomniała o niej słowem, przyjechała mi podziękować za ojca. Mówił jej też o mnie. - Strapko pokręcił sivią głową. - Ale to ja jej powiedziałem o tej działce i jej historii, kiedy okazało się, że ten

ośrodek, który planuje, będzie z nią sąsiedował. Dzięki temu mogłaby zbudować go trochę większy. Może się nie znam, bo jestem tylko starym rybakiem, ale jak dla mnie to zamordował ją ktoś, komu zależało na tym, żeby ten jej ośrodek dla Niemców nie powstał.

- Jest pan świadomy, że może pan być jedną z takich osób? - Cehak przekrzywił lekko głowę, usiłując podłapać wzrok Strapki. - Przynajmniej dla nas?

- Dlaczego?

- Niemcy zabili panu matkę i siostrę...

Strapko prychnął.

- A ten znowu... Co wy z tymi Niemcami, do cholery? Pan żartuje? Jakie to ma znaczenie, że to był Niemiec? Dla mnie to był zwyrodnialec i potwór. Co ma do rzeczy narodowość? Język? Paszport? Albo jesteś człowiekiem, albo karaczanem, który tylko wygląda jak człowiek.

Przeworski w tej samej chwili przypomniał sobie historię opowiedzianą mu przez Heckera, tę o jego ojcu, który do końca swoich dni nie miał w domu niczego, co wyprodukowano w Niemczech, i pomyślał, że co człowiek, to postawa. A najdziwniejsze, że lepiej rozumiał ojca Heckera niż Strapkę. Ile pokory wobec życia i zdolności do wybaczenia trzeba w sobie mieć, żeby tak myśleć? Czy to kwestia czasu, czy jednak czegoś innego, głębszego? Wiedział tylko jedno: nie chciałby mieć nigdy powodów do takich rozważań, jaką postawę przyjąć.

- Nie zdążyła mi dać tych wspomnień Moryca. Przez te wszystkie lata po śmierci mojego ojca zastanawiałem się czasami, czy mnie jednak nie okłamał. Czy naprawdę darował Józkowi życie. To we mnie siedziało. Miałem nadzieję, że w tych wspomnieniach będzie coś o tym, ale zabili ją, zanim mi je dała...

Przeworski zerknął porozumiewawczo na Cehaka.

- Wiemy już, że pana odwiedziła i to pan zaproponował jej oddanie działki. Jest to jakieś wyjaśnienie, choć trudno mi w to uwierzyć i wolałbym, żeby spróbował pan nas bardziej przekonać. Zatem dlaczego?

- Nie słuchał mnie pan, do cholery? Bo należała do niej jako córki Moryca. Jej ojciec oddał ją mojemu tylko dlatego, że i tak by ją potem komuchy zabrały. Chciał się odwdzińczyć ojcu za ukrywanie, ale on tej wdzięczności nie chciał, bo nie dla niej to zrobił, tylko dlatego, że był porządnym człowiekiem. Chciała dać mi nawet sto tysięcy, ale nie przyjąłem. Do grobu tych pieniędzy nie zabiorę, zostawić nie mam komu i mam wszystko, czego mi potrzeba do życia. A gdybym wziął za tę działkę pieniądze, to tak, jakby... Jakby życie matki i siostry dało się jakoś wycenić i nieważne, ile by to było, rozumie pan? Więc to tak, jakbym ją dla niej przechował przez te lata. Oddałem jej jej własność.

- Hmm, bardzo ładny gest, ale teraz to ja już nic nie rozumiem, bo to się trochę kupy nie trzyma. W takim razie dlaczego pan ją zabił?

- Nie zabiłem jej, ile razy mam to powtarzać? - Strapko podniósł głos.

- To dlaczego pan nie powiedział prokuratorowi o tej darowiznie?

- Bo nie jestem głupi. - Strapko spojrział na Przeworskiego, jakby to jego za takiego uważał.

- A wyjaśni pan to? - wtrącił się Cehak.

- Wtedy od razu wyszłoby na to, że jestem winny.

Aspirant i prokurator spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Specyficzna i pozorna logika sprawców, czy nawet podejrzanych, niezdających sobie sprawy, że ukrycie najmniejszej drobnostki będzie w razie odkrycia skutkować pogorszeniem sytuacji, była czasem porażająca. A przecież wszystkich o tym informowano przed rozpoczęciem przesłuchania. Przeworski zdawał sobie sprawę, że przesłuchanie to tak naprawdę walka o przyszłość, o życie, a stawka wzmaga stres, ale to, że niemal nikt tego nie rozumiał, wciąż niepomernie go dziwiło.

- Skoro, jak pan twierdzi, nie jest pan winny, to nie powinien pan ukrywać niczego, nie zdaje pan sobie z tego sprawy? - Pytanie było raczej z gatunku retorycznych, bo aspirant znał odpowiedź, fakty świadczyły same za siebie.

- Nie będę udowadniał, że nie jestem wielbłądem.

- Pan dalej nie rozumie. To my mamy coś udowodnić, a pan...

- Siedział ze mną jeden taki - przerwał mu gwałtownie Strapko. - Siostrzenica, czternaście lat, oskarżyła go, że ją obmacywał i jeszcze gorsze rzeczy robił. Wsadzili go do aresztu, tydzień później ta siksa to odwołała. On nie pozwolił jej iść na tańce, czy jak to się teraz tam nazywa. Zastępował jej ojca. I ona się zemściła. Matka trzy razy ją do prokuratora prowadziła, gówniara płakała i przysięgała, że to nieprawda, że przeprasza, że wymyśliła, a wujek jest kochany. Po trzech miesiącach przedłużyli mu areszt o kolejne trzy. Wyszedł parę dni temu. Ze złamaną ręką, obitym pyskiem, kilka razy go w dupę ładowali. - Strapko robił się wulgarny, widać po nim było emocje.

- Co to ma wspólnego z panem? - zapytał Przeworski.

- Że i tak zrobicie ze mną, co chcecie. A ja wam nie będę w tym pomagał.

- Dobrze. - Cehak westchnął i wstał. - Myślę, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

- Właśnie. Powiedziałem już wszystko, nic więcej nie wiem. Zostawcie mnie w spokoju. Dajcie mi wreszcie wszyscy święty spokój.

Przeworski i Cehak tak zrobili. Opuścili budynek aresztu, a prokurator postanowił odprowadzić aspiranta do roboty. Daleko nie mieli, oba budynki dzieliło od siebie kilka minut spacerkiem.

- Nie był to całkiem stracony czas - stwierdził Przeworski.

Dla Cehaka brzmiało to trochę jak próba wytłumaczenia się.

- Całkiem nie, ale spodziewałeś się chyba czegoś więcej? - Uśmiechnął się półgębkiem.

- A ty nie?

- Nie, ja nie.

- No to w takim razie powinienes być nawet bardziej zadowolony niż ja.

- Zastanowię się nad tym jeszcze.

- Teoretycznie może być jeszcze jedna przyczyna jego uporu - powiedział po chwili Przeworski.

- Jaka?

- Że to faktycznie nie on ją zabił...

Prokurator przystanął na chwilę, a może tylko zgubił krok.

- Widzę, że wzruszył cię jego teatrzyk jednego aktora.

- Mnie trudno wzruszyć, łatwiej przekonać racjonalnymi argumentami.

- Padły jakieś w tej rozmowie, bo nie zauważyłem?

- To wszystko jest jakieś niespójne...

- Strapko jest niespójny.

- Też, ale im więcej wiemy w tej sprawie, tym mniejszy sens tej zbrodni.

- Od kiedy zbrodni ma sens?

- Nie o to chodzi. - Przeworski zniecierpliwiał się lekko. - Coś mi tu nie pasuje. Te zapiski rodzinne, o których mówił w hotelu Vogel... To pewnie były te wspomnienia Apfelbauma. Zniknęły, a podobno miała je ze sobą. Cholera, mogłem dopytać go wtedy o te papiery. Zbagatelizowałem to. A teraz nie ma kontaktu z Voglem vel Ptasznikiem i dupa blada.

- Wtedy jeszcze te papiery nie miały takiego znaczenia, o ile mają teraz - zauważył Cehak. - Nie obwiniaj się.

- Myślę, że jednak mają. - Aspirant spojrział na prokuratora w zamyśleniu. - Musiał zabrać je zabójca, czyli Strapko, bo nikogo innego tam nie mogło być. Ale w jego domu nie znaleźliśmy ich, a on twierdzi, że ich nigdy nie widział.

- Może dała je Strapce wcześniej, a on ukrył gdzieś, gdzie ich nie znaleźliśmy?

- Vogel zawiózłby ją do Nowego Warpna i wiedział, że dała. Nie wspominałby, że teczka zniknęła.

- To dlaczego Strapko kłamie, że jej nie dostał?

- A może nie kłamie? To nie ma sensu. On też nie gadałby w ogóle o wspomnieniach.

- Może Vogel kłamał? Może nie było żadnej teczki?

- Mariusz, zostaw już tego Vogla w spokoju, dobra?

Przystanąli, bo właśnie dotarli do wejścia do komendy.

- Widzę, że cię to męczy, ale to już chyba koniec, Dominik, i pogódź się z tym. Sprawa idzie do sądu. Będzie chciał, to się przyzna, nie będzie chciał, to ja to wykażę, a sąd zdecyduje. Odpocznij. Wracaj do swojej roboty, chyba nie narzekasz na jej brak, co?

Przeworski popatrzył na Cehaka. To prawda, nie narzekał. Specyfika pracy kryminalnej była całkowicie inna od tej, którą wykonywał w Nowym Warpnie. Powrót do dawnego trybu sprawił mu trochę trudności, choć wynikało to raczej ze zmiany sposobu, w jaki patrzył na świat. Zaangażowanie w sprawę zabójstwa Helene von Zussow też wynikało przede wszystkim z powodu jej związków z Nowym Warpniem. Czynności formalne na zlecenie prokuratury w zasadzie wykonywać powinien Śpiewak z dochodzeniówki, choć dogadali się z Przeworskim, który robił to wszystko jako dodatek do swojej roboty, może nie jej kosztem, ale kosztem czasu. Nie czuł satysfakcji. Do jej pełni brakowało mu ostatniego klocka, poznania całej prawdy, bo gdzieś tu wciąż pobrzmiwała mu fałszywa nuta. Porównanie z klockami było całkiem adekwatne, bo Przeworski był pewien, że nie poznali wszystkich elementów, które składały się na wyjaśnienie zagadki. Wciąż czegoś brakowało, czegoś, co chowało się za tym denerwującym milczeniem Władeczka Strapki.

Kiedy aspirant wchodził do domu i odwieszał kurtkę obok lustra, opędzając się od psów, Nata spojrzała na niego z kanapy i zapytała:

- Dominik, nie zabrałbyś mnie do teatru?

Zastrześliła Przeworskiego tym pytaniem, zwłaszcza kiedy przypomniał sobie końcówkę niedawnej rozmowy z Cehakiem. Spojrzał na nią zdumiony.

- No co? - Wzruszyła ramionami. - Jesteś w mieście codziennie, też mam ochotę się przejechać. Co ty na to?

- A na co chcesz iść? - zapytał, bo nie za bardzo wiedział, co odpowiedzieć, zwłaszcza że Nata miała sporo racji.

Mimo swej niezwyklej pamięci nie potrafił przypomnieć sobie ostatniej wizyty w teatrze, co musiało oznaczać, że nie było to wydarzenie godne zapamiętania, a na pewno nastąpiło bardzo dawno temu. Nie przepadał za tą rozrywką, ale postanowił, że poświęci się dla Natalii. Ona z kolei widziała, że nie jest specjalnie szczęśliwy, ale była mu wdzięczna, że zrobił to dla niej. Z kolei dla niego nie było to też jakieś ogromne poświęcenie. Bywało gorzej. Zawsze mogła chcieć pojechać na przykład na masaż balijski.

Siedział teraz na widowni, w ósmym rzędzie, mniej więcej pośrodku, i patrzył na scenę Teatru Polskiego. *Romanca* była lekką

sztuką, której akcja rozgrywała się w szesnastowiecznym włoskim miasteczku i to potwierdzała niezbyt udana zdaniem Przeworskiego scenografia: po prostu tło z wymalowanym widoczkim, jak z tandetnej pocztówki: cyprysy, pinie i palmy, jasne domy o niezbyt stromych dachach i błękitne niebo. Poza tym na scenie były tylko dwa krzesła, bo wszystko inne zostało namalowane, ale koniec końców aspirant uznał, że nie jest specjalistą, więc nie będzie się wymądrzał. Od początku spektaklu grało tylko dwoje ubranych w stroje z epoki aktorów: dama w peruce i sukni oraz łysawy kawaler w rozchełstanej koszuli i z przytroczonym do pasa kordem, dyndającym mu niebezpiecznie w okolicach krocza przy każdym ruchu. W miarę upływu czasu dla aspiranta stawało się jasne, że nikt więcej się tam nie zjawi do końca przedstawienia. Banalne i egzaltowane rozmowy o miłości toczone archaicznym językiem zaczęły go nużyć już po dziesięciu minutach. Uznał, że i tak długo wytrzymał, a chwilę później okazało się, że nie był jedyny. Gdzieś z tyłu widowni rozległo się ciężkie westchnięcie. Aktorzy zachowali zimną krew i tylko krótkie spojrzenie w stronę widzów świadczyło o tym, że je usłyszeli. Kilka minut później sytuacja się powtórzyła, a potem Przeworskiego dobiegł jęk i głośne, bezceremonialne „o Jezuuuu”. Na widowni rozległy się szmery i pełne oburzenia fuknięcia. Tym razem aktor nie dał rady zachować zimnej krwi.

- Czy ja panu przeszkadzam? - zapytał, zostawiając partnerkę i stając przodem do widowni.

- Przecież tego nie da się oglądać! - padła z widowni głośna odpowiedź, z którą Przeworski absolutnie się zgadzał.

Aktor osłonił dłonią oczy, ale osłepiony skierowanymi na scenę reflektorami niewiele mógł zobaczyć.

- To może pan wyjdzie, zamiast przeszkadzać innym? - zaproponował i widać było, że jest wściekły.

- A żeby pan wiedział, że wyjdę! I będę żądał zwrotu pieniędzy za bilet!

- Proszę bardzo! - Aktor prychnął z kpiną i wrócił na środek sceny, gdzie znów klęknął przed koleżanką.

Natalia pochyliła się w stronę Przeworskiego.

- Też chcesz wyjść? - wyszeptała rozbawiona.

- Nie. Właśnie zaczęło mi się podobać - odszepnął i dostał kuksańca.

Przedstawienie wróciło na swoje tory i Przeworski zaczął niemal przysypiać, kiedy nagle rozległ się trzask otwieranych gdzieś z tyłu drzwi i wołanie: „Przepraszam, czy można prosić kogoś do szatni, bo chciałbym odebrać płaszcz?”. W aktora jakby trafił piorun. Zerwał się na równe nogi, zastygł na chwilę w bezruchu, a potem sięgnął po kord, wyszarpnął go z pochwy i ryknął:

- Zabiję gnoja!

Po czym dał susa na proscenium i zaczął wbiegać po schodkach wzdłuż ściany w kierunku górnego wyjścia do foyer. Na widowni, na której chwilę wcześniej słychać było ciche śmiechy, zapadła martwa cisza.

- Zrób coś. - Natalia spoważniała.

- Co mam zrobić? - Przeworski wrzuszył ramionami. - Przecież ten sztylet to rekwizyt, nic mu nie...

Przerwał mu dochodzący gdzieś z oddali straszliwy wrzask, a chwilę później na scenę wpadł ślaniający się na nogach niezadowolony widz z kordem sterczącym mu z pleców. Tuż za nim pojawił się dyszący głośno aktor. Jeszcze chwilę trwało, zanim skonfundowana publiczność zorientowała się, że wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku minut, było zainscenizowane na potrzeby przedstawienia.

- Genialne! - Oczy Natalii błyszczały, a na jej twarzy wykwitł szeroki, autentyczny uśmiech dziecka, który Przeworski tak lubił. - Ale numer!

Patrzył na nią, również się uśmiechając, i nagle stężał. Kąciki ust opadły, a oczy rozszerzyły się.

- Jezu, co ci jest? - zaniepokoiła się Natalia.

- Ale debil ze mnie... - jęknął.

- Co ty wygadujesz, przecież nikt się nie spodziewał, że to...

- Nie o tym mówię - szepnął, kręcąc ze zdumieniem głową. - Zupełnie nie o tym.

Akcja na scenie zmieniała się diametralnie, banalne miłosne uniesienia zastąpiły poważne i mniej poważne rozmowy o życiu, ale Przeworski był myślami zupełnie gdzie indziej.

- Coś taki zamyślony? - zapytała Natalia, kiedy wracali do domu. - Zły na siebie jesteś, że się nie domyśliłeś twistu?

Światła samochodu przebijały mrok, zwarty las po bokach drogi był jak ściany tunelu, a ciemne niebo jak jego strop.

- Mówiłem ci, że nie chodzi o przedstawienie.

- To o co?

- O to, że tańczyłem, jak mi zagrał.

- Kto?

Przeworski oderwał na chwilę wzrok od przedniej szyby i zerknął na Natalię.

- Nieważne, chodzi o moją robotę. - Uśmiechnął się, trochę z przymusem. - Muszę jeszcze kilka rzeczy sprawdzić, ale myślę, że w ciągu kilku dni wszystko się wyjaśni.

- To nie Strapko odstawiał teatrzyk, jak twierdziłeś - wypalił Przeworski od drzwi gabinetu Cehaka. - To musiał być ktoś inny.

Cehak właśnie zabierał się do śniadania, to już któryś raz, jak aspirant przyłapał go na jedzeniu. Niby nic dziwnego, ale nie bywał tu przecież często, za to o różnych porach. Pomyślał, że być może Cehak zajada stres i że należałoby go o to spytać. Pamiętał sytuację z holu recepcji w apartotelu.

- Kto? - Prokurator odłożył nadgryzioną kanapkę.

- Nie wiem jeszcze, ale komuś zależało, żeby skierować podejrzenia na niego. Strapko miał w jednym rację, jeśli nie całkowicie, to w dużej części.

- Z czym?

- Powiedział, że komuś zależało, żeby ten ośrodek nie powstał. A ja bym powiedział nieco inaczej: komuś zależało na tej jego ziemi, małym skrawku podmokłego gruntu na samym brzegu cypla.

- Przepraszam, a logowanie telefonu, a szalik upstrzony jego DNA? Coś przegapiłem?

- Obaj coś przegapiliśmy, Mariusz. Myślisz, że to taki problem z podrzucaniem dowodów? A o jego winie świadczą konkretnie dwa - telefon i szalik. Mocne, ale dwa.

- Tylko albo aż. Dwa to i tak sporo.

- Owszem, ale... Słuchaj, musimy z nim pogadać jeszcze raz. Inaczej.

- Ja chyba nie jestem na to gotowy psychicznie.

- Żartujesz?

- Oczywiście. - Cehak zza biurka zmierzył Przeworskiego krytycznym spojrzeniem. - Ale to nie ma sensu, Dominik. To orka na ugorze. Jeśli sam zdecyduje, że chce ze mną gadać, wtedy polecę tam jak na skrzydłach. A na razie mam lepsze rzeczy do roboty, niż tracić

czas na gapienie się na dziada i słuchanie, jak burczy, że nie ma nic do powiedzenia.

- Jeśli chcesz, pojedę do niego sam. Tylko mi to załatw, okej? Teraz pogadam z nim naprawdę inaczej, bo wreszcie wiem, o co pytać, rozumiesz?

Cehak patrzył na niego z lekkim uśmieszkiem, a potem zmierzył go spojrzeniem od stóp do głowy i westchnął.

- Ty jesteś gorszy od rzepa. - Wziął z biurka kanapkę, dając chyba do zrozumienia, że pora kończyć spotkanie. - Dam ci znać, kiedy będę miał chwilę, podskoczysz tam. I umawiamy się, że to będzie ostatni raz, okej? Mówię poważnie.

- Na to liczę, Mariusz - odpowiedział poważnie Przeworski. - Że to wreszcie będzie koniec.

Dzień później siedzieli w tej samej sali aresztu co zwykle, czekając na Strapkę.

- Mam *déjà vu* - stwierdził Cehak.

Stopa nogi opartej o kolano drugiej drgała lekko.

- Ja też, nie przejmuj się. Ostatnio miałeś nawet ten sam garnitur.

- Serio? - Cehak uniósł brwi.

- Serio. - Aspirant siedział na krzeselku z rękami założonymi na piersi.

Wreszcie drzwi otworzyły się i pojawił się w nich strażnik ze Strapką. Przeworski wstał i przesiadł się do stolika na środku pomieszczenia, Strapko zasiadł naprzeciwko niego, a klawisz zdjął mu kajdanki.

- Załatwmy sprawę szybko, panie Strapko - poprosił Przeworski.

- O niczym innym nie marzę - odparł starzec.

- To przejdźmy do rzeczy. Czy był ktoś u pana ostatnio? I nie mówię o Helene von Zussow, to już wiemy.

- Co to znaczy ostatnio?

- W ciągu, powiedzmy, ostatniego miesiąca, może dwóch.

- Łącznie z czasem spędzonym w pierdlu? - Strapko spojrzał na aspiranta z kpiną.

Przeworski zagryzł wargę.

- Nie, mówię o czasie przed aresztowaniem.

- Ja nie jestem zbyt towarzyski.

- Słyszałem, panie Strapko. - Przeworski podrapał się w brew. - Pańska nietowarzystwość jest wręcz legendarna. Odpowie mi pan na pytanie?

- Był u mnie ktoś z tego instytutu w Izraelu, co to honoruje ludzi ukrywających za okupacji Żydów i pytał o Moryca.

- Dwóch mężczyzn? Z Centrum imienia Begina?

- Nie, jeden, sam. Ci dwaj też byli, ale po tym pierwszym, a tamtych dwóch przegnałem. Nie spodobał mi się, zwłaszcza ten łysy, wielki. A ta instytucja jakoś inaczej się nazywała.

- Mówi pan o tym człowieku, który zjawił się pierwszy?

- Tak.

- Yad Vashem?

- O, to, to. Vashem. - Starzec pokiwał głową. - Stamtąd przyjechał. Ładnie po polsku mówił.

- Jak wyglądał?

Strapko łypnął na Przeworskiego.

- Myśli pan, że pamiętam?

- A ogólnie? Wysoki czy niski? Młody czy stary? Był łysy czy miał włosy?

- Hmm... - Starzec podrapał się z zakłopotaniem w czoło. - Miał czapkę. Żydzi nie zdejmują nakryć głowy w pomieszczeniach.

Przeworski przypomniał sobie wizytę Izraelczyków u siebie: żaden z nich nie miał czapki, nie wspominając o jarmułce, ale może dotyczy to tylko wierzących Żydów? Nie miał pojęcia, więc nie komentował.

- O co konkretnie pytał?

- O ojca. O Moryca. O wpadkę. Wiedział sporo, jak wy.

- Rozmawiał pan z nim?

- Trochę... - Strapko był wyraźnie zakłopotany.

- Z komisją pan nie chciał, a z nim tak?

- Przyniósł prezent.

- Prezent?

- To znaczy... Nigdy nie domagałem się żadnego odszkodowania. Od nikogo, rozumiecie?

- Rozumiemy. Udowodnił to pan, oddając ziemię dena... pani von Zussow.

- Przyniósł dobrą wódkę. Smaczną. Przy wódce inaczej się rozmawia. I był bardzo sympatyczny i zainteresowany tematem. I miał mocną głowę.

- Upiliście się.

- Jakoś tak wyszło.

- Urwał się panu film?

- No, urwał. Chyba można sobie wypić raz na ruski rok?

- Nikt nie mówi, że nie można, panie Strapko - uspokoił go Przeworski. - Co było dalej?

- Nic. - Starzec spojrział gdzieś w bok. - Jak się obudziłem, to go nie było.

- Nie wydało się to panu dziwne?

- A co w tym dziwnego?

- Dobrze, nieważne. To wszystko?

- No, chyba nie wszystko.

- W takim razie słuchamy.

Strapko przejechał dłonią po twarzy.

- Był ktoś inny, kto chciał ode mnie kupić tę działkę - powiedział nagle, patrząc na Przeworskiego.

- Proszę?

Strapko cierpliwie powtórzył swoje słowa.

- Chryste, dlaczego pan mówi o tym dopiero teraz? - Przeworskiego aż zatkało, choć przecież nie powinien być tym zdziwiony, w końcu Strapko dał już się im poznać jako mistrz suspensu. - Ostatnio, kiedy się widzieliśmy, twierdził pan, że powiedział nam już wszystko!

- Bo nikt mnie o to nie pytał. Przyszliście, powiedzieliście, że zabiłem, i zamknęliście. - Usta wykrzywiły się, ukazując pieńki zębów.

Przeworski spojrział na Cehaka bezradnie, prokurator tylko lekko wzruszył ramionami i spojrział na czubki swoich butów. Pewnie też, podobnie jak aspirant, próbował sobie przypomnieć, która to już wizyta i rozmowa ze Strapką. Przeworski zauważył, że jedna stopa niemal niedostrzegalnie drga jego koledze.

- Dobrze, kto to był? - Wrócił spojrzeniem do Strapki.

- Nie wiem, jak się nazywał, ale to był Polak. Powiedział tylko, że jest zainteresowany działką, ja powiedziałem, że nie jestem zainteresowany sprzedażą, i był koniec rozmowy... - Aspirant mimo złości uśmiechnął się mimowolnie, wyobrażając sobie tę scenę, choć brakowało mu drugiej osoby dramatu. - No i pojechał.

- Jego też pan nie pamięta? - zapytał Strapki. - Mówię o wyglądzie.

- Nijaki taki był. Ale pamiętam auto.

- Numer rejestracyjny? - W głosie Cehaka nagle zabrzmiało zainteresowanie.

- Nie, tylko to, że było srebrne i miało na dachu jakieś szyny.

- Pamięta pan coś więcej? - Przeworski poczuł, że zaraz dostanie jakiś smaczny kąsek.

- Jeszcze miało na drzwiach napis.

Cehak drgnął i poprawił się na krześle.

- Jaki? - zapytał szybko.

- Coś ze stałą.

- Może Heristal? - podsunął aspirant.

- Może - odparł obojętnie Strapko. - Było też takie duże „H” obok, więc całkiem możliwe.

- Kiedy to było?

- No chyba jakoś tak niedługo przedtem, zanim niby ją zabiłem.

- Potrafi pan sobie przypomnieć konkretną datę?

- Nie. U mnie przecież wszystkie dni takie same.

Przeworski był lekko zdziwiony. Entuzjazm Cehaka, i jego zresztą też, wyraźnie wskazywał, że pojawiły się informacje, które mogą postawić Strapkę w korzystnym świetle, ale Strapko znów nie wykazywał woli współpracy.

- Może zdarzyło się wtedy coś szczególnego? Jakiś wypadek? Film pan oglądał jakiś?

- Nie mam telewizora, ale...

- Tak?

- To było tego samego dnia, jak przyszedł do mnie ten z instytutu.

- Ten pierwszy, z którym pan pił?

- Tak. To znaczy, przyszedł wtedy drugi raz.

- Jak to drugi raz? - Przeworski kątem oka zauważył, że Cehak zmełł w ustach jakieś przekleństwo.

- No, powiedział, że jest akurat w Szczecinie, bo prowadzi badania w archiwum i przyjechał mnie odwiedzić.

- Chwila, zaraz, bo się pogubiłem. - Cehak pochylił się w jego stronę. - Najpierw był u pana ktoś z Yad Vashem, tak?

- Tak. Ze trzy miesiące temu.

- I piliście?

- Tak.

- Potem byli ci dwaj, których pan przepędził?

- Zgadza się.

- To już było po zabójstwie - wtrącił Przeworski.

- Czyli ten z Yad Vashem był po raz drugi jeszcze przed tymi dwoma? - upewnił się Cehak.

- Tak. - Strapko pokiwał ze zmęczeniem głową. - Tego samego dnia, kiedy był u mnie ktoś w sprawie kupna ziemi. I wtedy też piliśmy. I też urwał mi się film.

- Jak na niezbyt towarzyską osobę, to u pana w domu tłum jak na dworcu w wakacje. - Cehak westchnął ciężko. - Data, panie Strapko. Niech pan sobie przypomni datę. Proszę się postarać.

- To wtedy zgubiłem telefon. To znaczy pamiętam, że jak się obudziłem rano, to już nie mogłem go znaleźć. - Stary strzelał oczami po kątach, jakby szukał w nich natchnienia. - Pomyślałem nawet, że może mi go ukradł, ale on był bardzo sympatyczny. Tylko że daty to za cholereę sobie nie przypomnę.

Cehak założył nogę na nogę i zgarbił się. Potem chwycił za koniec nosa i skubał go nieco nerwowo. Nagle westchnął, wyprostował się, zdjął nogę z kolana i postawił na podłodze z głośnym tupnięciem, a potem oparł się łokciami o kolana i z wyrzutem spojrzał Strapce w twarz.

- Czemu pan milczał, do cholery? Czemu pan nie powiedział nam tego wszystkiego od razu? Straciliśmy tyle czasu. Pana czasu, naszego...

- Wiecie już wszystko - mruknął Strapko.

- To nie jest odpowiedź na moje pytania. - Głos Cehaka był stanowczy, Przeworski po raz pierwszy widział go wkurzonego.

Strapko bezradnie rozłożył ramiona, drelich napiął się na nich, rękawy odsłoniły nadgarstki.

- Myślicie, że to takie proste? - zapytał z wyrzutem. - Wracanie do tego po tylu latach? Skąd mam wiedzieć, co ma znaczenie, a co nie? To był straszny czas. Każdy chciałby o tym zapomnieć jak najszybciej... - Zwiesił głowę i zamilkł.

Wyglądało na to, że dalsza rozmowa nie ma sensu, więc Przeworski i Cehak zakończyli wizytę w areszcie. Jadąc samochodem Przeworskiego do prokuratury, dyskutowali o tym, co usłyszeli przed chwilą.

- Przypomniało mi się, co powiedział stary Zajdel, kiedy z nim rozmawiałem. - Przeworski widział, że złość Cehakowi jeszcze nie minęła.

- Jakaś kolejna rewelacja, która odmieni bieg sprawy? - zapytał zgrzyźliwie prokurator.

- Nie - odparł spokojnie aspirant. - Milczeć jest wygodniej, bo niektórych rzeczy nie da się zapomnieć, ale da się o nich milczeć, rozumiesz? Może to ten mechanizm.

- Może - burknął Cehak. - Mam nadzieję, że stary powiedział nam już naprawdę wszystko. Tylko co to tak naprawdę zmienia?

- Co to zmienia? Moim zdaniem wiele, jeśli nie wszystko. Sprawa powoli się klaruje, jestem zdania, że to nie on jest zabójcą, i myślę, że ty też się powoli do tego przekonujesz. Człowiek z Yad Vashem... Jak on był z Yad Vashem, to ja jestem Hans. Przebieraniec. Morderca, Mariusz. Upijał go alkoholem zaprawionym jakimś środkiem, flunitrazepamem albo czymś takim. Chodziło o amnezję wsteczną. Żeby nie pamiętał, jak wyglądał. A za drugim razem zabrał szalik i telefon, już rozumiesz?

Cehak zassał wargę i żuł ją przez chwilę. Z lekkim zniecierpliwieniem machnął ręką na czekającego przed przejściem pieszego, który nie był pewny, czy może iść, mimo że aspirant zatrzymał auto.

- Cholera, ona musiała go znać. - Przeworski mocno zacisnął dłonie na kierownicy. - Tyle wiemy na pewno. Chociaż... - Zastanowił się przez chwilę. - Nie na pewno. Tu nie ma nic pewnego. Billing jej rozmów już przyszedł?

- A skąd. Ten twój Barański nawet popędzał swoich kumpli z LKA, ale odpisali, że operator zwleka i nic na to nie poradzą. Myślisz, że rozmawiała ze swoim mordercą tuż przed...

- Może. Może rozmawiała, może pisała, nie wiem. - Przeworski wzruszył ramionami i parsknął. - Ta ziemia Strapki... Nagle wszyscy się na nią rzucili, a to podobno jakiś nieużytek, tyle że blisko wody. Tam jest coś zakopane, jakiś skarb czy co? Ten Heristał to Ryszard Peplicki, deweloper, duży gracz na rynku.

- Jak duży?

- Chyba największy na Pomorzu Zachodnim. Miał jakiś interes w nabyciu tej ziemi, potwierdza to jego wizyta u Strapki. I zwróć uwagę, co Władeczek powiedział: jego działka sąsiaduje z tą, na której von Zussow miała stawiać to swoje spa.

- Jest gdzieś niedaleko wody, dobrze kojarzę?

- Tak, podobno tak.

- Chciał jej przeszkodzić?

- Nie wiem. Może chciał ją kupić tylko po to, żeby później odsprzedać jej dużo drożej, grożąc, że jak nie, to postawi tam coś, co zasłoni widok na wodę z jej spa. Albo będzie smrodzić: jakaś hodowla norek, czy coś takiego. Cholera wie, ja się na tym nie znam.

- Ale nie mógł być przebierańcem, skoro obie wizyty odbyły się tego samego dnia.

- Co z tego? - Przeworski spojrzał na Cehaka z lekką kpina. - Mógł kogoś wysłać. To nawet się trzyma kupy: nie załatwił sam, to wysłał najemnika, którego miał w odwodzie. Trzeba mu się przyjrzeć, no i musimy się jeszcze upewnić co do paru rzeczy. Nie ma sensu działać na szybko, przecież on nie spodziewa się niczego, więc nie ma ryzyka, że zniknie. Nie zostawi interesu, prawda?

- Chcesz sprawdzić coś konkretnego? - Cehak zaczął odpinać pas, bo byli już pod budynkiem prokuratury.

- Chcę poukładać te klocki, a ty potrzebujesz podkładki, bo w tej chwili tak naprawdę nie mamy nic. A gdybyś wysłał mail do Yad Vashem, czy ktoś z instytutu był w ostatnim czasie w Polsce, w Nowym Warpnie w sprawie przedwojennego działacza Bejtaru i bojownika Żydowskiego Związku Wojskowego Moryca Apfelbauma? Podejrzewam, że odpowiedź będzie negatywna, ale dobrze byłoby ją mieć, bo jest jakaś tam nikła szansa, że faktycznie kogoś wysłali, skoro wieść o śmierci von Zussow dotarła aż do Izraela. A ja też pogadam z kimś stamtąd.

- Z Yad Vashem?

- Nie, z kimś z Izraela, ale z innej placówki.

- Dobra. - Cehak otworzył drzwi. - Daj znać, jak czegoś się dowiesz.

Przeworski zostawił go na chodniku, a sam pojechał do domu. Wieczorem usiadł do komputera, sprawdził pocztę i ze zdziwieniem zauważył, że Cehak przesłał mu coś. „Chciałbym, żeby u nas w urzędach też takim piorunem wszystko szło”, przeczytał wiadomość. Był to przekierowany przez prokuratora mail z Instytutu Yad Vashem. Krótki, za to treściwy i po angielsku.

Szanowny Panie,

w związku z zapytaniem informuję, że w Instytucie nie są prowadzone żadne badania historyczne dotyczące osoby Moryca Apfelbauma i żaden z pracowników nie był wysyłany do Rzeczypospolitej Polski w celu ich przeprowadzenia.

Przeworski wpatrywał się w te słowa z nikłym uśmiechem na ustach. Miał rację. Strapkę odwiedził przebieraniec. Czy faktycznie wysłał go Peplicki?

- Co ty tam jeszcze rzeźbisz? - zapytała Natalia, niespodziewanie nachylając się nad nim.

- Nic, już kończę - mruknął.

Zamknął pocztę, laptopa i odwrócił się do niej. Jego wzrok padł na jej dekolt i zaniemówił na chwilę.

- Co tak patrzysz, jakbyś pierwszy raz widział? - Roześmiała się.
- Można powiedzieć, że zobaczyłem po raz pierwszy - odparł zamyślony. - Ja pierdole, co za przypadek...

- O co chodzi? - Zmarszczyła jasne brwi.

- Ciąg dalszy rozkmin z teatru, nie przejmuj się. - Okręcił się na krzesło, wyciągnął ramiona, złapał ją za biodra i posadził sobie na kolanach.

Natalia pocałowała go, ale widziała, że myślami jest gdzie indziej.

- Zrobić ci kolację? - zapytała.

- Nie, nie jestem głodny, dzięki.

- Jutro na siódmą?

- Tak, ale spóźnię się planowo. Muszę coś załatwić w urzędzie.

- Którym? U nas?

- Tak, u nas. - Sam zdziwił się, jak naturalnie przyszło mu powiedzenie tego „u nas”.

Zasnęli szybko. Następnego dnia Przeworski zawiózł Natę do Podgrodzia i wrócił do miasta, zaparkował pod ratuszem. Znalazł pokój z tabliczką „Stanowisko ds. gospodarki przestrzennej i nieruchomościami oraz rolnictwa” i wszedł tam, nie pukając.

- Dzień dobry, panie Dominiku. - Szeroki i szczerzy uśmiech wykwitł na ustach siedzącej za biurkiem dziewczyny.

Urzędniczka знаła aspiranta. Miała na imię Kasia, mieszkała w Brzózkach, codziennie dojeżdżała do pracy zielonym, rozklekotanym mercedesem klasy A, który pewnego deszczowego dnia w końcu odmówił dalszej współpracy tuż za Warnołęką. Zamiast po pomoc drogową zadzwoniła po dzielnicowego, a Przeworski jako dobry i uczynny szeryf przyjechał po nią i odholował do domu służbowym pathfinderem.

- Dzień dobry. - Przeworski wyszczerzył się do niej. - Mogę zająć chwilę?

- Oczywiście, zapraszam. - Dziewczyna wskazała krzesło i aspirant zajął je, opierając się łokciami o blat. Chciał nieco zmniejszyć dystans, sprawa, z którą przyszedł, była dość delikatnej natury, no i dość skomplikowana.

- Chciałbym panią o coś podpytać jako laik.

- Słucham. - Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- W zasadzie interesuje mnie ta inwestycja przy Dworcowej, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, jak to wszystko wygląda formalnie. Opowie mi pani, tak w przybliżeniu, na czym polega proces inwestycyjny? Jest atrakcyjna działka, ktoś ją kupuje i chce na niej coś zbudować. Musi dostać pozwolenie na budowę? Wy je wydajecie?

- Nie tak szybko. - Urzędniczka pokręciła głową. - I nie: my nie wydajemy pozwoleń na budowę, tylko właściwy miejscowo starosta powiatowy. Czyli w naszym przypadku policki. Gmina wydaje warunki zabudowy, jeśli nie ma obowiązującego miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, który je określa.

- A tam jest taki plan?

- Na Dworcowej? Nie.

- Czyli musi zostać wydana decyzja o warunkach zabudowy?

- Przygotował się pan, widzę.

- Trochę, ale przynaję, niełatwo to ogarnąć. Dlatego wciąż uważam się za laika. - Znów błysnął zębami w uśmiechu. - Co dalej?

- W skrócie: przeprowadzana jest specjalna analiza, w której określa się warunki, jakie powinna spełniać inwestycja. Przede wszystkim wysokość i powierzchnia zabudowy oraz kształt dachu, wszystko to w zasadzie powinno nawiązywać do okolicznych budynków. Tak w skrócie oczywiście, bo w tej decyzji jest mnóstwo zapisów. Na jej podstawie projektant sporządza projekt budowlany, który stanie się podstawą do wydania pozwolenia na budowę. Tylko po drodze jest jeszcze mnóstwo uzgodnień, dla interesującej pana działki między innymi z Urzędem Morskim, bo teren leży w pasie technicznym brzegu morskich wód wewnętrznych, a przede wszystkim tak zwana decyzja środowiskowa, bardzo istotna ze względu na położenie Nowego Warpna na obszarach ochrony przyrody. Mnóstwo załatwiania i chodzenia. Kiedy się już to wszystko ma, można składać wniosek o pozwolenie na budowę. I gdy decyzja o pozwoleniu zostanie wydana i stanie się prawomocna, można zacząć budowę.

- Ile to wszystko trwa?

- Terminy na wydanie decyzji określają przepisy; wuzetka w ciągu miesiąca, pozwolenie – sześćdziesięciu pięciu dni, choć terminy się wydłużają, jeśli inwestor ma braki w papierach albo wymagane są uzgodnienia, które robi urząd. A projekt i analizy? To zależy od inwestora, jak szybko jest w stanie to zrobić. Ale na taką inwestycję to myślę minimum rok, półtora.

- A dzieje się coś w tej sprawie?

- Tego nie mogę panu powiedzieć.

- A co ćwierkają wróbelki?

- Przecież pan wie?

- A jeśli jestem tym gorzej poinformowanym wróbelkiem?

- Pan, panie Dominiku? - Zmrużyła oczy. - No dobrze, przetarg odbędzie się za dwa tygodnie, to żadna tajemnica. A z pozwoleniem na budowę... Cóż, jeśli faktycznie dojdzie do tej inwestycji, to będziemy o tym wiedzieć wcześniej, bo organ wydający pozwolenie ma obowiązek przesłać decyzję organowi wydającemu warunki zabudowy.

- Jako stronie postępowania?

- Nie, tylko do wiadomości. Nie jesteśmy stroną.

- A kto jest?

- Właściciele sąsiednich działek. Każda inwestycja ma wpływ na otoczenie i w świetle przepisów prawa te osoby muszą wiedzieć, co będzie się działo na sąsiednim terenie. To dotyczy zarówno etapu warunków zabudowy, jak i późniejszego pozwolenia.

- Czy mógłbym zerknąć w akta sprawy dotyczące inwestycji przy Dworcowej?

- Nie jest pan stroną postępowania. - Dziewczyna lekko się spłoszyła.

- Zdaję sobie sprawę, ale i tak musi pani udostępnić te informacje na żądanie prokuratury, prawda?

- Zgadza się.

- No właśnie.

- Ale pan nie jest też z prokuratury.

Przeworski zrobił nieokreśloną minę. Uwaga była w zasadzie słuszna.

- Jako policjant wykonuję czynności na jej zlecenie. Proszę się tym nie dzielić z nikim, ale te informacje są mi potrzebne w związku ze śledztwem w sprawie zamordowania tej Niemki. Potrzebuje pani oficjalnego papierka?

- Oczywiście.

- A gdybym porozmawiał z burmistrzem, żeby oszczędzić trochę czasu? I obiecuję, że papierek z prokuratury przyjdzie, jeśli moje podejrzenia się sprawdzą.

- Sama nie wiem...

- Serio, pogadam z burmistrzem, będzie pani miała czyste sumienie.

- No dobrze, myślę, że szef nie miałby nic przeciwko, w końcu nie jest pan pierwszym lepszym z ulicy. - Urzędniczka westchnęła. - Wniosek o warunki zabudowy dotyczący tej działki złożyły dwa podmioty.

- To tak można?

- Tak. O warunki zabudowy dla danego terenu można wystąpić, nawet jeśli nie ma się prawa do dysponowania nim na cele budowlane. Czyli własności, współwłasności, dzierżawy, zgody właściciela i tak dalej. Dopiero składając wniosek o pozwolenie na budowę, trzeba się takim prawem wykazać.

- Jakie to podmioty?

- Inwestor niemiecki i polski. HvZ z Berlina i Heristal ze Szczecina.

- Peplicki... - Przeworski przypomniał sobie wizytę u burmistrza, kiedy ten powiedział mu, że jest drugi chętny na działkę przy Dworcowej, i nawet zdradził, że to spółka ze Szczecina. A on nie dopytał jaka, wystarczyła mu informacja, że deweloper buduje w Szczecinie i nad morzem. Tak to jest, kiedy bierze się coś zbyt dosłownie.

No i wyszło na to, że jednak nie chciał tam stawiać żadnej fermy norek ani zarobić na odsprzedaży. Chciał zrobić to samo co Helene von Zussow.

- Czyli jednak wróbelek jest dobrze poinformowany? - zapytała rozbawiona urzędniczka.

- Trafilo się ślepiej kurze ziarno... - Przeworski zrobił skromną minę. - No dobra, wiem to od prokuratora.

Dziewczyna się roześmiała.

- Obie firmy miały chrapkę na ten teren, a ponieważ wiadomo, ile to zajmuje czasu, zaczęły się przygotowywać odpowiednio wcześniej. W obu przypadkach istniało ryzyko, że cała para pójdzie w gwizdek, ale na tym czasem polega ten biznes. Wszystko zależało od tego, która z tych firm zaoferuje większą cenę w przetargu. Oczywiście wiem, że ta Niemka nie żyje i najprawdopodobniej HvZ się wycofa... Cóż, życie. A raczej tym razem śmierć.

- Bywa i tak. - Przeworski pokiwał głową. - A wracając do tematu stron...

- Chwileczkę, znajdę tę sprawę.

Dziewczyna wstała od biurka i podeszła do szafy aktowej. Otworzyła ją, chwilę przesuwała palcem po grzbietach jednakowych teczek, aż wreszcie wyjęła jedną i zerknęła na okładkę.

- Tak, to to. - Wróciła do biurka i położyła teczkę na blacie. - Krąg stron był z wyjątkiem wnioskodawcy taki sam, więc w zasadzie nie ma znaczenia, która to sprawa: polska czy niemiecka.

Przeworski chciwie wyciągnął ręce i obrócił teczkę do siebie.

- Znajdzie mi pani decyzję? - poprosił, kiedy po otwarciu zorientował się, że w środku są jakieś pisma i złożone do formatu A4 mapy.

Urzędniczka z uśmiechem zamknęła teczkę i otworzyła ją jeszcze raz, tym razem tylko okładkę.

- U was nie trzeba układać akt chronologicznie? - zapytała kpiąco, kładąc palec wskazujący na pierwszej stronie decyzji o warunkach zabudowy.

Czerwony paznokciec był jak samoprzylepny znacznik, którym w kancelariach zaznacza się ważniejsze albo budzące wątpliwości zapisy umów czy innych pism, a Przeworskiemu przypomniał się widok, jaki zastał po wejściu do pokoju hotelowego, w którym zginęła Helene von Zussow: jej polakierowane na czerwono paznokcie wczepione w prześcieradło.

Przeworski mruknął coś, bo myślami był już z powrotem przy sprawie. Akurat ta decyzja wydana była na rzecz firmy Helene von Zussow. W zasadzie aspiranta nie interesowała data czy warunki zabudowy, a jedynie osoby, które wymienione były w rozdzielniku na końcu dokumentu. Wbił wzrok w listę, od razu zobaczył nazwisko, którego się spodziewał, i już wiedział, że jest w domu.

- Tak, on był stroną postępowania - potwierdziła urzędniczka, zerkając na palec Przeworskiego, przytknięty do papieru tuż pod nazwiskiem.

- Cudownie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo teraz ja, zamiast aktorem, będę reżyserem. - Przeworski wyszczerzył się do urzędniczki.

- Nie rozumiem?

- A ja już chyba wszystko rozumiem. Dziękuję pani serdecznie za pomoc.

- Nie ma sprawy. I w zasadzie, myślę, że powinnam panu powiedzieć o czymś jeszcze.

- Tak?

- Niedawno ta pani złożyła wniosek o zmianę decyzji o warunkach zabudowy.

- Naprawdę?

- Tak.

- Pokaże mi go pani?

- Nnoo...

- Nikomu nie powiem.

- Dobrze. - Dziewczyna skapitulowała dość szybko: wstała, sięgnęła na półkę, wzięła do ręki cienką teczkę i podała ją aspirantowi. - Proszę.

Przeworski przejrzał pobieżnie papiery i to mu wystarczyło.

- Mieliśmy lekki kłopot, bo adres do korespondencji jest w Niemczech, a nie jak poprzednio, w Szczecinie - powiedziała urzędniczka, wskazując przypiętą zszywką do dołu decyzji pomarańczową zwrotkę wyróżniającą się na tle pozostałych, białych.

- Uhm - mruknął aspirant, zamknął teczkę i oddał ją dziewczynie.
- Dziękuję serdecznie jeszcze raz.

Prosto z ratusza pojechał do roboty. Odstał chwilę w korku przed Głębokim, kiedy dojechał do komendy, było po jedenastej. Garbasa nie było, więc miał spokój. Ogarnął bieżące papiery i zrobił trzy ostatnie rzeczy, które według wszelkich przewidywań miały zamknąć sprawę zabójstwa Niemki. Pierwszą był telefon do apartotelu „1901”, drugą mail do doktora Yosefa, na który dostał niemal natychmiastową odpowiedź. Teraz wiedział już wszystko i mógł zrobić rzecz ostatnią, czyli zadzwonić do Cehaka. Opowiedział mu o swoich ustaleniach, słuchając tylko, jak prokurator wzdycha coraz głośniej.

- Nie wierzę... - powiedział w końcu Cehak. - *Is fecit, cui prodest*: ten uczynił, czyja korzyść. Jeszcze raz potwierdza się stara maksyma.

- Zgrabnie to wymyślił, co? - W głosie Przeworskiego było uznanie.

- Tak... Kurwa, wierzyć się nie chce, byliśmy trochę jak marionetki, co?

- Na szczęście zerwałem nas z tych sznurków.

- Na szczęście - przytaknął Cehak. - To co, przygotuję wszystko na jutro i jedziemy kończyć sprawę, tak?

- Nie widzę przeciwwskazań - powiedział Przeworski i zakończył rozmowę.

Dziś miał służbę do dwudziestej drugiej i nawet dobrze się składało, bo musiał jeszcze załatwić coś na mieście. Uzgodnił wszystko z naczelnikiem i pojechał do centrum. Wpatrując się w okno, za którym co jakiś czas pojawiała się drobna postać, czekał w samochodzie, aż ta osoba wyjdzie i będzie mógł z nią szczerze porozmawiać.

- Dzień dobry, panie Peplicki, dobrze, że się spotykamy - przywitał się grzecznie aspirant.

- Tylko że ja właśnie wychodzę na ważne spotkanie.

- Radziłbym zadzwonić i je odwołać, albo chociaż przełożyć i zostać jednak z nami. Radzę to panu naprawdę szczerze.

- Nie rozumiem, jestem o coś podejrzany? I dlaczego panowie przyszli po mnie tutaj?

- W zasadzie nie przyszliśmy po pana, choć to nawet dobrze się składa, że pana tu zastaliśmy. - Przeworski uśmiechnął się do niego, a potem przeniósł wzrok na postać stojącą za Peplickim. - Przyszliśmy do pańskiego kolegi, bo chyba się kolegujecie, a może nawet prowadzicie wspólne interesy...

Peplicki obejrzał się na stojącego w drzwiach swojej pracowni Grubicha, który wyraźnie zbladł, słysząc słowa aspiranta.

- To chyba jakaś pomyłka - wyjąkał.

- Chyba nie - odparł Cehak. - Może wejdźmy do środka, nie będziemy przecież odstawiać cyrku w bramie, prawda?

Grubich zacisnął usta w wąską linię i cofnął się, Peplicki zmierzył zimnym spojrzeniem Przeworskiego, Cehaka i stojącego za nimi policjanta w cywilu i zrobił w tył zwrot. Pozostała trójka weszła do pracowni zaraz za nimi. Stanowisko asystentki było puste, monitor komputera był czarny, na blacie panował idealny porządek, obok klawiatury leżały na nim tylko marker i cienkopis. Dziewczyny nie było dziś w pracy, a skorzystanie z urlopu zasugerował jej wczoraj wieczorem Przeworski, wyjaśniając przy okazji, że nie wszystko między nią a jej szefem wygląda tak, jak się jej wydaje. Odwiózł ją do domu i zostawił tam zapłakaną, pewny już, że nie myli się co do tożsamości sprawcy. Ale ponieważ wiedział też, że zakochana kobieta jest zdolna do wszystkiego, by chronić swojego wybranka, nawet jeśli okaże się sukinsynem, nie mógł mieć pewności, że nie powie szefowi

o ich rozmowie. Musiał więc ją trochę postraszyć konsekwencjami, a gdyby to nie poskutkowało, na wszelki wypadek spędził resztę nocy pod domem Grubicha i jechał za nim w drodze do pracy. Miało to dobre i złe strony: był kurewsko niewyspany i nieświeży, ale za to przypomniał sobie ten dreszczyk emocji, który towarzyszył mu na zmianę ze znużeniem w takich akcjach, zanim jeszcze trafił do Nowego Warpna. Wściekłość dziewczyny jednak zwyciężyła: nie zadzwoniła do Grubicha, który niczego nie podejrzewał, aspirant z Cehakiem zdecydowali więc rano o zatrzymaniu go w bardziej komfortowych warunkach i o jakiejś ludzkiej porze. Opłaciło się, bo niespodziewane spotkanie z Peplickim mogło tylko pomóc w wyjaśnieniu ostatnich wątpliwości.

- Mam jedno podstawowe pytanie, panie Peplicki - zwrócił się do dewelopera Przeworski, kiedy byli już w gabinecie architekta. - Co właściwie łączy pana z panem Grubichem?

- Nie rozumiem pytania. - Peplicki nieco nerwowym ruchem zdjął z czoła okulary przeciwsłoneczne, złożył zauszuki i zaczął się nimi bawić.

- Mówię o aspekcie zawodowym. Ale nie tylko.

- Dalej nie rozumiem. Coś pan insynuuje? Mam żonę i dzieci, i nie poz...

- Jesteście dla siebie konkurencją, prawda? - przerwał mu dość obcesowo. - Mówię o pracy pana Grubicha dla spółki HvZ.

- Owszem - odparł Peplicki z namysłem. - Ale co to ma do rzeczy?

- Macie ze sobą dobry kontakt, prawda?

- No i?

- Obiecał mu pan, że będzie generalnym projektantem tej inwestycji, kiedy już wysiudacie Helene von Zussow?

- Skąd... - Peplicki obejrzał się na Grubicha, a oczy niemal wyszły mu z orbit.

- Nie wydało się panu podejrzane, że ta śmierć jest bardzo wygodna?

Peplicki wrócił spojrzeniem do Przeworskiego i Cehaka. Było nieprzytomne.

- Był taki moment, że nawet tak pomyślałem... - wyszeptał. - Ale kiedy okazało się, że to ten dziad z Nowego Warpna...

- To jest jakieś horrendalne nieporozumienie! - Oczy Grubicha były takie same jak Peplickiego: wielkie jak spodki. - O co wam, kurwa, ludzie chodzi?

Przeworski uśmiechnął się lekko. Nie bawiło go to, co tu się działo, ale miał satysfakcję, po prostu.

- Kiedy podczas naszego pierwszego spotkania powiedziałem panu, że Helene von Zussow była prawdopodobnie Żydówką, pan przez chwilę był zaskoczony - zaczął. - Pomyślałem przez moment, że może jest pan antysemitą i dałem sobie spokój. Ale to, co zobaczyłem wtedy w pana oczach, nie było jakimś wrogim uczuciem, tylko zaskoczeniem, choć nie z tego powodu, że była Żydówką, bo pan to wiedział. Było radością, że realizuję pana scenariusz szybciej, niż pan myślał. Że idę tropem, który zgrabnie podsunął mi pan dopiero później. Bo dowody sugerujące udział Strapki były na miejscu, tylko musiał pan nas sprytnie nakierować, żebyśmy wzięli tego człowieka pod uwagę jako podejrzanego i pobrali materiał porównawczy. Co w końcu faktycznie zrobiliśmy.

- Pan jest jakimś szamanem? Odczytuje pan emocje? A może czyta w myślach? Przepraszam, to jakiś żart? I o jakim tropie pan mówi?

Przeworski znów się uśmiechnął. Może faktycznie za bardzo popłynął, wzrok Cehaka też mógł o tym świadczyć. Chrząknął lekko.

- Pan grał wtedy rolę, wyuczoną rolę. Tylko każda rola zawiera trochę elementów improwizacji. A tu stawka była wysoka, w końcu zabił pan człowieka, więc stres też duży. Trema, jak mawiają aktorzy. Nie spodziewał się pan pytań o kwestie dotyczące pochodzenia pani von Zussow, miał pan tylko przygotowany łańcuszek z gwiazdą Dawida, który razem z tym, co wydarzyło się jakiś czas później, miał stanowić wskazówkę dla mnie. Fałszywą, oczywiście. Stąd ten tekst o domyśleniu się jej pochodzenia na podstawie łańcuszka, który pewnie nie należał nawet do von Zussow. To była ta improwizacja, ale to dostrzegłem później. Bo przekombinował pan. Jak pan mógł nie wiedzieć o jej pochodzeniu, skoro sam pan napisał do Centrum imienia Begina mail z informacją o śmierci pana szefowej i o tym, że

była córką Moryca Apfelbauma? Bał się pan ujawnić mi tę wiedzę, żeby nie być zbyt blisko sprawy, prawda?

Grubich milczał. Jego twarz wydawała się nieprzeniknioną maską, ale oczy, wbite gdzieś w przestrzeń ponad głowami aspiranta i prokuratora, zdradzały, że w jego głowie kłębią się teraz miliony myśli. Nozdrza ruszały się prawie niedostrzegalnie w rytm szybkiego oddechu, pobladł lekko.

- Nie przyszło panu do głowy, że ktokolwiek powiąże pana z jej śmiercią, to oczywiście - dobił go Przeworski. - Plan był przecież świetny, to muszę przyznać.

- Bzdura. - Grubich drgnął i popatrzył przytomniej na aspiranta. - To jest pana plan. I to z przysłowiowej dupy. Nie życzę sobie podobnych insynuacji.

- Trochę mój plan, tylko że wcale nie z dupy, panie Grubich - przyznał Przeworski. - Wymyśliłem go dzięki klocek, które dostałem od pana. Poskładałem je do kupy i wyszło mi, jak myślał sprawca, czyli pan. Te ostatnie, które dostałem wczoraj, potwierdziły mi, że plan był niezły i wykonalny. Wystarczyło sprawdzić szybko kilka rzeczy, co zrobiłem sam i z pomocą pana prokuratora. - Przeworski wskazał kurtuazyjnie na Cehaka. - Helene musiała opowiedzieć panu o swoim ojcu, o tym, jak po powstaniu w getcie ukrywała go rodzina Strapków, i że osiedlił się na jakiś czas w Nowym Warpnie. Kiedy jako pełnomocnik Helene von Zussow badał pan status sąsiednich działek, których właściciele mieli być stronami postępowania administracyjnego, natknął się pan na nazwisko Strapko i skojarzył z historią pańskiej szefowej. Nie wiem, kiedy zaczął pan współpracować z Peplickim, ani kiedy powiedział pan o Strapce szefowej, ale to wtedy musiał pan wymyślić, że nadarza się dobra okazja, aby pozbyć się von Zussow. Spotkał się pan z Władeczkim jako historyk z Yad Vashem, upił go i wyciągnął pan z niego szczegóły historii z Apfelbaumem. Tylko w taki sposób ten człowiek mógł się z kimkolwiek podzielić swoimi wspomnieniami. Napisał pan do Centrum imienia Begina na kilka dni przed zabiciem Helene von Zussow, sprzedając im historię o Apfelbaumie i Nowym Warpnie. Znał pan też już wtedy datę spotkania ze swoją szefową, wiedział,

w którym hotelu będzie nocować, bo to pan jej robił rezerwację. To też sprawdziłem.

- Wszystko fajnie, tylko że ja mam alibi. Spędziłem noc ze swoją pracownicą, ona to poświadczy. Mówiłem już panu o tym, prawda?

- Oczywiście, ja nawet pozwoliłem sobie ją wczoraj o to zapytać, a potem doradziłem, żeby na dziś wzięła wolne. Zdradziła mi, że podobał się jej pan od dawna i dawała to panu do zrozumienia, ale nigdy wcześniej nie przejawiała pan nią zainteresowania. Zmieniło się to ostatnio. No i jest trochę zaskoczona, że nie kontynuował pan romansu, jak gdyby pańskie uczucia wyraźnie ochłodziły. Jeśli to pana interesuje, ona podejrzewa, że nie spełniła pana oczekiwań jako kochanka...

- Nie interesuje mnie to. To była jednorazowa przygoda i takie były ustalenia.

- Możliwe, to już jest wasza sprawa. Wciąż czekamy na sprawdzenie pewnych rzeczy u operatora, choć i tak jestem pewien, że o tym również pan pomyślał i pana telefon nie opuścił tej nocy jej mieszkania. W przeciwieństwie do pana...

Grubich spojrział na Przeworskiego wilkiem.

- Myślałem, że przy naborze do policji obowiązują jakieś testy na inteligencję albo chociaż psychologiczne - warknął. - Ale najwyraźniej się pomyliłem, bo widzę, że do pana nie dociera, co mówię.

Przeworski widział, że architekt powoli przestaje się hamować, ale rozumiał to i w ogóle mu to nie przeszkadzało.

- Pani Weronika spała tej nocy wyjątkowo twardo, panie Grubich, co wyjątkowo rzadko się jej zdarza, bo ogólnie źle sypia. Chyba za dużo pracuje. Bolała ją też rano głowa i męczyły wymioty, tak twierdzi. I pierwszy raz w życiu urwał się jej film. Co brzmi znajomo w świetle słów Strapki o wizycie człowieka z Yad Vashem, który tak go spił, że też urwał mu się film. Przypadek?

- To się nazywa kac, człowieku! Chryste, skąd ty się facet urwałes?

- Grubich poczuł najwyraźniej, że znów czuje pod stopami grunt, który do tej pory mu się spod nich usuwał.

- Wie pan... - Przeworski skromnie spuścił wzrok, jak grać, to grać. - Ja od razu pomyślałem o środku usypiającym. Obaj wiemy, że

to w tej chwili jest nie do udowodnienia, ale mam inne klocki. Wiele śladów prowadziło do Strapki, to prawda. Ale pan zostawił przy okazji sporo swoich. Tak jak wizyta Izraelczyków, która miała mnie naprowadzić na trop. Mail o jej śmierci i tożsamości wysłał pan z firmowego adresu. Nie wiem, czy to błąd, czy pewność siebie? Zwłaszcza w świetle tego, co mi pan powiedział w biurze: że nie miał pan pojęcia o jej rodzinie.

Grubich podniósł ręce i opuścił je w geście rezygnacji, gwałtownie wydechając powietrze, ale i Przeworski, i Cehak wiedzieli, że to pusty gest i próba zyskania na czasie. Facet znów grał.

- Dobrze, przyznaję, po prostu wiedziałem, że Helene była z pochodzenia Żydówką - prychnął. - Owszem, opowiedziała mi kiedyś historię swojego ojca, ale nie pamiętam, czy wspominała, kto konkretnie go ukrywał. A z panem nie chciało mi się wtedy o tym gadać, bo uważałem, że to nie ma nic wspólnego z jej śmiercią. To zbrodnia?

- Samo w sobie akurat nie, ale jako element planu jej popełnienia... Był pan u Strapki w dzień poprzedzający noc morderstwa, razem z panem Peplickim, prawda? - Przeworski zerknął na dewelopera, który zmarszczył brwi, przypominając sobie fakty, a potem pokiwał powoli głową. - Ale nie wszedł pan do domu Strapki razem z nim. Za to po wyjściu pana Peplickiego poczekał, aż on odjedzie. Strój miał pan pewnie ze sobą, to nie problem.

- Jaki strój? - Grubich był blady, cienie pod oczami się pogłębiły.

- Znów przedstawił się pan jako pracownik Yad Vashem i ta maskarada chyba nie była trudna, bo Strapko jest w podeszłym wieku i nie ma obycia w świecie. Choć nie sądzę, żeby miał problem z rozpoznaniem pana podczas konfrontacji, którą wkrótce zrobimy. Ponownie poczęstował go pan alkoholem, znów zaprawionym tą samą substancją, którą wieczorem wlał pan do wina swojej pracownicy. Potem zabrał pan szalik i telefon Strapki i wrócił rowerem do Szczecina. I tu popełnił pan mały błąd. Nie przewidział pan jednego: gdyby Strapko jechał z Nowego Warpna busem, jego komórka logowałaby się po trasie, którą ten jeździ: przez Warnołękę do Trzebieży. Dopiero stamtąd Strapko mógłby się dostać do Szczecina autobusem linii samorządowej albo z Polic komunikacją miejską. Ale

jego telefon poruszał się po trasie prowadzącej przez Dobieszczyń, Tanowo i Pilchowo. Tej, którą nie jeżdżą autobusy, ale za to wybierają ją setki rowerzystów. Pan jako zapalony rowerzysta zapewne też często tamtędy jeździł. Podobno nic tak nie niszczy jak rutyna.

- Bzdura, przecież on mógł jechać z kimś, albo nawet własnym rowerem. Chciałbym mieć w moim wieku taką parę, jaką on ma teraz.

- Ale to pan jechał rowerem, nie Strapko. Tym samym, który przywiózł pan na dachu samochodu Peplickiego, bo Strapko pamięta, że na dachu były jakieś szyny. Dla niego szyny, a dla mnie bagażnik.

- Faktycznie, poprosiłeś mnie, żebym przewiózł ci rower, bo chciałeś się potem przejechać... - powiedział z namysłem Peplicki.

Przeworski uśmiechnął się i zapytał Grubicha:

- I skąd pan w ogóle wie, jaka parę ma Strapko?

- Robiłem rozpoznanie terenu w Nowym Warpnie. Ktoś mi o nim opowiadał. Wszyscy go tam podobno znają.

- Zgrabnie. To, że sygnał telefonu Strapki zamikł w noc morderstwa, też jest bardzo wygodne, nie trzeba było go odwozić właścicielowi. Nie wiedział pan tylko o jednym. Helene von Zussow nie mogła być skonfliktowana ze Strapką, a to była podstawa pańskiego planu.

- Bo? Mam na myśli, dlaczego nie mogła być skonfliktowana.

- Sprawca wszedł przez okno, został przez nie wpuszczony do środka, więc musiała go znać. Ale gdyby to był Strapko, narobiłaby krzyku.

- Więc skoro, jak pan twierdzi, nie była z nim skonfliktowana, to czemu miałyby go nie wpuścić? Gubi się pan we własnych fantazjach. Chorych zresztą.

- Bo po co wdrapywałby się po rusztowaniu, zamiast wejść normalnie, skoro nie miał złych zamiarów?

- A może właśnie miał, mimo wszystko? Nie pomyślał pan o tym?

- Nie mógł mieć, skoro oddał jej swoją działkę, którą siedemdziesiąt lat temu dał jego ojcu jej ojciec. Więc dlaczego miałyby ją zabijać? A przede wszystkim zostawiać narzędzie zbrodni? To wszystko było zbyt grubymi nićmi szyte, ale zobaczyłem to dopiero

niedawno. I jak zacząłem składać te klocki na nowo, to wyszło mi zupełnie coś innego.

- To niemożliwe. - Grubich lekko pobladł. - Wiedziałbym o tej darowiźnie.

- A dlaczego miałby pan o tym wiedzieć?

- Bo załatwiam formalności.

- Przecież projekt robią architekci z Berlina, a nie pan?

- Nie szkodzi. To diametralnie zmienia postać rzeczy, jeśli chodzi o warunki zabudowy, więc nie mogła mi nie przekazać tej informacji i musiała być tego świadoma. Nie była głupia. Przepisy jasno wskazują odległości budynków od granic działki, a jeśli de facto znika granica, bo działka należy do tej samej osoby, znika też problem ze zbyt małą powierzchnią.

- Zgadza się. - Przeworski wiedział to, bo wrócił jeszcze do ratusza i dopytał urzędniczkę o tę kwestię. - Von Zussow niewątpliwie zyskała na wizycie u Strapki i być może to również było jej celem, oferowała mu niezłe pieniądze. I nie ufała panu. Złożyła wniosek o zmianę decyzji co do warunków zabudowy.

- C-c-co?

- Osobiście. Wycofała również z urzędu pełnomocnictwo dla pana. Podobno lubiła dawać ludziom drugą szansę, ale najwyraźniej pan na nią nie zasłużył. Odkryła pewnie, że układa się pan z Peplickim, ale nie chciała odkrywać kart za wcześnie. Chciała za to się pana pozbyć, ale pan pozbył się jej pierwszy, prawda? Niepotrzebnie powiedział pan jej o Strapce, może gdyby nie to, dalej nie wiedziałyby, że tam mieszka, i nie przyszlaby do niego podziękować, a on nie oddałby jej tej działki. A my nie mielibyśmy powodu do podejrzenia pana. Ale był to istotny element pańskiego planu, bez niego to nie miałyby sensu. Przy okazji: mam nadzieję, że nie zniszczył pan zapisków Apfelbauma, które pani von Zussow przywiozła Strapce, a które pan zabrał z jej pokoju. Nie musi pan nic mówić, teraz ja powiem coś na zakończenie. Panie Grubich, zostaje pan zatrzymany w związku z podejrzeniem zamordowania Helene von Zussow. Prokurator wystąpi o areszt tymczasowy. Zostanie pan przewieziony do miejsca zamieszkania w celu spakowania się, ewentualnie zabrania leków,

a następnie do pomieszczenia dla osób zatrzymanych, gdzie będzie pan oczekiwał na decyzję sądu w sprawie aresztowania.

Do Peplickiego dopiero w tym momencie dotarło chyba w pełni, czego jest świadkiem.

- Wpierdoliłeś mnie na minę, ty skurwysynu! - ryknął cały czerwony na twarzy, zamachnął się na Grubicha, a potem, zanim Cehak z Przeworskim się zorientowali, dopadł go i zaczął beładnie okładać pięściami.

Aspirant doskoczył do niego i założył chwyt od tyłu. Peplicki jeszcze przez chwilę miotał się w dzikim szale, a potem bodźce bólowe dotarły do mózgu i zwiotczał Przeworskiemu w ramionach.

- Już? - zapytał aspirant, zaglądając mu w twarz przez ramię.

- Już. - Peplicki dyszał przeraźliwie, wręcz rzeził, a żyły nabrzmiały mu na skroniach. - Skurwysyn... Zniszczyłeś mnie, ty parszywy gnoju. Zachciało ci się kariery, pierdolony cieniasie...

Przeworski, który zdążył poluzować uścisk, znów zwarł ramiona i napiął mięśnie.

- Czy już? - zapytał ponownie ze stoickim spokojem w głosie.

- Nie mam z tym gnojem nic wspólnego. - Peplicki wyswobodził się z uchwytu aspiranta, poprawił rozerwaną na piersi koszulę i wskazał leżącego na podłodze Grubicha, który ocierał krew ciekącą mu z nosa. - Przyszedł do mnie, powiedział, że jest fajna działka i niezły pomysł, tylko trzeba wcześniej kogoś wysiudać. Przysięgam na wszystko, że nie wiedziałem, co chce zrobić tej Niemrze. Kiedy pojechaliśmy do Nowego Warpna wybać tego Strapkę w sprawie ziemi, zdjął rower z dachu i odjechał. Nie chciał wchodzić. Mówił, że boi się, że go skojarzy z nią i wszystko się wyda. Kiedy mi się nie udało, twierdził, że załatwi to później. Miał trzymać rękę na pulsie, a w odpowiednim momencie...

- Podać cenę, jaką ma zaproponować von Zussow w przetargu, żeby pan mógł dać o nędzny tysiąc większą? - podsunął Cehak. - Bo zapewne pan Grubich zajmował się również pośrednio sprawą wyceny nieruchomości?

Peplicki na chwilę wstrzymał oddech i wciąż czerwony jak burak spojrział bez wyrazu na prokuratora. Cehak z Przeworskim wiedzieli

już, że trafił w sedno.

- To chyba nie było fair - powiedział Przeworski.

- Od kiedy interesy są fair? - odparł deweloper pytaniem i przeczesał włosy palcami, poprawiając zwichrzoną fryzurę. - To nie jest, kurwa, piaskownica.

- Ale na to są paragrafy, panie Peplicki - wtrącił się Cehak, który obserwował wszystko z lekkim rozbawieniem. - Prawdopodobnie się jeszcze spotkamy, bo ten wątek zamierzam badać. Są podstawy, by podejrzewać, że mógł pan w tym uczestniczyć. Pani von Zussow była prawdopodobnie gotowa przeznaczyć na tę działkę trochę więcej, niż jest warta, co miało jej gwarantować wygraną w przetargu. W pana przypadku wyższa cena byłaby bezsensowna z punktu widzenia zwrotu inwestycji. Po prostu by się to panu nie opłacało, więc być może nie chodziło nawet o minimalne przebicie i wygraną, ile po prostu o eliminację konkurencji, bo do przetargu nikt więcej zapewne by nie stanął. I to chyba nie pana kolega wpierdolił pana na minę. Przykro mi, ale pan sam się na nią wpierdolił. Taka prawda. W piaskownicy jednak bezpieczniej, tam miny zostawiają tylko koty.

Peplicki chyba go nie słuchał. Oddychał ciężko, pochylony i oparty o swoje uda wpatrywał się w Grubicha nienawistnym spojrzeniem. Architekt kucał na podłodze, podparty jedną dłonią, drugą ocierał z twarzy krew i nagle policjant towarzyszący Przeworskiemu i Cehakowi podszedł do niego z kajdankami. Grubich z rezygnacją w oczach wyciągnął przed siebie trzęsące się ręce i po chwili obręcze zatrzasnęły się na jego nadgarstkach. Wszyscy w milczeniu wyszli na ulicę, policjant podprowadził Grubicha do cywilnego radiowozu, otworzył drzwi i trzymając dłoń na jego ramieniu, popchnął go lekko, kiedy ten wsiadał do środka. Zamknął za Grubichem drzwi, wsiadł z drugiej strony i po chwili auto ruszyło. Przeworski i Cehak odprowadzili je wzrokiem, a potem spojrzeli na Peplickiego, który wciąż ściskając w ręku okulary, również patrzył za odjeżdżającym radiowozem. Nagle deweloper ruszył bez słowa w stronę swojego samochodu. Idąc szybkim krokiem, poprawiał koszulę, a właściwie jej strzępy.

- Jak ja lubię patrzeć, jak oni wszyscy się wiją, kiedy dowiadują się, co na nich mamy - stwierdził z satysfakcją Cehak. - Jak kluczą,

kombinują, próbują spamiętać albo sobie przypomnieć, co mówili wcześniej, żeby nie poplątać się w zeznaniach. „Dobrze, wiedziałem o tym, że była Żydówką, ale nie wiedziałem, że to ma coś wspólnego z jej śmiercią...” – Cehak udał głos Grubicha. – A najbardziej lubię patrzeć, kiedy uświadamiają sobie w końcu, że przegrali. Jak to do nich wreszcie dociera i jak schodzi z nich powietrze. Pfff... Jak z balonika. To jest najfajniejsze. Wtedy czuję na sto procent, że moja robota ma sens. – Spojrzał wesoło na Przeworskiego. – To skąd ci ten Grubich wpadł do głowy?

– Na początku zdziwiły mnie lekko niemal przyjacielskie relacje łączące dwóch ludzi, którzy teoretycznie stanowili dla siebie konkurencję. Jasne, Szczecin to wioska z tramwajami, w danej branży wszyscy się znają, ale mimo wszystko Grubich był nieco skrupowany, kiedy siedziałem u niego i zadzwonił Peplicki. Wyjaśnił mi, że to inwestor, jego klient. Potem przeczytałem o Peplickim w necie i zobaczyłem, co stawia ten jego Herystal. Zdziwiłem się, że taka wielka firma zleca coś facetowi zatrudniającemu jedną wyrobniczkę, a potem uświadomiłem sobie, że przecież wcale nie musi niczego zlecać, a przynajmniej nie projekt. A jeszcze później o tym zapomniałem, bo to nie miało znaczenia dla sprawy.

– A jednak.

– Tak, ale to wszystko zagrało dopiero na sam koniec, rozumiesz? Kiedy w teatrze uzmysłowiłem sobie, że nie dekoracje są najważniejsze, ani nie to, co widzimy, tylko to, co wymyśli scenarzysta. Bo on się nami bawi, wie, na co będziemy patrzeć, co uznamy za umowne, a co za dosłowne. A potem okazuje się, że jest na odwrót. I kliknęło. Trasa telefonu Strapki, rezerwacja hotelu, mail do Izraelczyków...

– Miałeś rację, że może chodzić o ziemię nad zalewem.

– I trochę gryzę się, że wpadłem na to tak późno, bo już podczas mojej pierwszej wizyty w ratuszu burmistrz wspomniał, że o tę ziemię przy Dworcowej starał się ktoś jeszcze, ale wtedy to nie było dla mnie istotne.

– Też mógłbym sobie zarzucić to samo – mruknął Cehak. – Wspominałeś mi o dwóch oferentach, a ja to puściłem mimo uszu...

- Już wtedy wiedziałem, że Peplicki i Grubich się znają. I jeszcze to, że nie przyszło mi do głowy sprawdzić, gdzie dokładnie leżą te dwie działki: ta pod inwestycję i ta Strapki. A jak się okazało, to miało kluczowe znaczenie, bo graniczyły ze sobą. Ale tak czy siak, kiedy wyskoczył nam w końcu ten Peplicki, to teoretycznie wszystko miałem poukładane. Tylko że kiedy przedwczoraj wieczorem zobaczyłem łańcuszek na szyi Natalii, zwykły, z dwoma serduszkami, przypomniał mi się ten z gwiazdą Dawida niby należący do von Zussow i stało się dla mnie jasne, kto naprawdę za tym stoi. Piętrowa intryga okazała się sztuczką według scenariusza faceta, który chciał odnieść sukces i wreszcie zacząć zarabiać.

- Koniec końców mu nie wyszło.

- Bo nie da się wszystkiego idealnie zaplanować. Tak jak mówiłem: plan był niezły, trzeba to Grubichowi oddać, ale zawsze albo zajdą nieprzewidziane okoliczności, albo będą słabe punkty. Zwykle pokrywają je te mocne, na przykład szalik z materiałem biologicznym i namierzanie telefonu, jak w tym wypadku, ale chodzi o to, żeby te słabe też wyłapać. Bo one podają w wątpliwość te mocne. I jak się okazuje, czasem słusznie. Co pan na to, panie prokuratorze? - Przeworski zerknął na Cehaka prowokacyjnie.

Ten zmrużył tylko oczy.

- Jesteś czasem wyjątkowo upierdliwy - stwierdził. - Namolny. A przy okazji nieszablonowy. Ale ja na szczęście umiem słuchać. Także przypisanie sobie wszystkich zasług przez ciebie będzie nadużyciem. Co ty na to? - Cehak uniósł brwi i przekrzywił lekko głowę.

- Pozwalam, niech ci będzie.

Prokurator spojrział nagle w niebo i przez chwilę śledził wzrokiem przelatującą parę gołębi.

- Ciekawe, co tam słychać u Vogla? - zapytał nagle.

Przeworski wzruszył ramionami.

- A ma to jakieś znaczenie? Teraz?

- W zasadzie nie... Tak tylko się zastanawiam, jak długo będzie uciekał, bo to de facto zrobił: uciekł, mimo że był niewinny. Nie dowie się, że mamy sprawcę i całe swoje dalsze życie podporządkuje tej

ucieczce. To straszne, jakie konsekwencje ponosimy czasami za czyny innych.

- I tak nic z tym nie zrobisz. Załatw lepiej jak najszybciej zwolnienie Władeczka.

- Władeczka? Tak go polubiłeś? - Cehak zerknął na aspiranta i brwi zjechały nad nos.

- Nie, tak go nazywają w Nowym Warpnie. A najzabawniejsze, że wcale nie jest tam lubiany.

- Hmm, to chyba wcale nie jest zabawne, co?

- Właśnie, wcale nie jest.

Rozstali się na ulicy przed kamienicą. Zerkając w okna, za którymi mieściła się pracownia „Architextura”, Przeworski przypomniał sobie wczorajszy wieczór, kiedy czatował tu na Weronikę, czekając, aż wyjdzie z pracy. Pracownica Grubicha była jeszcze jednym odpryskiem tragicznej lawiny, którą spowodował jej szef, idealnym przykładem tego, o czym mówił przed chwilą Cehak. Dziewczyna musiała ponieść konsekwencje, znajdując sobie nową pracę. Jednak istniała jakaś szansa, że tylko na tym zyska.

Aspirant wszedł do auta, wcisnął przycisk uruchamiający silnik i pojechał do roboty.

Przeworski siedział przy biurku na poddaszu swojej dawnej służbówki. Była sobota, Nata jeszcze nie wyszła z sypialni, a on szykował się powoli do porannego treningu. Nagle jego wzrok padł na wizytówkę doktora Yosefa, wetkniętą w jedną z przegródek organizera. Wyciągnął ją w zamyśleniu, obejrzał z obu stron i tknięty jakimś impulsem wziął swój telefon i wbił numer widniejący na białym kartoniku. Czekał kilkanaście sekund na połączenie i już miał zrezygnować, kiedy Yosef odebrał.

- Halo? - odezwał się lekko zaszpany głos.

- Dzień dobry - powiedział Przeworski. - Mój angielski nie jest zbyt dobry, więc chciałem zapytać, czy dałoby się zorganizować małe spotkanie online z udziałem pańskiego kolegi, Heckera.

- Możemy porozmawiać bez niego - odparł Yosef po niemiecku ku zdziwieniu Przeworskiego.

- Przyznam, że mnie pan trochę zaskoczył - powiedział z lekkim rozbawieniem.

- Znam niemiecki, choć niechętnie go używam, a nauczyłem się go tylko dlatego, żeby mieć łatwiejszy dostęp do dokumentów źródłowych. Ale nie lubię bez potrzeby chwalić się jego znajomością.

- Coś jak ojciec Heckera?

- Mniej więcej. - Historyk się roześmiał. - Pewne rzeczy będą w nas, Żydach, siedzieć przez pokolenia. Poza tym Zvi jest bardzo operatywny i przydatny, jak pan zapewne się domyśla.

- Owszem, domyśliłem się.

- No właśnie. - Yosef roześmiał się gardłowo. - A jak tam sprawa zabójstwa pani Apfelbaum?

- Von Zussow - poprawił go odruchowo Przeworski.

- A tak, oczywiście. Więc jak? Znalazł pan sprawcę?

- Owszem.

- O! - W głosie Yosefa słyhać było zdziwienie. - To teraz pan mnie zaskoczył. No i gratuluję. A mogę wiedzieć kto to?

- Jego nazwisko panu nic nie powie. Chodziło o... - Przeworski zastanowił się przez chwilę nad sformułowaniem, bo właśnie uświadomił sobie, że tak naprawdę nie wie do końca, o co chodziło, a w zasadzie nie jest w stanie tego pojąć. - W każdym razie nic związanego z antysemityzmem czy jakimiś zaszłościami, choć takie były pierwsze hipotezy. Prawda okazała się bardzo prozaiczna, jak to często bywa. Po prostu chciwość, można tak powiedzieć. Facet zřęcznie utkał historię opartą na faktach z życia pani von Zussow, miała odwrócić naszą uwagę od niego, ale się przeliczył. Nie on pierwszy.

- Rozumiem. A co ze Strapką?

- Nic. - Przeworski wrzucił do siebie ramionami. - Wrócił do domu. Dużo przeszedł, choć trochę na własne życzenie. Nie był zbyt wylewny, a mógł sobie oszczędzić sporo przykrości. Interesuje pana jego historia?

- Owszem, jeśli chce pan się nią ze mną podzielić.

I Przeworski opowiedział mu.

- Specyficzny człowiek - stwierdził Yosef po krótkiej chwili milczenia, kiedy aspirant już skończył.

- Owszem - przyznał Przeworski. - Przez całe życie milczał. Nawet w areszcie. Prosty, w gruncie rzeczy dobry człowiek, którego wszyscy mieli za dziwaka, mruka i złośliwca. A to bohater. Cichy bohater. Niewielu przeszło w życiu tyle co on.

- Bo oceniamy ludzi z wierzchu, po tym jak wyglądają, o kolorze skóry nie wspominając. Zresztą zdecydowana większość nas chciałaby być dobrze zapamiętana. Podkreślamy swoje zasługi, ale przemilczamy błędy. To takie ludzkie. A on jest wyjątkiem, mimo zasług chciał zostać zapomniany.

- Albo zapomnieć.

- To też - zgodził się Yosef. - Tak czy siak, nie zależało mu na rozgłosie. Wie pan, jaki jest największy bład większości historyków badających kwestię postawy narodu polskiego wobec zagłady Żydów?

Chodzi właśnie o ten naród, bo oni skupiają się na narodzie, a nie na ludziach.

- Przecież naród to ludzie? - zdziwił się Przeworski.

Yosef cmoknął, przez telefon brzmiało to jak plusk małego kamyka wrzuconego do wody.

- Jak się ma sto monet każda o wartości jednego dolara, to można mówić, że ma się sto dolarów - powiedział. - I one będą tym samym co banknot o wartości stu dolarów, rozumie mnie pan, panie Przeworski? Bo to są pieniądze, choć to też jakiś rodzaj umowy, jeśli chodzi o ich wartość. Ale naród jest pojęciem nieco abstrakcyjnym, czy może raczej umownym, i to jeszcze bardziej niż pieniądze. Bo zło wyrządzają konkretni ludzie, a nie narody. Tak samo jest z dobrem. Dobro też czynią ludzie. Dawni szmalcownicy i byli bohaterowie. Trafiali się tacy, co siedzieli cicho i odwracali wzrok, bo chcieli przeżyć, i byli tacy, co ryzykowali życie swoje i bliskich, chowając Żydów u siebie w domach. Jedni godzili się na śmierć Żydów i jeszcze cieszyli, że na nich zarobią, inni nic nie robili, bo im to było obojętne albo się bali, a jeszcze inni ich ratowali. Co człowiek, to inna postawa, i jak tu znaleźć wspólny mianownik? Liczyć ich, sprawdzać, których było więcej, albo wyciągnąć średnią? Pan możesz mówić, że ja jestem nieobiektywny, bo jestem Żydem, a ja panu powiem to samo, bo pan jesteś Polakiem i co z tego? A obaj przecież mamy po dwie ręce i dwie nogi, zresztą tak samo jak Niemcy, którzy nas zabijali. Nie trzeba być Żydem, Polakiem czy Niemcem, żeby godnie żyć. Trzeba być człowiekiem, rozumie pan? Człowiekiem... Jak Strapkowie. Zapomnieli o nich i ludzie, i historia, a powinni mieć swoje drzewko w Ogrodzie Sprawiedliwych w Yad Vashem. Pewnie nigdy się nie dowiemy, kto i dlaczego ich wydał Niemcom...

- Wiemy, kto to był - przerwał mu aspirant.

- Naprawdę? No i znowu mnie pan zaskakuje!

- Taka to historia, pełna niespodzianek...

- Kto?

- Sąsiad Strapków. Musiał się zorientować, może od kogoś usłyszał, tego nie wiem. Ratował się podczas przesłuchania przez

gestapo, kiedy trafił po łapanie na Pawiak. Kupił sobie życie informacją o ukrywających się Żydach.

- Wypuścili go?

- Tak. Przeżył wojnę, został odnaleziony przez Apfelbauma i przywieziony do Nowego Warpna, żeby ojciec Strapki mógł się zemścić za śmierć rodziny.

- Zabił go?

- Nie. Darował mu życie. Wypuścili go i więcej nikt o nim nie słyszał.

Yosef milczał.

- Tak sobie myślę... Faktycznie zdarzało się czasem, choć wyjątkowo rzadko, że Niemcy wypuszczali ludzi nawet z obozów koncentracyjnych, niech pan sobie wyobrazi. I zastanawiam się, czy to czasem nie było nawet gorsze od śmierci, rozumie mnie pan?

- Chyba tak, choć szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, co może być gorszego od śmierci, zwłaszcza takiej jak wtedy i tam.

- No tak. - Yosef westchnął i powtórzył: - No, tak... Cóż, to w zasadzie i tak nie ma znaczenia dla pana sprawy, sprawy zabójstwa pani von Zussow, choć świadczy o tym, jak straszne czasy to były. I jeszcze o czymś: jak historia i przypadek spletają ludzkie losy. Niewiarygodne, co? Tylko się cieszyć, że żyjemy w stosunkowo spokojnych czasach, bo całkiem spokojne to nigdy nie będą, chyba że z tej planety znikną ludzie.

Przeworski absolutnie zgadzał się z Yosefem w tej kwestii.

- Zamierzam przyjechać do waszego miasta i jeszcze raz spróbować porozmawiać ze Strapką - poinformował go nagle historyk.

- Nie wiem, czy przyjazd tu panu coś da - ostrzegł go lojalnie aspirant. - Nic się u niego nie zmieniło, jeśli chodzi o komunikatywność i ogólną chęć do kontaktu z ludźmi. A wręcz jeszcze bardziej się do nich zraził.

- Domyślam się. Ale pomoże mi pan dotrzeć do niego? Przekonać? Pan jeden z nim rozmawiał, to panu opowiedział w końcu swoją historię.

Przeworski uśmiechnął się sceptycznie.

- Bo w końcu nie miał wyjścia, ale oczywiście spróbuję. - Nagle wpadło mu coś do głowy. - Chociaż jest pewna nadzieja...

- Tak?

- Mógłby pan mu coś przywieźć na przełamanie lodów.

- Ma pan na myśli alkohol?

- Nieee. - Przeworski się roześmiał. - Tego niech pan nawet nie próbuje, bo wyjdzie pan stamtąd szybciej, niż wejdzie. Dam panu coś dla niego. Dla pana też będzie to bezcenne.

- Co to takiego?

- Wspomnienia Apfelbauma spisane pod koniec życia. Obawiam się, że będą po polsku, to nie oryginał, do niego nie mam dostępu, i nie wiem nawet, gdzie jest. Może wie to były mąż von Zussow.

- Skąd pan to ma?

- Helene przywozła je Strapce, ale nie zdążyła mu dać. Teczkę z zapiskami zabrał zabójca, znaleźliśmy ją w jego mieszkaniu.

- Tym bardziej nie mogę doczekać się przyjazdu do Polski. Serdecznie dziękuję. Będziemy w kontakcie.

Yosef się pożegnał, Przeworski odłożył telefon na stół i gwizdnął na Nanę i Parbata, a potem zajrzał do sypialni. Nata czytała, leżąc na łóżku.

- Idziemy na spacer?

- Chyba pada. - Spojrzała na niego znad książki i zerknęła w okno.

- Tylko kropi.

- Co cię tak ciągnie na zewnątrz? - zapytała zdziwiona.

- A, tak jakoś. Chodź, pojedziemy do Podgrodzia pogapić się na zalew. Jak nie chcesz, to nie ma sprawy, pójdę pobiegać.

Nata uśmiechnęła się do niego i odłożyła książkę na pościel.

Pół godziny później siedzieli na małym, piaszczystym klifie niewielkiej, ukrytej wśród trzciny plaży. Tej samej, która była niemym świadkiem tragedii sprzed dwudziestu lat. Przestało padać, nad zalewem chmury zaczęły się rozstępować, ukazując ciemniejące o zmierzchu niebo. Natalia muszlą omułka rysowała na piasku esy-floresy, a Przeworski wpatrywał się w szarą połać wody. Drugiego brzegu nie było widać, rozmywał się i znikał w ciężkim od wilgoci

powietrzu. Psy pluskały się w płytkiej wodzie, ganiając ze sobą jak szczeniaki.

- Myślisz, że moglibyśmy mieć kiedyś dzieci? - zapytał znieczeka Przeworski.

Natalia spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Co ci... Co ci tak nagle przyszło do głowy? - wyjąkała.

- A nie chciałabyś mieć?

Milczała przez chwilę, wyraźnie zaskoczona.

- Ale dlaczego akurat teraz o to pytasz?

- Co za różnica? - Przeworski wzruszył ramionami, podniósł wypełnioną mokrym piaskiem muszlę i rzucił przed siebie, śledząc wzrokiem tor jej lotu, a potem przyglądał się, jak wpada z pluskiem do wody, po której rozchodzą się kręgi.

- Ja... Ja nie wiem, czy jestem gotowa, Dominik.

- Ja też nie wiem. - Aspirant popatrzył na nią. - Tylko pytam. Kiedyś trzeba było zapytać, tak przynajmniej myślę, więc dlaczego nie dziś? Nie twierdzą, że mamy się od razu zabierać do roboty.

Nata się roześmiała, trochę z przymusem.

- Jesteśmy ze sobą nieco ponad pół roku, a ty pytasz o dzieci? Wiedziałam, że to mi się śni, nie ma takich facetów.

- Jestem i pytam.

Pogładziła go po policzku, a potem delikatnie strzepnęła z niego drobiny mokrego piasku, które przylepiły się do skóry.

- Jestem przecież chora - powiedziała cicho, patrząc Przeworskiemu w oczy.

- ChAD nie jest chyba dziedziczna? - zapytał.

Natalia milczała, wpatrując się w swój rysunek na piasku.

- A co, jeśli nawrót sprawi, że nie będę dobrą matką?

- Będiesz. I zawsze jest jeszcze ojciec.

Spuściła lekko głowę, ukrywając twarz za zasłoną jasnych włosów.

- Możemy przełożyć te rozmowę na później? - poprosiła.

- Możemy. - Przeworski uśmiechnął się lekko i wrócił spojrzeniem na zalew.

Kręgi na wodzie prawie zniknęły, jej powierzchnię mąciło już tylko delikatne falowanie. W oddali widać było światełka staw i niewyraźny

pas ładu po drugiej stronie zalewu, który ukazał się niespodziewanie razem z niebem. Natalia przytuliła się do aspiranta i położyła mu głowę na ramieniu. Siedzieli tak przez dłuższy czas.

- Po prostu pomyślałem sobie, że z jednej strony nie ma na co czekać, że czas ucieka, choć z drugiej... - Westchnął.

- Z drugiej?

Spojrzał na Natalię, a w oczach miał coś, czego nigdy wcześniej w nich nie widziała. Ból i dojrzałość.

- Boję się, że będą musiały oglądać straszne rzeczy, żyć w okropnych czasach, aż w końcu ten świat je pożre - powiedział nieswoim głosem. - Wessie, przeżuje i wypluje. A my będziemy musieli na to patrzeć i nie będziemy mogli nic zrobić, Nata. Absolutnie nic...

Szczecin/Pilchowo, 04.04.2023 - 02.07.2023

OD AUTORA

Na początku chciałem wyjaśnić, że to nie jest książka historyczna, choć wiele ze wspomnianych w niej sytuacji wydarzyło się naprawdę. Inspiracją do powstania tej historii było pewne zdjęcie, to samo, które stało się zaczynem opowieści o Reginie Remus w *Krzywdzie*. Na oryginalnej fotografii wykonanej w 1946 roku przed posterunkiem MO w Nowym Warpnie oprócz milicjantów i ubeków jest jeszcze ktoś. Wiadomo o nim tylko tyle, że był Żydem i prowadził knajpę przy ulicy Żeromskiego w tym miasteczku. Oraz to, że zniknął bez śladu w 1947. To właśnie przypuszczenia Zenka Owczarka o prawdopodobnej przyczynie jego krótkiego pobytu w Nowym Warpnie były iskrą, która zainicjowała w mojej głowie tę opowieść.

Organizacja syjonistyczna Bricha. Po hebrajsku to słowo oznacza „ucieczka”. Ta organizacja stworzona przez działaczy syjonistycznych i ocalałych z powstania w getcie żydowskim bojowników działała przez kilka lat, zaczęła pracę tuż po wojnie. Operowała na sporym obszarze, na terenie Polski głównie na Dolnym Śląsku. Podczas researchu miałem okazję widzieć meldunki sytuacyjne strażnic WOP-u rozlokowanych wzdłuż pasa granicznego w okolicy Nowego Warpna z lat 1946–47. Kilkukrotnie natknąłem się na opisy dokonanych przez patrole WOP-u zatrzymań Żydów opuszczających nielegalnie Polskę i próbujących dostać się do strefy okupowanej, w tym jedno wyjątkowo liczne: na sowieckim (!) statku skontrolowanym na wodach Zalewu Szczecińskiego w okolicach Trzebieży znajdowało się 76 osób narodowości żydowskiej i 6 Niemców. Meldunek podaje nazwiska zatrzymanych i szczegółowy opis znalezionych przy nich przedmiotów, w tym kosztowności. Historia tej organizacji jest jak soczewka skupiająca wiele problemów społecznych (nie tylko żydowskich) okresu powojennego, choć mających swoje korzenie w czasach przedwojennych. Długo by o tym dyskutować, zainteresowanych odsyłam do Internetu, a tych bardziej ciekawskich

do opracowań historycznych. Dzięki nieocenionej pomocy Magdaleny Semczyszyn, szczecińskiej historyczki zajmującej się problematyką stosunków polsko-żydowskich, badającej między innymi te wątki, miałem okazję zagłębić się nieco w ten tajemniczy świat, za co Ci, Magda, serdecznie dziękuję.

Historia udziału w powstaniu w getcie warszawskim bojowników Żydowskiego Związku Bojowego jest osobną, bardzo tajemniczą i niezwykle fascynującą opowieścią. Ze względu na małą liczebność w porównaniu z bardziej znaną Żydowską Organizacją Bojową (tą, w której był Marek Edelman) konflikt między obiema organizacjami, fakt, że praktycznie wszyscy jej członkowie zginęli z rąk Niemców, oraz skrajnie prawicowy charakter ŻZB (syjonizm rewizjonistyczny), ten epizod powstania w getcie jest praktycznie nieznan. W momencie gdy dopinam fabułę, obchodzona jest osiemdziesiąta rocznica powstania. Przypadkiem oglądam film dokumentalny o ŻZB, chwilę później, szperając w sieci (Wirtualna Polska), znajduję świeży artykuł Wojciecha Rodaka o tym, że izraelscy historycy na dziewięćdziesiąt procent ustalili tożsamość Pawła Frenkla, dowódcy wojskowego Żydowskiego Związku Bojowego. Okazuje się, że był oficerem Wojska Polskiego, walczył w kampanii wrześniowej, odnaleziono nawet jego zdjęcia potwierdzające, że portret pamięciowy sporządzony na podstawie relacji ludzi, którzy go znali, był bardzo wierny. Tożsamość Mieczysława/Moryca Apfelbauma, jednej z osób ze ścisłego kierownictwa tej organizacji, wciąż pozostaje niewyjaśniona, są wątpliwości dotyczące nawet samego faktu jego istnienia i dlatego zdecydowałem się nawiązać do tej postaci w swojej historii, dając jej nowe, zupełnie fikcyjne życie.

Wybuch tankietki na ulicy Kilińskiego jest jednym z najtragiczniejszych zdarzeń w powstaniu warszawskim. Zginęło wtedy około 300 osób, w większości cywilnych, w tym dzieci. Przez długi czas sądzono, że była to pułapka zastawiona przez Niemców. Z najnowszych badań wynika jednak, że ciężki transporter ładunków wysłany przez Niemców do zniszczenia barykady utknął na niej po kontrataku powstańców i po opuszczeniu przez kierowcę został przez nich przejęty. Podczas triumfalnego przejazdu ulicą Kilińskiego

w asyście wiwatującego tłumu ładunek zsunął się z pojazdu i eksplodował. To zdarzenie, w bardzo drastycznej formie, pokazane jest również w filmie Jana Komasy *Miasto '44*.

Nie chciałbym, żeby ktoś pomyślał, że przywołując ten epizod w swojej opowieści, daję wyraz prymitywnej chęci „podkręcenia” jej. Powód jest inny. Przez ostatnie lata uwierała mnie narracja zrywu popieranego przez wszystkich warszawiaków, w moim domu rodzinnym przez wzgląd na członkostwo dziadka w AK i jego uczestnictwo w powstaniu (służył w pułku „Baszta”, był internowany w stalagu, przeżył wojnę) ten temat był świętością. Prawda jak zwykle leży pośrodku. Bez wątpienia był to jeden z najwaleczniejszych i najodważniejszych zrywów przeciw okupantowi w historii świata, ale także i bezsensowny, jako akt rozpacz i płonnej nadziei. To nie miejsce na dyskusje historyczne, ale przez dziesięciolecia aspekt udziału i reakcji ludności cywilnej był w dyspacie spychany na bok albo wręcz pomijany jako dużo mniej istotny wobec strat, jakie ponieśli mieszkańcy Warszawy, a przecież obie te rzeczy są ze sobą nierozzerwalnie związane. No właśnie, mieszkańcy. Nie wszyscy popierali powstanie, wielu nie dostrzegało w nim sensu, a największą ofiarę jak zwykle ponieśli właśnie oni. Znowu decyzja kilku osób podjęta w określonych okolicznościach czasu i miejsca miała konsekwencje dla setek tysięcy innych ludzi. Tragedia na placu Kilińskiego nawet jako pojedyncze zdarzenie była tragiczną konsekwencją nie tylko tej decyzji o wybuchu powstania, ale też wielu innych podejmowanych przez ludzi na najwyższych stołkach od 1933 roku. A tak naprawdę dotyczy to wszystkich wojen, powstań i rewolucji na przestrzeni dziejów. I to się nie zmieni.

Wspomnienia Józka Skibińskiego z pobytu w więzieniu na Pawiaku oparłem na wspomnieniach Leona Wanata (*Za murami Pawiaka*, wyd. Książka i Wiedza, 1958), wstrząsającej relacji z miejsca kaźni tysięcy ludzi różnych narodowości. To jeszcze jedno świadectwo tego, jaki los ludzie potrafią zgotować innym ludziom. Muzeum, które obecnie znajduje się w tym miejscu w pozostałościach jednego z budynków, zrobiło na mnie wstrząsające wrażenie, chyba nawet większe niż Muzeum Powstania Warszawskiego. To drugie jest świetnie

zaprojektowane, ale przez to bogactwo wystaw, również audiowizualnych, w jakiś sposób oddala od tej tragedii, wyznaczając umowną granicę czasu i perspektywy. A Pawiak jest autentyczny, do bólu autentyczny i przerażający.

Wspomniany przez Moryca w rozmowie z kapitanem Drywą Żyd imieniem Joel (nazwisko, które pada w rozmowie, jest fikcyjne) istniał naprawdę, mieszkał po wojnie w Szczecinie trudnił się szmuglem: przerzucaniem towarów i Żydów przez granicę za pieniądze, jednak Żydzi byli tylko przykrywką dla towarów. Przez jakiś czas dzięki przekupstwom Polacy i Sowieci przymykali oczy na przerzut ludzi narodowości żydowskiej przez granicę. Pewnego dnia Joel został przez członków Brichy porwany i przewieziony do Berlina. W tamtejszej siedzibie Brichy odbyła się „rozmowa dyscyplinująca”. Epizod taki jest opisany w pewnym dokumencie Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, będącym świadectwem Maxa Mittelmana, szczecińskiego przedstawiciela Brichy. Joel przeżył, według zapewnień Mittelmana częstowany był nawet czekoladą, i po podpisaniu przyrzeczenia o zaniechaniu procederu został puszczony wolno i wrócił do Szczecina.

Meldunek komendy WOP jest zbitką dwóch czy trzech autentycznych meldunków z tamtego okresu. Tylko informacja o samobójstwie Skibińskiego jest fikcyjna, choć w jednym z meldunków, które przeglądałem w archiwum SG w Szczecinie, znalazłem adnotację o zatrzymaniu Niemca z okolic Nowego Warpna, w którego domu znaleziono nielegalnie posiadaną broń. Człowiek ten powiesił się na klamce drzwi pomieszczenia, w którym był przetrzymywany.

Romanca to prawdziwa sztuka teatralna, którą napisał nieodżałowany Jacek Chmielnik. Byłem na niej w okolicach roku 1992, a potem poszedłem jeszcze raz tylko po to, żeby przyglądać się reakcji ludzi w momencie tego niesamowitego zwrotu akcji. Pamiętam to do dziś jako jeden z najlepszych twistów, jaki widziałem, niemal na równi z tym z *Podjezanych* Briana Singera.

A teraz podziękowania:

Właścicielom firmy Platinum, małej, szczecińskiej sieci apartotelu „Platinum” i „1899”, dziękuję za wspólne knucie zbrodni w hotelowym pokoju,

Zenkowi Owczarkowi, nowowarpianinowi, regionaliście, dobremu duchowi całej serii o aspirancie Przeworskim: za wszystko!

Iwonie Wiśniewskiej i pracownikom Archiwum Straży Granicznej w Szczecinie: Wam (a Tobie Iwonka w szczególności) dziękuję za pomoc w oddaniu realiów służby granicznej w tamtych ciężkich czasach,

Magdzie Semczyszyn, historyczce zajmującej się badaniem dziejów Żydów w Polsce w aspekcie historii najnowszej: Tobie specjalne podziękowania za fantastyczną rozmowę o sprawach niełatwych, za to szalenie interesujących.

A teraz policjanci i byli policjanci:

Agnieszka Paszkowska z KMP w Szczecinie, Dawid Gub: technik kryminalistyczny KMP w Szczecinie, Robert Barański: były szef Biura do spraw Współpracy Międzynarodowej Policji KWP w Szczecinie - dziękuję Wam za rozmowy, wyjaśnienia i cierpliwość.

Joannie Leśniak z Sądu Rejonowego Szczecin-Prawobrzeże i Zachód w Szczecinie, XI Zamiejskowy Wydział Ksiąg Wieczystych w Policach dziękuję za nieocenioną pomoc w sprawach tychże ksiąg, a Kamili Harnatkiewicz z Urzędu Miasta i Gminy Nowe Warpno za to samo w sprawach dotyczących przetargów.

Mieszkańcom Nowego Warpna i okolic oraz osobom, które tam pracowały bądź pracują, chciałbym z całego serca podziękować za pomoc, którą zaoferowały same bądź o którą dały się uprosić. To była cudowna przygoda i przyjemność z Wami rozmawiać. Jest w tych trzech nowowarpieńskich opowieściach trochę Was, Waszych wspomnień, nie zawsze miłych, którymi zdecydowaliście się ze mną

podzielić. I to jest bezcenne. To dzięki Wam w tych opowieściach jest duch tego miejsca. To przede wszystkim opowieści o Nowym Warpnie, najpiękniejszym końcu świata na ziemi.

Betaczytacze: Kamil Antol, Sylwia Depa, Anna Gośniak, Marta Kostecka, Ania Wiktorczyk-Nadolna, Beata Rajczyk, Tomek Rędzia, Magda Semczyszyn, Monika Wilczyńska, Iwona Wiśniewska - dzięki za współpracę! Tylko my wiemy, ilu potknięć dzięki Wam uniknąłem.

Na koniec anegdota à propos proroczych rozważań Moryca Apfelbauma o końcu Związku Sowieckiego. Mniej więcej w połowie lat osiemdziesiątych, przy wigilijnym stole w moim rodzinnym domu, między moim dziadkiem i ojcem odbyła się zażarta dyskusja na temat komuny. Na sam koniec tata wypalił do dziadka: Zobaczysz, ojciec, doczekam końca komuny, mało tego: nawet ty doczekasz! Dziadek oczywiście parsknął lekceważąco i machnął na to ręką. I tak się stało, że doczekał...

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Cytat

PROLOG

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

OD AUTORA

A teraz podziękowania: